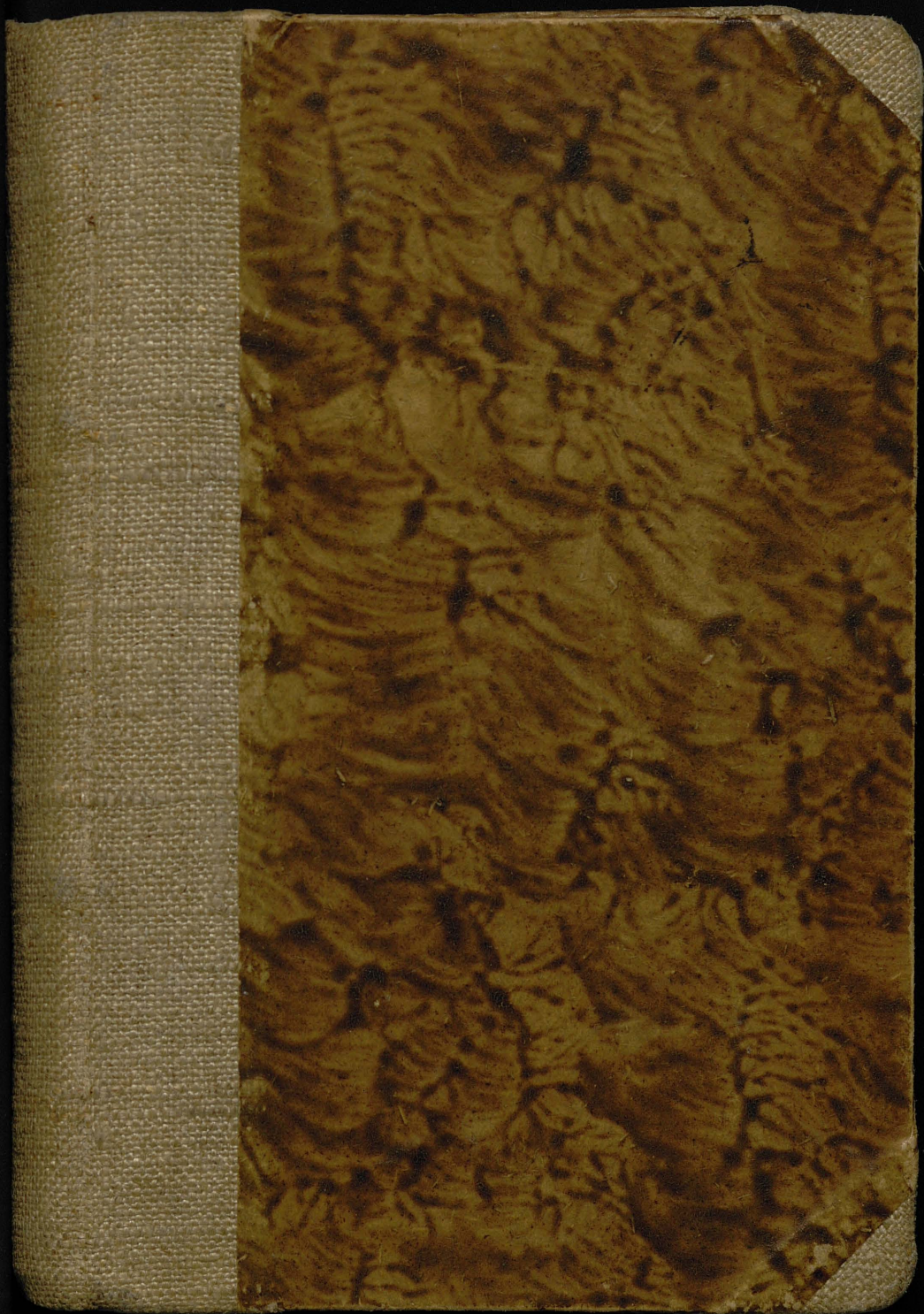




CATHANGARA

JP
JERZY OSTROWSKI

CATHANGARA

KRÓL BOTOKUDÓW

POWIEŚĆ



NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN



884-311.2

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA”.

32. 511.
19. 11. 46.

Główne fakty oraz osoby tej historii wzięte są z prawdziwych i niedawnych wydarzeń¹⁾. Zachowałem nawet prawdziwe imiona aktorów, aby jak najmniej utracić żywej krwi w nich pulsującej. Wątpię zaś, czy kartki te trafią kiedykolwiek do ich rąk, mimo że żyją oni wszyscy dotychczas: księżniczka indyjska — Coricra, wierny sługa — Preié i sam król Botokudów — Cathangara (Czarna Pantera).

Rzucony losem na drugą półkulę, zawadziłem i o tereny podległe władzy „króla”; głównymi zaś informatorami moimi byli: misjonarz katolicki — nasz rodak, oraz „vendysta” — Włoch, który jest właściwym narratorem niniejszej opowieści.

Co do mnie — to starałem się tylko wynaleźć sens i podziemne znaczenie poszczególnych faktów, łączących się w historję życia tych ludzi. Być może zresztą, że fałszywa jest sama hipoteza, iż sens taki wogóle istnieje.

¹⁾ Por. moją „Ziemie św. Krzyża”, str. 145.

Cathangara.

I.

W takim miasteczku, jak nasze, czas podobny jest do drutów, biegnących wzdłuż toru kolejowego. Kiedy patrzymy nawprost okien — wydaje się nam, że prawie stoją, kiedy zaś obejrzymy się wstecz — biegną jak oszalałe.

Nas kilku, którzy pamiętamy jeszcze, że las dochodził do samych brzegów Itajahy, ogląda się wstecz ze zdziwieniem. Kiedyż zdążyło wyrość tyle murowanych domów i tylu mężczyzn, którzy niedawno byli jeszcze dziećmi?

Chłopiec Hoerhanna niedawno jeszcze babrał się w kurzu na drodze, niedawno wyjeżdżał z bekiem do szkoły normalnej — a oto już rodzice zapraszają na wielkie przyjęcie z racji skończenia przez niego uniwersytetu, gdzieś aż w Rio.

Zamknawszy sklep nieco wcześniej i włożywszy buty, ze względu na pański ton, panujący u Hoerhannów — powlokłem się na to przyjęcie. Przed murowanką Hoerhannów spotkała mnie ta stara małpa, doktor H. Gensch. Nie był to — w gruncie rzeczy — zły człowiek, nie mogłem tylko znieść jego wiecznie ironicznego tonu i wyrażnie małpiego wyglądu. Przebaczałem mu nawet jego manjackie zbieranie kamieni, niczem nie róż-

niących się od tych, które poniewierały się na wszystkich drogach, i skórek węzowych, które mu się skręcały i pękały. Mówiąc nawiasem, te jego „zainteresowania egzotyczne”, jak on to nazywał, nie były wcale takie niewinne i odegrały w życiu naszego miasteczka niepoślednią rolę.

„Bużju”¹⁾ — bo tak nazywaliśmy go za plecami — zaczepił mnie pierwszy:

— Spodziewam się, że ojciec każe ubić cielca całego i sprosi wszelkie sługi i najemniki, co? — zapytał tym swoim nieznośnym tonem.

Nie uwielbiałem specjalnie Hoerhannów, ale „Bużju” denerwował mnie. Odpowiedziałem więc:

— Jeśli to, co pan mówi, ma pretensję być cytata z Biblii, to muszę panu przypomnieć, że tyczyło się to syna marnotrawnego. A trudno utrzymywać, aby Mariano był nim. Zdaje się, że wprost przeciwnie...

— Wprost przeciwnie, wprost przeciwnie, ma się rozumieć! — odpowiedział mi, ale znowu tak, że trudno było zgadnąć, czy to ma być ironja, czy nie.

W każdym razie starał się unikać kłótni ze mną, ponieważ wiedział aż nazbyt dobrze, że niektóre ze swoich zwarzowanych zachcianek może zaspokoić tylko z moją pomocą. W takiej „wendzie” jak moja, gdzie są upręże i broń, zawsze przytrafi się jakaś skóra lontry²⁾ lub tigra³⁾. Przecież przeze mnie dostał tę swoją czaszkę anty⁴⁾,

¹⁾ Wyjec. — ²⁾ Wydra brazylijska. — ³⁾ Popularna nazwa jaguara. — ⁴⁾ Tapir.

której mu się tak zachciało, mimo że w handlu ma znaczenie tylko skóra anty, doskonała na rzemienie.

Zresztą — szczerze mówiąc — i dla mnie był to dość korzystny klient.

Weszliśmy do Hoerhannów razem. Na werandzie już przywitał nas stary, cały promieniejący i bodaj czy nie po jakimś małym kieliszeczku:

— A, senhor Italiano! (tak mnie nazywali w miasteczku). A, Herr Doktor!

Poklepaliliśmy się — brazylijskim zwyczajem — po łopatkach i weszliśmy do wnętrza. Ludzi było już pełno, może nie tyle przez specjalny sentyment do starego, ile w nadziei dobrej wypitki i usłyszenia najświeższych nowin ze świata. Był właściciel „Casa Clark”, był zegarmistrz Carlo Heisinger (garbaty, jak większość — zdaje się — zegarmistrzów), był nauczyciel Franck, fazender Gomez, padre Rudolfo, słowem — śmietanka.

Mariano stał w głębi, przy oknie i rozmawiał z padre, jako bądź co bądź najbardziej uczonym z naszego towarzystwa. Nie znać było po chłopaku, że skończył uniwersytet: wyglądał mocno smukłowo, był chudy i blady, ręce miał za długie, a miejskie, jasne ubranie jeszcze bardziej pasowało go na chuderlaka.

Ojciec zresztą nie widział tego i coraz ogładał się na niego z triumfującym uśmiechem. Zresztą był to chłopak, co się nazywa ładny: oczy wziął po matce, która pochodziła przecież z Gomezów, a był prawie tak białej cery, jak ojciec. Włosy

tylko i brwi miał ciemne a także oczy. Usta były może nieco grubsze, niż u ojca, ale naogół nie był nawet typem wyraźnie południowym. Pani Hoerhann dozorowała w drugiej izbie służące, przygotowujące do wieczerzy, ale zaglądała do nas od czasu do czasu i kiwała nam głową. Nie trzymali się bowiem Hoerhannowie miejscowego zwyczaju chowania żony przed gośćmi. Gomez patrzył trochę krzywo na pokazywanie się jego córki obcym mężczyznom, ale nic nie mówił, bo wierzył w zięcia, jak w biblję lub skuteczną formułkę od uroku.

„Buźju” zbliżył się do mnie i rzekł:

— Wymoczek.

— Co takiego? — zapytałem.

— Wymoczek. No, ten smyk. Wymoczkowaty jakiś, zielony na twarzy. Nie zdaje mi się, żeby mu Rio posłużyło. Musiał dobrze się szastać.

— Matka go odpasie — odrzekłem, przyznając mu w duchu rację.

— Matka! — przeciągnął „Buźju”. — Hm, być może. Patrzy w niego, jak w tęczę.

— Jedyne dziecko — bąknąłem, aby coś rzec.

— Jedyne! Tak, jej jedyny, ale jego...

Wiedziałem, co miał na myśli, ale nie podjąłem tego tematu. Nie mam zwyczaju wtrącać się w nieswoje sprawy. Ale natychmiast obaj obejrzelśmy się, jedną myślą kierowani, i obaj odwróciliśmy od siebie oczy.

— Taaak! — przeciągnął złośliwie doktor. I naraż dodał półgłosem: — I ktoby to pomyślał, że

ta cicha kobieta ma w sobie tyle jadu! Gdy chodzi o syna — gotowa wszystkich pożyć.

— Nietylko o syna — zauważyłem. — Chodziło jej zawsze o jej stanowisko jako prawowitej małżonki.

— Może być — skrzywił się Gensch i już nie poruszaliśmy tej sprawy. Tymczasem stary Hoerhann zapraszał do następnej izby, gdzie stał wielki stół, nakryty w tej chwili obrusem, białym jak rzadko, a na nim niesłychana moc talerzy. Ci Hoerhannowie zawsze lubili zadać szyku.

Pani Hoerhann została z nami, ale nie siadała, tylko krzątała się koło stołu. Chociaż znałem ją od tylu lat, przyjrzałem się jej z uwagą: usta miała zamknięte mocno i opuszczone w kącikach, oczy duże i ładne, ale jakieś nieufne, czy niechętne i ciągle chowające się pod leniwymi nibyto powiekami.

Jedzenie było godne Hoerhannów i uroczystej chwili: nie było mowy o fizio! Był rosół, ptaki, ryż na maśle i konfitury. Przed mięsem wypiliśmy po parę kieliszków kaszasu²⁾, a przy konfiturach dostaliśmy wino. Z początku było mocno uroczyście, ale w miarę, jak piliśmy — rozwiązywały się języki i wkońcu powstał wielki gwar. Mariano pił sporo i teraz gadał, jak najęty. Powoli inni cichli i przysłuchiwali się temu, co mówił.

¹⁾ *Feijão* — czarna fasola, główna potrawa brazylijska.

²⁾ *Cachas* — wódka z trzciny cukrowej.

— Luiz Pessoa jest moim najlepszym przyjacielem! Ileśmy szampana wypili razem, ho-ho! Ten ma dopiero pieniądze. Ojciec mu daje, ile tylko zechce. Jak my dwaj wyjeżdżaliśmy samochodem (bo Luiz ma i samochód), to żaden policjant nie śmiał nas dotknąć. To się dopiero wyprawiało!

Mariano miał wypieki na policzkach, a język mu się trochę plątał. Doprawdy, nie jestem stronny, ale robił niemiłe wrażenie urzędnego sztubaka.

— A cóż na uniwersytecie? — zapytał dość cicho padre Rudolfo.

— To samo! — zaśmiał się Mariano. — Niechby który belfer spróbował nam, mnie i Luizowi, nie uznać egzaminu!

Zrobiło się na chwilę cicho, ale zaraz odezwał się stary Gomez:

— Ma rację chłopak. Grunt to nawiązać odpowiednie stosunki. A przytem, oczywiście, oświecenie, ogłada. Si, si, to ma swoje znaczenie.

W tem miejscu — ma się rozumieć — musiał się odezwać „Buźju”:

— Prezydent Pessoa ma tak silną partję, że chyba nie należy się obawiać, aby nie wybrali go ponownie, co?

Hoerhann aż zatknął się kurczęciem:

— Myśle! — przeciągnął prawie groźnie.

— Ja też tak myślę! — powiedział spokojnie doktor tym swoim nieznośnym tonikiem.

Rozmowa zesła na poprzednie wybory i wszyscy chórem wychwalali brak wszelkiego terroru

przy nich oraz zbijali plotki, rozpuszczane przez zwolenników Bernardesa. Najbardziej zapalał się stary Gomez:

— Oczywiście, czasem kogo temperament poniesie, gdy usłyszy poglądy nieuczciwe i zbrodnicze, ale to jeszcze nie jest żaden terror. Któż jest przeciwnikiem prezydenta? Ten nieuk i wyrzutek Bernardes i kilkunastu jego kapangów!¹⁾ A naród cały, pytam, gdzie jest cały naród? Za kim stoi?

Ponieważ dyskusja na ten temat nie mogła nikomu wyjść na zdrowie, większość z nas milczała, pomrukując tylko. Doprawdy, nie było powodu, aby się zapalać: każdy nowoobрани prezydent jest dobry, a poprzednik jest znany złodziej i nieuk; każda partja rządząca jest zwierciadłem praworządności, a dopiero gdy jest obalona, okazuje się, że się trzymała tylko dzięki nadużyciom.

Rozmowa o polityce szybko się urwała. Poruszono sprawy bliższe:

— Na fiżon cena jest poprostu śmieszna, nie opłaci się sprzedawać.

W kannie²⁾ są jakieś robaczki, które ją tną nie-
miłosiernie, ale to może nawet i lepiej, bo cena podskoczy, a kto ma sporo, to i tak przecie wszystkiego mu nie zniszczą. José z za rzeki ma wiele kłopotu ze swoim „tytułem definitywnym”: okazało się, że na tej ziemi był jeszcze współnik, który

¹⁾ Capanga — sługa, lub najemnik dla obrony osobistej.

²⁾ Canna — trzcina cukrowa.

nic nie wiedział o sprzedaży. Sprawa poszła do sądu, ale czy José będzie miał dość pieniędzy, aby opłacić sędziów, ...którzy w dodatku wiedzą, że za ziemię zapłacił tanio i że niedawno sprzedał doskonale *herve*¹⁾, a więc jest przy pieniądzach?

Hoerhann uśmiechał się, mrużąc swoje niewielkie oczka, a teraz odezwał się z naciskiem:

— Kto się dobrze rządzi, ten zawsze stara się uregulować swoje sprawy formalnie i prawnie.

Do tej przechwałki Hoerhann miał najzupełniejsze prawo: rządził się dobrze, za dobrze może. Milczeliśmy więc, a Hoerhann dodał uroczyście:

— Napełnijcie, panowie, wszystkie szkła!

Kiedyśmy to uczynili, podniósł się z pewnym trudem, trzymając swój kieliszek w ręku.

— Senhores! — zaczął jeszcze uroczyściej. — Nie potrafię, oczywiście, wyrazić tak dobitnie i pięknie, jakbym tego pragnął, wszystkich uczuć i myśli, które mi się nasuwają w tym doniosłym momencie mojego życia! Zwłaszcza wzruszony jestem, że w tak ważnej chwili, przy stole moim zjawili się wszyscy najbardziej poważani, najdzielniejsi, najinteligentniejsi mężowie naszego miasta.

— Ależ skądże! — zaprotestowaliśmy uprzejmie.

— Nie, panowie! — ciągnął Hoerhann. — Mimo, że was szanuję i poważam wasze zdanie, nie mogę się zgodzić z waszym protestem, dyktowanym tylko przez przesadną, tak, dobrze mówię —

¹⁾ *Herva maté* — herbata braz.

przesadną skromność! Przy stole moim zebrało się w dniu dzisiejszym czoło... tak, czoło naszych okolic i to właśnie — choć mnie niezmiernie cieszy i dziwi nawet (gdyż nie uważam się za godnego tego zaszczytu) — ta obecność właśnie napawa mnie strachem, ponieważ nieudolność moja — tem jaskrawiej wystąpi i może być nawet poczytywana za bezczelność, gdyż odważam się zabierać głos i nudzić tych, którzy stoją na szczycie... tego... inteligencji.

— Nic podobnego! Nie godzimy się! — zawołano.

— Tak panowie! Sam czuję to doskonale! Z drugiej jednak strony wiem, że wyrozumiałość ludzi rozumnych jest większa, niż ludzi nieinteligentnych i prostych, dlatego liczę na to, że nie na formę — bezwątpienia nieudolną — ale na uczucia, które wyrażają moje słowa, zwróćcie, panowie, łaskawą uwagę.

Tu stary popił z kieliszka i myślał przez chwilę, bo mu się splątało nieco w głowie.

— Przychodzi na każdego człowieka czas, moi panowie — rozpoczął znowu — że pragnie podpory i pomocy i pragnie, aby dzieło, które on rozpoczął, miało zapewnioną ciągłość. Tę podporę Bóg łaskawy i Nossa Senhora udzielają mu w postaci dzieci, które wymagają opieki, dopóki są młode, ale które wywdzięczają się z procentem — że tak powiem — kiedy zostaną dorosłymi. Dzisiaj, moi panowie, nadszedł dzień, że syn mój stał się człowiekiem dojrzałym, dorosłym i samodzielnym.

Dlatego pragnę mu dać możność pracy samodzielnej, dać mu warsztat, na którym wykazałby swoje zdolności i mógł go podnieść do kwitnącego stanu. Chociaż... hm, oczywiście sam jeszcze czuję się — że tak powiem — w pełni sił.

Dojrzały człowiek tymczasem siedział głęboko w swoim krześle, patrząc przed siebie może nieco bezmyślnie. Głowa chwiała mu się na boki, a w gardle odbijało się nieco. Można to było od biedy wziąć za powagę.

— Dlatego, moi panowie, pragnę mu dać... pragnę mu dać...

Wszyscy ustawili uszu, bo wiadomo było, że Hoerhann nawet synowi daje z bólem serca. On zaś wytrzymał odpowiedni moment artystyczny i rzekł z niedostrzegalnym prawie westchnieniem:

— Daję mu fazendę¹⁾ Successo!

To istotnie zrobiło wrażenie. Wiadomo było, że fazenda Successo jest trzonem własności Hoerhanna, że herva z niej zebrana pokrywała w najgorszych latach wszystkie jego załamania się handlowe i że bez niej — był tylko drobnym posiadaczem, niemogącym mieć pretensji do pierwszego miejsca w mieście i stanowiska prefekta.

Zrobił się gwar; jedni szeptali:

— Ileż to musieli Gomezowie nasuszyć staremu głowy!

A drudzy:

— Musiał zbić spory kapitał w handlu, kiedy odważa się pozbyć fazendy!

¹⁾ *Fazenda* — posiadłość ziemska, folwark.

Hoerhann, zadowolony z wrażenia, rozglądał się wkoło i powtórzył:

— Tak, zachowuję oczywiście cośnecóż dla siebie, ale daję mu fazendę Successo. A jako symbol tej darowizny i miłości ojcowskiej zarazem, daję mu ten oto pierścień. Formalności załatwimy później.

W tym momencie zrobiło się bardzo cicho, gdy naraz tuż za plecami Hoerhanna odezwał się cichy i spokojny, ale dziwnie niepokojący głos:

— A co mnie dajesz, ojcze?

Przeleciał cichy pogwar i znowu ucichło. Hoerhann nie potrzebował się oglądać — siadł bez słowa. A kiedy siadł — za nim ukazała się postać młodzieńca w chustce na szyi i szerokim kapeluszu na głowie.

Hoerhann nie spojrzał ani razu w tamtą stronę: patrzył przed siebie, jakby tam widział kogoś i mówił w przestrzeń:

— Eduardo...

Głos jego nie był zupełnie podobny do głosu, którym mówił przed chwilą. A on sam był błydy i oczy miał nieruchome. Możecie mi wierzyć, że w scenie tej było coś takiego, że ani Gomez, który trzymał już rękę pod kurtką, ani jego córka, ani Mariano, który cały pochylił się w tamtą stronę, ani nikt z nas — nie śmiał wziąć w niej udziału.

— A cóż... cóż ty — z trudem i bardzo wolno mówił stary — cóż ty chcesz, Eduardo?

— Co ja chcę? Och, nie mam zamiaru naciągać cię, ojcze! Daj mi...

Eduardo popatrzył na ścianę, gdzie wisiał wspinały, magazynowy Winchester 44-go kalibru.

— Daj mi karabin, ojcze.

— Karabin? — odwrócił się stary.

— Tak, chciałbym mieć ten karabin.

— A więc... — mruczał stary, całkiem stropiony. — Więc weź go sobie, jeśli...

— Dziękuję ci bardzo, kochany ojczulku! — powiedział bardzo spokojnie Eduardo, a nam od tego spokoju przebiegł dreszcz po plecach.

Eduardo zdjął karabin ze ściany i zarzucił go sobie na plecy.

Pierwszy oprzytomniał stary Gomez:

— Możebyś tak zdjął kapelusz?! — wrzasnął wściekle. — Nie jesteś w stodole!

— Och, poco? — spokojnie cedził Eduardo. — To się nie opłaci: ja przecie zaraz wychodzę.

— To niedobra wróżba, Eduardo! — odezwał się zaraz „Bużju”. — To niedobra wróżba dostać broń w prezencie. Musisz dać ojcu 10 rej-sów¹⁾.

— Bahl! kiedy i tego nie mam! — roześmiał się krótko Eduardo. — Nie, nie mam i tego.

Stał tam, za plecami ojca, i prowadził wolno oczami dokoła. Takim samym martwym wzrokiem przesunął się po twarzy Mariana i wreszcie zwrócił się ku drzwiom:

— Dobranoc, ojczulku, dobranoc, braciszku! I wam dobranoc, senhores!

¹⁾ Najniższa moneta brazylijska.

Dopiero, kiedy drzwi wejściowe stuknęły, rozwiązały się wszystkim języki. Dopiero wtedy stary Gomez zapiął nieznacznie futerał swego pistoletu, a Hoerhannowa cofnęła się blada do drugiej izby. Posiedzieliśmy jeszcze chwilę, usiłując rozmawiać, aż wreszcie wybawił nas padre Rudolfo, mówiąc wesoło:

— No, objedliśmy gospodarza, podpiliśmy sobie, a teraz uciekajmy do łóżek, bo jeszcze zaczniemy na ulicach brewerje wyprawiać!

Bodaj to wychowanie dyplomatyczne! Westchnęliśmy z ulgą i zaczęliśmy się czem prędzej żegnać z gospodarzami.

Ja szedłem z doktorem, który coś mruczał do siebie i kręcił głową. Wieczór był ładny, księżyc odbijał się w Itajahy, przypominając całkiem kinematograf, i było ciepło tak, że mimowoli zatrzymaliśmy się na moście i patrzyliśmy na wodę.

— Incydent! — przeciągnął po chwili doktor i zaśmiał się krótko.

— Pojedynek matek — powiedziałem po chwili.

— Pan myśli, że to „Paragwajka” namówiła go do tego? — zapytał doktor.

Tak nazywaliśmy matkę Eduarda, metyskę z Paragwaju, kościelną żonę Hoerhanna. Taki bogacz mógł sobie pozwolić — jak to zresztą robiło wielu — na dwie żony: cywilną i kościelną. Zazwyczaj żona kościelna miała niższą pozycję, ale nie było to regułą bez wyjątków. Taki na przykład Lestrados wziął na starość ślub kościelny z młodą dziewczyną, i wiemy wszyscy, jak wy-

strychnęła go na dudka. Ale tu było co innego: „Paragwajka” była potulna i nie miała rodziny. A wiadomo, co to jest, kiedy człowiek nie ma rodziny: nietylko nie może liczyć na wygranie sprawy w sądzie, ale nawet życia jest niepewny, skoro każdy wie, że nie ma nikogo, ktoby się mógł pomścić. Przecież nie na policję będzie liczyć.

— A jednak myślę, że to „Paragwajka”. Pan nie wiesz jeszcze, doktorze, co może kobieta, kiedy jej chodzi o dziecko.

— Może być, że nie wiem — burknął „Bużju”. — Nigdy nie rozumiał kobiet i mało miałem z nimi — chwala Bogu! — do czynienia. Ale za to znam lepiej Eduarda, niż pan.

To było prawdą. Jeżeli nawet Eduardo przychodził do mojej „vendy” i oglądał baty, siodła, albo rewolwery — to jednak zawsze milczał lub mruczał coś niewyraźnie. U doktora zaś przesadywał całymi dniami, słuchał jego uczonych bzdurstw, oglądał jego „zbiory”, a nawet czytał.

— No, więc cóż ten pański Eduardo?

— To, że to nie jest człowiek, któryby słuchał czyichś rad. Zresztą owszem — słucha, tylko nigdy nie wiesz pan, co on o tem myśli, a kiedy coś zrobi — okaże się, że całe pańskie gadanie nie miało żadnego skutku. On milczy, ale ciągle myśli i wie dokładnie, jaką ma pójść drogą. On sam sobą kieruje w jakiś niewytłumaczony, instynktowny sposób i zawsze dobrze robi.

— No, wie pan, doktorze... — skrzywiłem się.

— Myśli pan o jego włóczęgach? — żywo zagadnął doktor. — Otóż myli się pan, jeżeli pan przypuszcza, że to jest bezmyślne włóczenie się próżniaczego wyrostka. On umie patrzeć i uczy się ze wszystkiego. I ze wszystkiego umie brać coś takiego właśnie, co mu jest potrzebne. Nieraz jego uwagi... Nie, nie, to nie jest przeciętny chłopak.

Doktor miał słabość do tych, którzy znosili bez protestu jego „etnograficzne” monologi. Nie chciałem zresztą napadać na Eduarda: chłopak robił wrażenie tęgiego charakteru. Odezwałem się tylko:

— Jednego brak mu jednak: praktycznego rozsądku. Gdyby był obrotny — to zdołałby jednak coś ze starego wydusić. Tymczasem, pamiętasz pan? — nie chciał przyjąć kolonji, kiedy go stary chciał wydzielić.

— Tum pana czekał! — zaśmiał się z triumfem doktor. — Pan to uważa za dowód niepraktyczności? Naodwrot, kochany panie! Gdyby Eduardo to przyjął — stary i Gomezowie i wszyscy zresztą uważaliby, że jest skwitowany, a powiedz pan sam, co znaczy 25 hektarów wobec majątku starego? I co to za ziemia w dodatku ta, którą mu dawał! Same pinjory¹⁾, bez twardego drzewa! i bez hery w dodatku! i cały kawał kwaśnego kampu!²⁾ A tak może zawsze wystąpić z pretensją do podziału:

¹⁾ Typowe drzewo południowej. Brazylii, rodzaj limby.

²⁾ Campo — łąka stepowa.



jest ich tylko dwóch, a ślub kościelny to przecież jednak coś, ludzie liczą się z tem mimo wszystko.

— Tymczasem zaś — nie ustępowałem, choć „Bużju” miał wiele racji — tymczasem zaś żyje z promu i mieszka w nędznem ranszo¹⁾, jak ostatni nędzarz.

— W nędznem ranszo... — powtórzył w zamyśleniu doktor — tak, rzeczywiście...

Zeszliśmy z mostu i szliśmy wolno wzdłuż rzeki. Naraz między drzewami mignęło światło, jakby zawieszone w próżni nad szumiącą rzeką. Nie myśląc o tem, doszliśmy prawie do samego promu.

— Nie śpią! — szepnął cicho „Bużju”.

Odwróciłem się mimowoli w stronę domu Hoerhanna, który stał na wzgórzu i mógł być stąd widoczny. Księżyc jednak schował się za chmury i domu nie było widać, nie było jednak widać i światła. Doktor poszedł za moim wzrokiem i powiedział jakoś dziwnie:

— A ci — śpią.

Kto wie jednak, czy stary Hoerhann spał tej nocy?

¹⁾ Szalas.

II.

Kiedy się opowiada jakąś historję, wydaje się, że wszystko jest jasne, powiązane ze sobą i że można nawet przewidzieć zgóry koniec. Wydawać się może także, że życie nasze było tak bardzo ożywione. Tymczasem pamiętać trzeba, że zdarzenia te działy się w sporych odstępach czasu, że w międzyczasie ludzie pracowali, spali, chodzili na kaszas i do kościoła, że działy się także całkiem inne rzeczy. Że nawet kiedy coś się zdarzało, każdy kto przychodził do vendy, gadał co innego i każdy najlepiej był poinformowany.

Tak też było z ową kolonizacją, urządzaną przez starego Hoerhanna. Były narady, pogłoski, gadania, a nawet artykuły w „Correio do Sul”, a w gruncie rzeczy niewiadomo było, co o tem myśleć. Jużci, jeżeli robił to Hoerhann — to wydawało się, że rzecz warta była zachodu. Nie wierzyliśmy jednak, dopóki nie zjawiły się pierwsze karossy.

Koloniści obozowali tymczasem nad rzeką i mieszkali w karossach. Niecierpliwili się też ogromnie, jakby jechali na Bóg wie jakie rozkosze. Sprawa jednak przeciągała się, bo tereny były

jeszcze nie wymierzone: lada dzień czekano powrotu mierników.

Stałem właśnie z kilkoma znajomymi niedaleko domu Hoerhannów i grzałem się na słońcu, bo ranek był chłodny, kiedy nadjechała „tropa”¹⁾ mierników. Na przodzie jechał Ladislau, dobry chłop, choć strasznie porywczy. Można było zgóry przepowiedzieć, że nie zrobi on nigdy majątku, bo był uczciwy do przesady, a przytem miał swoje fantazje i nieraz rzucał dobrą robotę bez żadnej wyraźnej przyczyny.

Teraz jechał ponury, jak noc, i ledwo bąknął „dzieńdobry”. Ohcieliśmy go zatrzymać i wołaliśmy:

— Jak się powodzi, Ladislau?

— Dziękuję, źle! — odpowiedział.

Jedni wzruszyli ramionami, inni się roześmiali:

— Dziwak!

Tymczasem wyszedł i Hoerhann na ganek. Spojrzał na tropę i zszedł na ostatni stopień:

— Pomierzyliście? — zawołał.

Ladislau nie odpowiedział. Podjechał blisko do ganku i, nie schodząc z konia, zatrzymał się tuż przy starym.

— No, co? pomierzyliście? — zapytał znowu, trochę zaniepokojony.

— Nie! — powiedział Ladislau.

Nasza gromadka podsunęła się bliżej, bo zaczynało być ciekawie.

Hoerhann wydawał się nie rozumieć i spytał:

¹⁾ Tropa — oddział, karawana.

— Jakto? Naprawdę nie pomierzyliście? Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzył Ladislau. — Dlatego, że ja lubię uczciwą robotę.

— Senhor!

— Tak, ja lubię uczciwą robotę. A jak ktoś chce sprzedawać nie swoją ziemię, żeby potem ludzie przeklinali i nie mogli dostać „tytułu” — to niech sobie szuka kogo innego.

— Senhor, proszę się liczyć ze słowami! — wrzasnął nagle stary, widząc, że zbiera się nas coraz więcej. — Ja pana zaaresztuję za obrazę.

Hoerhann przypominał sobie w chwilach najwygodniejszych, że był prefektem. Wiedział jednak zarówno on, jak Ladislau, że sprawa nie wygląda tak groźnie, bo Ladislau był jednym z najlepszych mierników i był szanowany przez ludzi.

Ladislau obejrzał się na nas i, nie chcąc widocznie wszczynać awantury, mruknął tylko:

— Rób pan sobie, co chcesz. Ja mierzyć nie będę: nie zgadza się z planem. Tych terenów na pańskim planie niema. I możesz pan mi nie płacić: oszczędzisz sobie na innego miernika.

Stary zmieszał się i maskując to, krzyknął:

— To możesz się wynosić sobie!

— Pewnie, że się wyniosę.

Kilku mężczyzn zbliżyło się do Hoerhanna, który przekładał im głośno:

— Jaki mi prawnik! Mnie, prefekta, chce uczyć, co można, a co nie! A ty wiesz, czyja to ziemia? Znajdziesz może właściciela od niej?

A nie słyszałeś o prawie „bemfeitorii”? Tu nie Europa!

Ladislau już nie słuchał i drobnym truchtem pojechał do vendy Silveira. Powoli ruszyliśmy tam za nim. Ladislau był zły, jak sam djabeł, i na nic się nie zdały żadne zagadywania. Dopiero, gdy podjadł i ktoś poczęstował go cygarem, odezwał się, jakby do siebie:

— A to szelma! A kanalia!

— Więc powiadasz, że na planie... — zaczął ktoś ostrożnie.

— Do diabła ze wszystkimi planami! — krzyknął Ladislau. — Poco sobie niemi głowę zawracać, jeżeli każda szelma może kpić z nich w żywe oczy? Zajmuje sobie taki pan jakieś ziemie i — proszę bardzo — sprzedaje! „Bemfeitoria”! — Rzeczywiście! Nie jestem chyba dziś urodzony i wiem, jakie są z tem przyjemności, zanim dostanie się „tytuł definitywny”. A zresztą — proszę bardzo — co mi za dobroczyńca! Dlaczegoż on ma zarabiać na „bemfeitorii”? Do tego ma każdy prawo: wystarczy przyjść na rządową ziemię, włożyć w nią pracę i nabyć prawo do starań o pierwokup. Ale żeby sprzedawać ziemię nie swoją, licząc na bemfeitorię — na to trzeba być ostatnim złodziejem!

— Ostrożnie, Ladislau, to się może donieść do prefekta! — mruknął któryś.

— At! Lepiej niech on mnie nie tyka. Pókim dobry — to dobry, ale...

Wiedzieliśmy o tem wszyscy i „ale” Ladislau’a nie mogło nikogo zachęcać.

Na drugi dzień Ladislau wyjechał na północ, w stronę Czerwonej Rzeki, a za kilka dni przyjechał nowy miernik, któregośmy nie znali. Zamieszkał u Hoerhannów, którzy mówili o nim „inżynier”. Pewnego wczesnego ranka „inżynier” znikł z osady i stało się wiadomem, że pojechał mierzyć. Czy miał mierzyć loty na tych „niczyich” ziemiach, czy terenach fazendy Successo — trudno było wiedzieć, ale... znaliśmy starego Hoerhanna.

W osadzie nastąpiła cisza. Eduardo prawie nie pokazywał się, Hoerhannowie także jakoś stronili od ludzi, jedynie Mariano włóczył się bez celu tu i ówdzie. Musiał się dobrze nudzić z nami, to jasne.

Chodził sobie po osadzie, ubrany elegancko, i zagadywał panienki, wysiadujące w oknie. Oczywiście, że i one były nie od tego. Czemuż się dziwić? — Siedzenie cały dzień w oknie, owo „okienkowanie”, jak to tutaj nazywają, nie jest — mimo wszystko — zajęciem bardzo zajmującym. A zwyczaj ten przyjmował się tak dalece u nas, przyjezdnych, że nawet ci, co z niego początkowo żartowali — zaczęli wreszcie uważać za nieprzyzwoitość, kiedy młoda panna ukazywała się sama poza domem. Oczywiście, że niektóre z nich pomagały matce w gospodarstwie, ale i to uważano za coś niższego. Siedziały więc, oparte o małe poduszcзки, i gapiły się na cały Boży dzień.

Mariano, który całą młodość spędził na północy, uważał to za zupełnie naturalne i umiał dowcipnie zagadywać lub rzucać niewinne, a znaczące słoweczka. Nie mówiąc o tem, że w ustach syna takiego bogacza wszystko stawało się dowcipnem. Panny pożerały go poprostu oczami.

Najczęściej zaś przystawał pod oknem Hildy Heilbrunner. Nie dlatego oczywiście, żeby to była panna elegancka lub zamożna: była ona tylko córką rzeźnika, któremu się średnio powodziło. Ale widocznie ojciec karmił ją usilnie mięsem, z którym miał ciągle do czynienia, bo była jędrna, tęga, okrągła. Włosy i oczy miała ciemne, płeć białą, usta czerwone — zdawała się być stworzona nato, aby budziła, głuche, a gwałtowne pożądania. Na nią to najczęściej patrzył Mariano.

Ale i to mu się znudziło prędko: w miastach przywykł do zabaw, do hulanek nocnych i pijatyk, więc cisza naszej osady musiała go męczyć.

Tem się chyba tłumaczy, że któregoś wieczora przyszedł do mnie na kaszas. A raczej — nie: nie na kaszas, on chciał konjaku!

Ludzi było u mnie sporo, jak zawsze o tej porze, a mogę powiedzieć — bez przechwałki — że w vendzie mojej zbierano się chętnie i licznie po dziennej robocie. Targowali, popijali szimaron¹⁾, który zawsze był w ruchu, łyknęli czasem nieco (lub więcej, niż nieco) kaszasu i gadali. Dzięki temu, nie ruszając się prawie z miejsca, miałem

¹⁾ Esencja „herwy“, bez cukru.

informacje o wszystkim, co się działo w osadzie i okolicy. Doprawdy! — mógłbym wydawać gazetę!

Kiedy Mariano wszedł, uciszyło się nieco, bo nie przywykliśmy go widzieć między sobą. Nie tylko dlatego, że wynosił się z powodu bogactwa i że mu zazdroszczono, nie! Tu była inna rzecz: mężczyźni nie mają zaufania do człowieka, który trzyma się ciągle blisko kobiet. Nie jest to zazdrość samców, ani obawa konkurencji. Owszem, mężczyzna, który ma powodzenie u kobiet — podobą się mężczyznom, jako prawdziwy chłop, ale to powodzenie musi zawdzięczać prawdziwie męskim zaletom. Mężczyzna, który podobą się kobietom, bo umie wśliznąć się w ich łaski, zamiast je zdobyć; mężczyzna, który tylko wśród kobiet czuje się dobrze, a unika mężczyzn — jest na pewno złym towarzyszem i to wszyscy prawdziwi mężczyźni wyczuwają.

W mojej vendzie siedzę, jak w teatrze, do brych kilkadziesiąt lat i miałem czas przyjrzeć się wielu ludziom i trzeźwym i pijanym. Możecie mi zaś wierzyć, że nie patrzę, jak baran na wodę. Niezawsze też byłem vendystą w zapadłej osadzie. Mniejsza z tem zresztą.

Kiedy Mariano wszedł do mojej vendy, ludzie nieco przymilkli i obejrzeli się na niego. Mariano był trochę strapiony, ale nadrabiał miną.

— No cóż, przyjacielu, co tam macie do picia? — spytał mnie zuchowato.

— Szimaron, lemonjadę... — odpowiedziałem z poważną miną.

Zaczerwienił się gwałtownie i wyjął nieco papierków z kieszeni od spodni:

— Wódki niema? — pisał jakoś nienaturalnie.

— Owszem, owszem! — odpowiedziałem usłużnie. — Jest kaszas.

— Kaszas! — skrzywił się Mariano. — Konjaku nie macie?

— Konjaku? — zdziwiłem się bardzo. I dodałem ze smutkiem: — Nie, panie, nie mam.

Chciał już wyjść, ale zatrzymał się w pół ruchu:

— No, dajcie tego kaszasu!

Niektórzy powiadają, że kaszas jest najniebezpieczniejszą wódką na globie ziemskim, ponieważ atakuje nerwy. Nie wiem. Z moich obserwacji nie mogę wyciągnąć tak stanowczego wniosku. Wolę przypuszczać, że Mariano miał słabą głowę, nie znał swojej „miary”.

Naprzód skrzywił się haniebnie, potem wychylił szybko kilka szklaneczek i zaraz prawie był gotów.

— Proszę, panowie, na mały poczęstunek! — zawołał trochę bełkotliwie.

Nikt jakoś się nie kwapił, tylko młody Heisinger, syn zegarmistrza, który nosił coraz to inny zegarek, pożyczony ze sklepu ojca, i dawno chciał się zbliżyć do Mariana — podszedł odrazu. Mariano się ucieszył z tego sprzymierzeńca i zaczął

go hojnie częstować. Dwaj młodzieńcy, popisując się jeden przed drugim, pili naumór, a reszta towarzystwa przyglądała się im drwiąco. Ani się opatrzyli młodzi, kiedy oddalili się od całej reszty, wydzielili z niej, jakby stali się aktorami wobec widzów, którymi była reszta.

— Nudno tu u was! — bełkotał Mariano, wytrzeszczając z wysiłkiem oczy. — Nudno, rozumiesz? Ja... w Rio... co noc gdzieś... rozumiesz?..

Otto Heisinger mrugał oczami i bąkał coś niewyraźnie.

— Ale ja i tu... potrafię, he-he-he! — zaśmiał się głupio Mariano. — Tu są apetyczne dziewczyneczki... I jak tylko zechcę... Apetyczne... Taka, na przykład, Hilda!

Tu zrobił tajemniczą minę i cmoknął. Jego adiutant roześmiał się szeroko i także klasnął językiem. Musieli być już dobrze pijani, jeżeli pozwalali sobie na takie rozmowy, nie przyjrzawszy się nawet dobrze, kto jest w vendzie.

W tej chwili stanął przed Marianem rzeźnik Heilbrunner i ryknął strasznym basem, aż myśmy przysiedli:

— Zamknij pysk!

Mariano, pomimo pijaństwa, zrozumiał, w jaką sytuację się wpakował, ale wydawało mu się, że jest taką osobą, której wszystko powinno uchoodzić płazem. Odsunął więc ręką rzeźnika i wybełkotał:

— Wynoś się... Wiesz, kto ja jestem?

— Wiem! — wrzasnął rzeźnik. — Brudny wieprz!

Mariano patrzył na niego starannie i kiwał się naprzód i wtył. Usiłował przytem zrobić minę ważną i groźną. Wreszcie wrzasnął jakimś nienaturalnym, płakiwym tonem:

— Arrr-eszt-uję! — i wyciągnął niepewną rękę.

W tej samej prawie chwili poleciał przez całą vendę i, jak pocisk, wbił się pomiędzy beczki, stojące w ciemnym kącie, tak że zniknął nam z oczu. Ponieważ w rękę Heilbrunnera zjawił się już długi nóż (kto wie, czy nie ten sam, którym operował woły) — postanowiłem interwenjować:

— Dosyc, kmotrze — powiedziałem. — Daliście mu nauczke i obawiam się, czy nie nazbyt surową. Słyszycie, że się nie odzywa? Zresztą był pijany. Słowa pijanego nie mogą obrazić. Wszyscy znamy waszą rodzinę. Nikt nie ośmieli się...

Udobruchaliśmy go powoli i wyprowadzili na dwór. Następnie zajęliśmy się Marianem. Okazało się, że nic mu nie jest i że milczał jedynie ze strachu, czy ze zdumienia. Kiedyśmy go wyciągnęli z pomiędzy beczek, zaczął otrzepywać się starannie i oglądać wokoło. Powoli venda się opróżniła, został tylko jego pijany zwolennik. Mariano jakby oprzytomniał przez chwilę i twarz jego przybrała wyraz zawziętości.

— Dajcie mi jeszcze wódki! — zachrypiał i twarz jego, pochylona jak łeb byka, stała się podobną do twarzy ojca.

— Będzie już dosyc, senhor — przekonywałem go. — Piliście już dosyc.

Ponieważ jednak upierał się, a ja mam vendę poto, żeby zarabiać, a nie żeby propagować hasła wstrzemięźliwości, jak spirityści, którzy mają kaplicę koło Florianopolis — dałem im jeszcze po kieliszku.

— Dobrze! — mruknął Mariano. — A teraz ten stary zobaczy. Będzie jeszcze mnie błagał na kolanach, żeby wziął córkę... i dziecko! Ha-ha-ha! Idziemy zaraz, Otto!

— Senhor! — powiedziałem do niego. — Nie wiem, co zamierzasz, i nie lubię się wtrącać w nie-swoje sprawy, ale to ci powiem, że u nas niektóre rzeczy są niebezpieczniejsze może jeszcze, niż w stolicy. I że tu żadna protekcja nie pomoże. Gdyż — jak to jest stwierdzonem — protekcja nie odbija kuli, ani nie topi noża.

Wydaje mi się, że dowcip ten był całkowicie stracony, bo Mariano nie tylko nie uśmiechnął się, ale nawet nie odwrócił do mnie głowy. Dopiero po chwili zobaczyłem, że zrozumiał ogólny sens mego przemówienia, gdyż odrzekł chytrze:

— Po nocy wszystkie koty są szare! Fiuuut! — szukaj wiatru w polu!

Zrozumiałem, że jest w najgorszym momencie pijaństwa (a chciejcie mi wierzyć, że mam podstawy, aby znać się na tem), w tym momencie, kiedy przychodzi na człowieka fałszywa przytomność, pozwalająca mu działać z pewną logiką, logiką warjata i zbrodniarza, a zaćmiewająca zdro-

wy rozsądek i sumienie. Inaczej, czyżby zwierzał mi się z tego, co chciał zrobić potajemnie, i czyżby wogóle odważył się planować podobny zamach na kobietę — w kraju, gdzie kobieta jest chroniona przez bezkarne zabójstwo śmiałków?

— Jeszcze raz, senhor, radzę ci...

— Idź precz! — krzyknął Mariano i wyszli obaj dość pewnym krokiem.

Wahałem się przez chwilę: uprzedzić Heilbrunera? zawiadomić starego Hoerhanna? biec za nimi?...

Tymczasem stałem i słuchałem, czy nie rozlegną się strzały lub odgłosy walki. Było cicho. Przyszedłem wreszcie do przekonania, że jestem starym durniem, wyobrażającym sobie Bóg wie co, i że wszystko to było gadaniną pijanego smarkacza. Jeszcze w łóżku nad słuchiwałem długo i nie mogłem zasnąć, ale w całej osadzie była zupełna cisza.

Tak zresztą zwykle bywa z oczekiwaniem: spałem już na dobre, gdy rozbudziło mnie potępiące walenie w drzwi. Złapałem swojego Shmidta i skoczyłem z łóżka:

— Co tam?

— Niestety! Otwieraj pan! — usłyszałem kilka głosów.

Wyjrzałem przez otwór w drzwiach i zobaczyłem kilka znajomych twarzy.

Otworzyłem.

— Nie masz pan czego na rany? — pytali mnie. Jodyny? Octu?

Nie mogłem się ze snu połapać z tem wszystkim:

— Octu?

— Cokolwiek! Zaraz przyjdzie senhor Schulze! Przebił go chyba nawyłot!

W niepewnym świetle jakiejś lampy dojrzałem na ziemi tego biednego Heisingera. Cały był powalany krwią i chrypiał ciężko. Ludzie stali koło niego zatroskani, ale nic nie mówili: woleli nie domyślać się przyczyny zajścia.

Wkrótce nadszedł doktor Schulze. Był opatulony, jak zawsze, ponieważ bał się panicznie niewygód i „tego zdradliwego klimatu“. Swojami delikatnymi, kobiecymi prawie rączkami rozsunał biedakowi bieliznę i szybko opatrywał go, nic nie mówiąc. Nie widziałem dobrze rany, ponieważ doktor zasłaniał sobą rannego. Nie musiało jednak być dobrze, bo kiedy doktor podniósł się, twarz miał zachmurzoną, jak noc przed burzą.

— Jakże, doktorze? — zapytał go ktoś niepewnie. — Bo trzebaby dać znać ojcu: nie wie jeszcze...

— Niech lepiej nie wie! — odpowiedział cicho Schulze.

Nie zaraz jednak umarł młody Heisinger. Gorzej to było dla niego, ponieważ się męczył, ale lepiej — dla spokoju osady, ponieważ zemsta i oburzenie zdołały tymczasem wyparować. Śmierć natychmiastowa — zapala odwet i robi gwałt, lecz śmierć — choćby z tej samej rany — ale po miesiącu, wydaje się czemś naturalniejszym. To też

i ta mała, niepotrzebna śmierć przeszła bez większego wrażenia.

Garbaty zegarmistrz niebardzo był odpowiedni do roli krwawego mściciela, poza tem zaś wiedział, w jakich okolicznościach to się stało. Rzeźnik odgrażał się co prawda, że „i na innych czas przyjdzie”, ale na tem się skończyło. Gniew jego trwał tylko jeszcze ze względów — niejako — praktycznych: liczył na to, że zmusi Hoerhannów do zezwolenia na małżeństwo Mariana z jego córką. Hoerhannowie zaś, rozumiejąc to doskonale, przycichli zupełnie i czekali, aż się sprawa uleży. Hilda wreszcie — której zazdrościły wszystkie dziewczęta w osadzie — siedziała tak samo kusząca i bez wyrazu w swoim oknie.

Tak, można powiedzieć śmiało, że śmierć młodego Heisingera nie zrobiła zbyt wielkiego zamełtu. Zresztą doktor Schulze wspomniał, że do jego śmierci przyczyniło się niedbałe opatrywanie rany i „niehigieniczne warunki”.

Wkońcu powrócili z lasu miernicy z „panem inżynierem” i zaczęto gadać o czem innem. Ruszyli się wreszcie niecierpliwi emigranci i zaczęto formować nową tropę do pomocy im, przewodnictwa i ostatecznego wytyczania lotów.

Któregoś dnia stary Hoerhann zasiadł przed swoim gankiem, za stolikiem i zaczął przyjmować zapisy do tropy. A że już kilka dni przedtem rozgłosił, że potrzebuje wielu „camaradas” — zaczęli się złączyć różni młodzi ludzie, których swędziały pośladki od siedzenia na ławce, w domu i któ-

rzy gwałtem mieli ochotę poodbijać je sobie na siodle, a zarazem móc co zostawić we wszystkich vendach osady. Przez ciekawość znalazło się także sporo nas, szczerze mówiąc — gapiów. Hoerhann przepijał do każdego, wydawał zaliczkę, brał podpis i uderzał ręką w rękę. Niedaleko stali w zbitej gromadzie emigranci. Powoli zrobił się mały tłumek.

— No, jeszcze jednego mi potrzeba, senhores! — wołał stary rozochocony. — Jeszcze jednego „walentona”¹⁾, któryby się nie bał lasu! No! Czyż niema takiego?

— Si. Jest — odezwał się nagle głos w tłumie i ktoś zaczął przepychać się ku stolikowi.

Poruszyliśmy się wszyscy niespokojnie, kiedy przed stolikiem stanął... Eduardo. Ten miał pomysły.

— Eduardo! — wzburzoną głosem zabulgotał Hoerhann. — Co to za komedje?

— Komedje! — zaśmiał się krótko Eduardo. — Żadne komedje. Chcę zarobić na chleb. Popatrz, jak wyglądam!

Spojrzelśmy wszyscy. Dlaboga! — co z tym człowiekiem się działo? Wynędzniały, obdarty, jak najmarniejszy kabokło z lasu, tylko z oczami błyszczącymi silnie. Zawstydzilem się doprawdy, nie tylko za ojca, ale za nas wszystkich: nikt się nie spytał nawet, jak chłopak daje sobie radę.

¹⁾ Zawadjaki.

A był to przecie młodzik, mało co starszy od Mariana!

Wzięła mnie złość na tego warjata „Buźju”: tak się oświadczał z przywiązaniem do tego chłopca i śpiewał duby smalone na jego cześć. Tymczasem — jak widać — był to poprostu biedny parobek Boży, który przymierał głodem.

Stary także był oszołomiony i patrzył w milczeniu na Eduarda. Cała jego pewność siebie: bycze pochylenie głowy, basowy głos, chytrze zmrużone ślepka gdzieś się podziwiała wobec tego bladego chłopaka. Był on niesłychanie podobny do ojca, podobniejszy niż Mariano, który więcej wdał się w matkę. W tym nie znać było ani kropli krwi obcej.

— A cóż twój prom? — spytał wreszcie, jakby zapominając o wszystkich, którzy na tę scenę patrzyli.

— Mój prom? — zaśmiał się znowu Eduardo. — Kpisz, czy o drogę pytasz? Od czasu, jak postawiliście drugi, powyżej biegu i przecięliście drogę do niego — mogę chyba wozić duchy topielców!

Powiedział to tak strasznie, że niektórzy wystawili palce od uroku.

— Eduardo! — bąknął stary. — Wierz mi, że ja nic w tej sprawie...

— Dobrze, dobrze! Nie rób widowiska. Nie proszę o nic i nie skarzę się. Potrzebujesz „camarady”? — Otóż jestem. Nic więcej.

I ojciec automatycznym ruchem wziął ołówek. Zawahał się jednak. Wówczas syn powiedział:

— Nazywam się Eduardo Hoerhann da Silva.

To było po raz pierwszy, kiedy wystąpił publicznie ze swem nazwiskiem, w którym połączył nazwisko ojca, prefekta i bogacza, z nazwiskiem matki, Paragwajki, podobno kupionej od herwiarzy z Foz do Iguassú.

Stary Hoerhann, blady i zgarbiony, zapisał to nazwisko do swojego kwitarjusza i dał synowi załączkę.

Eduardo zaś, nie patrząc więcej na nas, ani na nikogo — wykręcił się na pięcie i poszedł sobie. Miał zresztą rację.

W kilka dni potem cała kawalkata wyruszyła w stronę lasu. Wylegliśmy wszyscy, aby ich odprowadzić. Szliśmy za nimi spory kawał drogi, mimo że Hoerhann prosił nas na poczęstunek do siebie. Nagle, kiedy już tropa mijają ostatnie domy miasteczka — z za węgła wyjechał na dobrym mule Mariano. Miał wspaniałą, błyszczącą rząd, siodło wyłożone pelegrami jak łóżko i uśmiechał się bezczelnie. Za nim jechał służący Hoerhannów i prowadził jucznego muła. Kiedy Mariano uklonił się nam kapeluszem, z tłumu wystąpił nagle rzeźnik Heilbrunner:

— Hola! — krzyknął. — Gdzież to odjeżdża sobie kawaler? Czyśmy to nie omawiali, panie prefekcie, pewnych spraw, do których obecność tego młodzieńca byłaby nieco potrzebna?

— Ależ, stary! — łagodził Hoerhann. — Na wszystko jest czas. Przecież nie jedzie za ocean. A jechać tam musi, jako pan. Te tereny to jest jego ziemia.

Rzeźnik cofnął się coś mruczając i odszedł pierwszy w stronę osady. Kiedy zaś wracaliśmy, słyszałem niechcący, jak Hoerhann szeptał do nauczyciela Francka:

— Co sobie ten cham wyobraża? Karjera Mariana nie skończy się w naszej dziurze! Ja przewrócę niebo i ziemię, ale on musi zejść wysoko! On jest stworzony do rządzenia ludźmi. On będzie rządził!

III.

Czy zauważyliście, że w pewnych momentach podniecenia i niebezpieczeństwa, albo tylko niepewności, masa ludzka staje się — że tak powiem — lepka? Wystarczy, żeby dwóch ludzi przystało wówczas na ulicy, aby natychmiast „przyklepić” się do nich nowi i nowi, aż utworzy się prawie tłum. Tłum ten rozpada się na mniejsze kupki, a te mniejsze z kolei powiększają się przez narastanie nowoprzybywających. W takich momentach wieść, którą ktoś niewiadomy rzucił, jak papierosa do stodoły — rozchodzi się z błyskawiczną szybkością.

Obserwowałem właśnie podobne zjawisko z drzwi mojej vendy w dniu, gdy doszła nas wieść, że na emigrantów napadli dzicy. Skąd zaś ta wieść wogóle doszła, skoro jeszcze nikt z tropy nie wrócił — nie podejmuję się rozstrzygać. Tak dzieje się często w interiorze.

Oczywista, że wieść nieco urosła w swej podróży i mówiło się o wielkiej ilości wymordowanych i ranionych. Niewiadomo też jakim sposobem, stało się wiadomem, którego właśnie dnia tropa wyjedzie do miasteczka. Być może zresztą, że stary Hoerhann poprostu posłał kogoś na-

przód i że ten powrócił z wieścią. Tak czy owak jednego z następnych dni wszyscy wylegliśmy za miasto i oczekiwaliśmy niecierpliwie na wracających. Kilku wyrostków pojechało naprzód, ale i oni nie wracali.

Cały tłum posuwał się powoli, aż doszedł do starego promu. Dopiero wówczas spostrzegliśmy, że na drugim brzegu także ktoś czeka i patrzy w stronę lasu. Była to „Paragwajka”. Nie odwróciła głowy w naszą stronę, choć słyszała przecie gwar ludzki. Zato z tej strony wszyscy prawie patrzyli na nią, a niektórzy robili znak od uroku, bo kobieta, która mieszka samotna za miastem, nie ma powodu nie być czarownicą. Patrzył też na nią zukosa stary Hoerhann i jego żona, którzy stali na przedzie tłumu. Tak oto dwie matki wypatrywały swoich synów, synów jednego mężczyzny. Tylko, że matka Mariana popłakiwała ciągle i zwracała się coraz do kogoś, żądając zapewnienia, że Marianowi się nic nie stało, i wszyscy (któż nie chce się zasłużyć bogaczowi?) potwierdzali jej to. Natomiast „Paragwajka” była sama, absolutnie sama: nikt nie odezwał się do niej, nikt jej nie pocieszył i nie stanął przy niej. Mimo to była znacznie spokojniejsza, jakby była pewną, że jej Eduardowi nic się stać nie może.

Była już może tylko godzina do zmierzchu, kiedy wreszcie rozległy się krzyki:

— Jada, jada!

Przedewszystkiem zobaczyliśmy kurz, następnie czarną, zbitą masę, a po chwili dopiero mogliś-

my rozróżnić konie, ludzi i wozy. Tak, wozy — ponieważ emigranci wszyscy powracali do miasteczka.

Odrazu pomyślałem sobie o Ladislau i powiedziałem sobie, że nie chciałbym być w skórze starego Hoerhanna, chociaż to byli emigranci i nie umieli się tak upomnieć o swoje, jakby to zrobił każdy miejscowy. Nietylko ja jeden musiałem tak pomyśleć, bo wiele osób obejrzało się złośliwie na prefekta.

Kawalkata zaczęła się zbliżać teraz coraz szybciej i rozległy się krzyki powitalne. Hoerhannowa rzuciła się naprzód i rozpatrywała się pilnie wśród konnych. Naraz krzyknęła przeraźliwie i bez słowa wyciągnęła palec, patrząc wściekle na męża.

Spojrzeliliśmy w tym kierunku. Tam parobek Hoerhannów prowadził muła, na którym Mariano wyjechał z domu. Jeźdźca na nim nie było. Zrobiło się krótkie zamieszanie, szybkie objaśnienia i już Hoerhannowa zagłębiła się całą górną połową ciała w głąb jednego z wozów.

— Nie ranny, nie! — złośliwie kpił jeden z emigrantów. — Brzuch go boli poprostu od „pasoki”¹⁾ i jazdy na siodle!

Mimowoli parsknęły tu i owdzie śmiechy, ale twarze zaraz spoważniały: nie do śmiechu tu było. Posypały się gorączkowe pytania:

— Czy kto zabity? Ilu rannych? Jak was napadli?

¹⁾ Rodzaj kaszy z mandjoki z suszonym mięsem.

Nie był nikt zabity, ale kilku było rannych, a wszyscy mocno wystraszeni. A że w strachu człowiek się robi odważny, więc koło Hoerhanna zebrała się groźna grupa i odezwały się pomruki:

— To ten oszust winien! On nas wpakował. Niech teraz daje za darmo ziemię! Nie, niech daje na bilet do Europy! Złodziej!

Hoerhann bladł i czerwieniał, ale nie wiedział co począć. Oglądał się dokoła siebie, jakby szukając pomocy: miał przecie dwóch młodych synów. Ba! — jednego z nich widać było z pod budy wozu, z zieloną twarzą i w pomiętem ubraniu, a drugi?... Drugi właśnie się ukazał z za wozów. Satysfakcją było patrzeć, jak on siedział na koniu! A przytem był to prawdziwy „valentao”: sam obdarty, ale uprzęż i broń — jak cacko!

Pocisnął naraz konia ostrogami tak, że ten wpadł w środek kupy, grożącej ojcu, i zdarł go wściekle na miejscu. Ludzie trochę się odsunęli, czekając awantury, ale on tylko zsiadł powoli z konia (nie był przecież jego własny) i powiedział do ojca:

— Oddaję ci konia.

Potem wziął swoje juki i powoli przeszedł między ludźmi. To niby nic, a przecież coś powiało na ludzi, że się zawahali. Patrzyli wszyscy za Eduardem i rozstępywali się przed nim. A on spokojnie zarzucił worek na plecy i zszedł do promu. „Paragwajka” także zeszła nieco ku wodzie.

Eduardo zatrzymał się przy promie i zawołał bardzo głośno:

— Dzieńdobry, mateczko!

A „Paragwajka” odpowiedziała niespodzianie czystym i młodym głosem:

— Dzieńdobry, syneczku!

Hoerhann drgnął i spojrzał szerokimi oczami na tamtą kobietę: głos miała taki, jak za dni swej młodości.

Eduardo wszedł na prom i zaczął powoli posuwać się, trzymając się żelaznej linki. To oddalanie się jego od nas było — nie wiem doprawdy czemu — jakieś znaczące i tajemnicze.

Tymczasem stary już oprzytomniał i powiedział zimnym głosem:

— Nie róbcie awantur, senhores! Napad dzikich to jest „vis major”. Jutro zbierzemy się i naradzimy się nad sytuacją. Będę się starał zrobić wszystko, co leży w mojej mocy. Tymczasem proszę nie robić zbiegowiska.

To ostatnie było powiedziane już przez prefekta, nie kolonizatora. A emigranci przywieźli jeszcze ze Starego Kraju postrach przed wszelką władzą. Ze starymi wygami takby się nie wykpił.

Cały tłum ruszył teraz. Rodziny zabierały swoich rannych, znajomi dopytywali się o zdrowie, a wszyscy gadali, jak najęci.

Wiedziałem, że nie może to się skończyć gdzie indziej, niż w vendzie, to też pośpieszyłem na przód, aby otworzyć swoją. Cóż chcecie? — ksiądz, doktor i vendysta najwięcej zarabiają w uroczystych lub tragicznych momentach życia ludzkiego.

Za chwilę istotnie zrobiło się w mojej vendzie pełno, a muszę się pochwalić, że zebrało się najlepsze towarzystwo. Najbardziej zaś podniecony wydawał się „Buźju”, który na wszystkie strony wypytywał, jak dzicy byli ubrani, jaką mieli broń i tak dalej.

— Kto tam na to miał czas uważać! — roześmiał się grubo Franz Garden, rosły rudy parobas. Zaczął jednak opowiadać:

— Było rano i dopiero zaczęliśmy gotować „szimaron”, kiedy rozległ się wrzask kobiet.

— Tak, tak! — wtrącił „Buźju”. — Oni zwykle napadają rano.

— Podbiegliśmy w kilku, ale ani nam do głowy nie przyszło, o co chodzi. To też z początku nie zorientowaliśmy się. Stało przed nami pięciu czy sześciu drabów, z ponuremi minami, patrzących z podpełba, prawie nagich, z pałkami w rękach. Ja pierwszy zorientowałem się i wygarnąłem...

Doktór Gensch syknął:

— Aj! Senhor pierwszy?...

— No, tak! Miałem czekać, aż się na nas rzucą?

— No, tak, tak, ale... widzi pan, oni co do tego mają swoje przesady: teraz będą się czuć zupełnie uprawnieni...

— „Uprawnieni”! To było?

— Oby, oby to się nie zemściło! — mruknął doktor, ale wobec tego, że wszyscy przyznawali rację Franzowi — machnął ręką i spytał tylko:

— A nie robili przedtem jakich znaków?

— Znaków? — zdziwił się i zastanowił Garden. — Jakich znaków?

— No, czy nie uderzali w pnie, nie hukali, nie zagradzali drogi?...

— A wiesz pan? — porwał się naraz Franz. — To możliwe! Było, było coś takiego! Pamiętam, że dziwiliśmy się jakimś dziwnym uderzeniom i hukaniom, ale myśleliśmy, że to dziecioty i so-wy... I trzinę nam związywali na ścieżce...

Spojrzelśmy wszyscy z uznaniem na „Buźju”: jednak on naprawdę coś wiedział! I naraz zrobiło nam się dziwnie: ten wróg stawał się coraz bliższy i realniejszy, a my właściwie nic o nim nie wiedzieliśmy.

Mimowoli zacieśniliśmy koło, a Franz ciągnął dalej, ale o wiele poważniej:

— Nie wiem nawet, czy którego z nich zraniłem, bo w tejże chwili zrobił się straszny galimatjas. Oni rzucili się na nas, rozległy się strzały, a kiedy naszych przybiegło więcej — dzicy znikli, jak pod ziemią, chociaż kilku było na pewno poważnie rannych.

— „Oni” zawsze zabierają rannych — wtrącił „Buźju” i nikt już nie uśmiechał się.

— Kiedyśmy się rozpatrzyli, okazało się, że kilku z naszych ma poważnie poprzetręcane nogi, ręce lub rozwalone głowy. Wszędzie był ślad kan- ciastej maczugi.

— Nie strzał? — zdziwili się obecni. — Przecież ich główna broń to łuki.

— Wcale ich nie używali w tej walce. Dopiero potem...

— To dwa razy was napadli? — przerażono się.

— Ten pierwszy raz to nie był napad — skrzywił się Franz. — Było ich, jak mówiłem, zaledwie pięciu lub sześciu. Oczywiście wszczął się popłoch, odezwały się głosy, żeby zaraz wracać...

— A któż najwięcej za tem przemawiał? — jakoś już nazbyt słodziutko odezwał się doktor, jakby coś wiedział

Franz popatrzył na niego niechętnie (Hoerhann często wołał go do siebie na zarobek) i mruknął:

— No, wogóle... emigranci... Mariano też się zgodził...

Wszyscy się uśmiechnęli złośliwie: kto jak kto, ale młody Hoerhann nie powinien był psuć staremu interesu. Zwłaszcza, że wchodziły tu w grę sprawy otrzymanej świeżo przez niego fazendy „Successo”. Franz jednak szybko zaczął opowiadać dalej:

— Zaczęliśmy więc wracać, potem — na pierwszym postoju — znowu zaczęły się narady. I postanowiono jeszcze raz spróbować wrócić. Ale ledwie odwróciliśmy wozy w tamtą stronę (nawet jeszcze trwała dyskusja nad tem) — sypnęły się na nas strzały!

Słuchacze poruszyli się niespokojnie.

Z początku nie zorjentowaliśmy się, o co chodzi, tak jak za pierwszym razem. Usłyszeliśmy

tylko kilka krzyków, potem jakieś nieokreślone świsty. I naraz zobaczyliśmy jednego emigranta, jak wyszarpywał sobie z ubrania (tak nam się zdawało) długi patyk. Dopiero, kiedy wyciągnął go i cała koszula zaczerwieniła się gwałtownie — zrozumieliśmy, że to nie przelewki. Zaczęliśmy strzelać naoslep, zrobiło się zamieszanie i każdy uciekał na własną rękę. Spotkaliśmy się dopiero w drodze i zaczęliśmy od tej pory forsownie „wiać”. Więcej już nas jednak nie atakowali...

— Weszliście na ich tereny — powiedział jakos bez wyrazu Gensch.

Franz obrócił się gwałtownie:

— Na ich tereny? — przeciągnął ironicznie. — Czy Cygan ma jakie tereny? Trzeba ich wykurzyć, i oto wszystko! Tylko trzeba, żeby się zebrało trochę zuchów!

Kilku młodzików, mając już w czubie nieco kaszasu, podtrzymało go hucznie, reszta jednak trzęsła głowami. Nie mówiono wiele, bo w słowach Franza słyhać było opinię czyjąś, ale nie przewidywano stąd wiele dobrego.

— A co? — burzył się dalej Franz. — Czy gdzie w całej Ameryce Północnej albo Południowej ośmielają się te małpy napadać? To skandal dla całego kraju! Jesteśmy już w dwudziestym wieku. Nigdzie niema takiego skandalu, żeby dzicy napadali na kolonistów w kulturalnym stanie, rządzonym przez legalne władze. Czy na przykład Pařana ma podobne historie? Przecież to

zakrawa na anegdotę! To jest ostatnie plemię, które na coś podobnego się odważa!

— Tak — odezwał się Bużu. — O ile wiem, to Botokudzi są ostatniem plemieniem, wojującym z białymi, przynajmniej w Brazylii.

Znowu powiało na nas chłodem i milczeliśmy przez chwilę.

— A cóż Eduardo? — zagadał ktoś prędko.

Franz, który już miał się ku wyjściu, zatrzymał się naraz:

— Tego chłopaka to ja nie rozumiem, muszę się przyznać.

— Cóż takiego? Bił się? Uciekał? — odezwały się głosy.

— Otóż to, że ani uciekał, ani się bił. Że się nie bał — to pewne: stał spokojnie i rozglądał się pilnie. Ale zupełnie nie brał udziału w obronie: nawet rewolweru nie wyciągnął.

— Dziwne — zamruczano.

— Ten chłopak zawsze wie, co robi — odezwał się Bużu.

— Jakoś tego nie widać! — zaśmiał się Franz i wyszedł.

Powoli rozchodzili się i inni. Ostatni wychodził Gensch. Już zamykałem vendę, a on jeszcze stał na rozkraczonych nóżkach, chwiając swoją olbrzymią głową na cienkiej szyjce i śmiał się dziwnie. Odchodząc powiedział nawpół do mnie, nawpół do siebie:

— To się dopiero zaczyna. Tak, to się zaczyna.

IV.

W ciągu kilku następnych dni moja venda zarabiała więcej, niż w czasie wyborów. Przede wszystkim kotłowała się sprawa ugody Hoerhanna z emigrantami: burzyli się oni i już powoli zaczęli nabierać tonu, jedynie możliwego tu, u nas. Ba! pokupowali sobie wszyscy broń: rewolwery z olbrzymimi lufami i jak największe noże. Wreszcie część z nich wybrała się do Parany, a część osadził stary bliżej miasta. Czy jeszcze nie było to poza granicami jego fazendy — doprawdy różnie o tem mówiono.

Ale co ciekawsze, że po wyjeździe emigrantów wcale się nie uspokoiło: szykowało się coś jeszcze, ale co — nie można się było dowiedzieć. Nawet ja, mimo że z racji mego zawodu mam okazję słyszeć najszczersze może w świecie rozmowy, nic nie usłyszałem. Rzecz była dobrze zakonspirowana. Ponieważ jednak widziano, że Garden chodzi bardzo często do Hoerhannów, siedzi tam całymi godzinami i częstuje naumor wszystkich młodych nicponiów — zaczęło nam coś świtać w głowie.

Sprawa wyszła jednak najaw dopiero z racji urodzin starego Hoerhanna. Zresztą rozumni lu-

dzie mają urodziny wtedy, kiedy to im jest potrzebne. Ponieważ jednak uroczystość odbywała się nie w domu Hoerhannów, tylko właśnie w mojej vendzie — nie chcę być niewdzięcznym: musiałem wziąć do pomocy syna Silveira, który zresztą grubo naciągnął i mnie i gości, a sam Silveiro zarobił sto procent na dorywczej spółce, którą zawarliśmy na ten dzień. Oczyszcilem magazyn, ustawiłem tam stoły i zrobiło się — doprawdy — coś podobnego do sali. W każdym razie bardzo to chwalono.

Nie mogłem od początku być przy gościach, bo musiałem się zająć puszczaniem w ruch całej maszyny, ale kiedy wszystko szło jako tako, zaraz przysiadłem się do stołu, bo wszystko to bardzo mnie zafrapowało. Wszyscy już byli w dobrych humorach, bo czekając na potrawy, popijali sobie nieco. Hoerhann był otoczony „śmietanką”, a Mariano rej wodził wśród młodzieży. Tuż obok niego kręcił się ten rudy Garden, a z nim cała jego paczka. Rozmawiano o wszystkim, tylko... nie o ostatnich zdarzeniach.

Można Brazyłjanom zarzucać wiele rzeczy, ale nie to, żeby byli niedelikatni. Mają oni to, co my wszyscy — potomkowie Wielkiego Rzymu, choćby z nieprawego łoża: gest i wykwint. Słowem rozmawiano o pogodzie, co nie jest wcale takie głupie, jak to niektórzy myślą.

To też zrobiło się dziwnie cicho, kiedy stary Hoerhann odezwał się głośno do „padre”:

— Ci poganie mogą i do nas tu trafić, jeśli ich nie trzymać w odpowiednim dystansie!

— Ta-ak! — przeciągnął niepewnie zaskoczony padre.

— Doprawdy jestem bezradny. I chociaż, jako prefekt, powinienem coś przedsięwziąć dla obro-ny powierzonej mi ludności, ale — powtarzam — jestem bezradny...

Wyglądało to mocno podejrzenie, jeżeli Hoerhann biadał nad swoją bezradnością, to też nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Naraz, w drugim końcu stołu wstał Mariano. Jego uroczysta mina była nieco zabawna, ale wszyscy byli już mocno zaciekawieni i nadstawili uszu.

— Wybaczcie mi, szanowni goście, i ty, czcigodny ojcie, że w zebraniu, gdzie jest tylu godniejszych i doświadczeńszych ode mnie, ośmielię się zabrać głos. Naturalnie zdaję sobie sprawę, że nie potrafię wyrazić myśli, które mi przychodzą do głowy. Ale, jeżeli w samej treści znajdziecie choć odrobinę słuszności, zechciejcie łaskawie wybaczyć mi formę, o której zgóry wiem, że będzie zupełnie niezdarną...

Doprawdy ten smarkacz wyrobił się. Skąd on wyrwał ten ton? Nastrój jednak był tak gorący, że nie zwrócono nawet na to dostatecznej uwagi i wszyscy czekali na główny sens sprawy.

Otóż Mariano, po wielu obejściach i wtrąceniach, wyłożył nam nareszcie, o co chodzi: przedstawił niebezpieczeństwo, grożące od Bugrów w sposób niezmiernie jaskrawy (wywołało to kil-

ka dyskretnych uśmieszków) i zaproponował zorganizowanie samoobrony.

— Proponuję — wołał wkońcu — utworzenie oddziału bohaterskich młodzieńców, którzy będą mieli odwagę bronić naszych ognisk domowych, naszych dzieci i naszych kobiet. Ponieważ zaś moja fazenda „Successo” leży na pograniczu cywilizacji, jest — niejako — przedmurzem kultury i wiary chrześcijańskiej; ponieważ nawet — przyznaję to otwarcie — moim obowiązkiem jest zabezpieczenie życia i mienia tych dzielnych ludzi, którzy tam się osiedlili... Zatem — jeżeli poprzecie mnie oczywiście, senhores — to ja poniosę kosztą zorganizowania tej drużyny...

— Brawo! brawo!...

— Dopóki, oczywiście, cała gmina nie zrozumie swego w tem interesu i nie przyczyni się w pewnej mierze do moich wysiłków!

Niektórym, szybciej orjentującym się, przeciągnęły się nieco miny, zdawało mi się nawet, że „Buźju” mruknął: „aha!”, ale reszta, a zwłaszcza młodzież wydała pochwalny pomruk. Tymczasem stary Hoerhann już od kilku minut stał, jak olśniony, z otwartymi ramionami i teraz zawołał z robionym nagwałt zachwytem:

— Synu mój! Rozstrzygnąłeś zagadnienie, z którym ja sobie nie umiałem dać rady! Genjalne wyjście dla nas z tej tragicznej sytuacji. Zaraz doniosę o tem moim władzom, żeby ci poruczono specjalną misję załatwienia sprawy tych dzikich!...

— Sprytniel — ziewnął mi w ucho Gensch.

Ponieważ jednak nie chciałem słuchać krytyki moich gości, a z drugiej strony rzecz ta była trochę już doprawdy za grubo szyta i wszystkie fastrygi wyłaziły, wstałem, żeby dopilnować obsługi.

Za mną podniósł się krzyk całej tej bandy, z którą Garden pił od kilku dni. Przy drzwiach jednak stanąłem, jak wryty: Mariano mówił:

— Na dowódcę zaś tego pierwszego oddziału proponuję senhora Eduarda da Silva. Zwłaszcza, biorąc pod uwagę jego wyjątkowe ubóstwo, pensja, którą otrzyma...

Nie wiem, czy widzieliście kiedy, co się dzieje, gdy nieostrożny miernik uderzy siekierą do znaczenia w wypróchniałe drzewo, w którym są osy? Cisza, potem nagły gwar, potem znowu cisza i wreszcie nieustanny szum...

Zacząłem więc nurkować w tłumie, nalewając, podając, lub zabierając talerze; sprawa stała się coraz ciekawsza. Oczywiście, że ludzie byli ostrożni, ale przedewszystkiem kaszas robił swoje, a po drugie nie zwracano na mnie wielkiej uwagi, jak to zwykle na obsługujących.

Bąkano więc tu i ówdzie na temat kilku pieczeni przy tem ognisku i przewidywano jeszcze jakieś niespodzianki.

— Posłać po Eduarda! — zawołał Mariano.

Garden rzucił się do swego konia, który stał z kilkoma innemi przy vendzie. Stary był tro-

chę niespokojny i kręcił się wśród gości, uśmiechając się z pewnym wysiłkiem.

— Co pan o tem myśli? — pociągnął mnie nagle za kurtkę Gensch.

— Phyl! nie mam zwyczaju wtrącać się w to, o czem gadają goście w mojej vendzie.

— Na Botokudach można wyjechać — nie słysząc mnie prawie, mówił Gensch. — Tak, tak — karjerka! Czuję to nosem... Ale gdyby Eduardo był sprytny i wysadził ich z siodła...

— Myślisz pan, że się zgodzi? — zapytałem.

— Otóż to: nie wiem. Z nim nigdy nie można wiedzieć. Jest, jak Napoleon: obmyśla sam swoje plany.

— O! zaraz, jak Napoleon! — uśmiechnąłem się.

— Żebyś pan wiedział! I gdyby tylko sprzyjające warunki... Tem bardziej, że — jeśli się nie mylę — on się tą sprawą oddawna interesuje...

Wrócił Garden.

— Musiałeś go, senhor, pewno długo namawiać? — uśmiechnął się krzywo Mariano.

— Bynajmniej. Powiedziałem mu tylko, że idzie o zarobek i zaraz się zerwał! — roześmiał się grubo Garden.

Za nim zaśmiali się inni, ale jakoś niepewnie. Nastrój oczekiwania psuł nieco humory.

Wreszcie zrobił się ruch koło drzwi: wszedł Eduardo. Przyjrzałem mu się dobrze w tej chwili: nic w nim — muszę wyznać — nie mówiło mi o jego genialności. Był bardzo brzydki, oczy

miał cofnięte w głąb, czoło kwadratowe, nos szeroki... Nawet wzrost i postawa były mierne i nie imponujące. A jednak... tak, to prawda: szła od niego jakaś siła. Może to zresztą tylko upór, widoczny w oczach?

Kiedy wszedł, na twarzy jego wyraziło się na moment zdziwienie, ale był to tak krótki błysk, że chyba nikt, poza mną, go nie zauważył.

— Boa tarde!) — powiedział spokojnie.

Odpowiedziano mu skwapliwie. Wtedy zwrócił się do niego Mariano:

— Czy senhor chce dostać zarobek?

W głosie Mariana czuć było pewną ironję, ale Eduardo jakby tego nie zauważył:

— Oczywiście. Żyję przecież tylko z zarobku.

— A zatem... — Mariano się nieco zawahał. — Rzecz w tem, że tworzy się oddział dzielnych młodzieńców...

Wytłumaczył nieskładnie, o co chodzi. Nastąpiło milczenie.

— O ile zrozumiałem, to pan tworzy ten oddział „dzielnych młodzieńców”? — zapytał Eduardo.

— Tak.

— Czemuż pan wyrzeka się możliwości osiągnięcia sławy? I to na moją korzyść?

*) Dobrze „popołudnie” — powitanie, używane po porze obiadowej.

— Mariano — wtrącił pojednawczo stary — chce dać sposobność tobie właśnie.

— Ach, tak, — zdziwił się przesadnie Eduardo.

— I zresztą mam co innego do roboty — lekceważąco dodał Mariano — jest to wielka sprawa i właśnie sobie pozostawiam organizację...

— Ach, tak! — odpowiedział znów Eduardo. — Sobie pozostawia pan organizację i ewentualnie wysoki urząd i ewentualnie specjalny fundusz na te cele, a przede wszystkim spokojne siedzenie za plecami innych. Mnie zaś proponuje się łaskawie zostać „capangą” szanownego pana do wyrzynania Indian za odpowiednio marną zapłatę.

Patrzył na wszystkich prawie wesoło i dodał po chwili:

— A wiecie, panowie, to wcale niegłupio pomyslane.

— Proponuje ci się zarobek, a ty go nie chcesz — w rozdrażnieniu rzucił stary. — Namysł się.

— Namysliłem się.

— Nie chcesz?

— Nie.

— Wolno wiedzieć dlaczego?

— Przede wszystkim dlatego, że nie chcę być wynajętym bandytą. Po drugie dlatego, że nie będę na żołdzie tego tam...

— Tchórzysz! — zawołał Mariano. — Tchórz!

— Tchórz! — powtórzył stary, jakby zrywając wszystko.

Eduardo zbladł i podszedł powoli do stołu. Ludzie się cofnęli nieco, a ręce zaczęły szukać broni: tu źle pachniało.

— Słuchaj, senhor! — zwrócił się Eduardo do ojca, pierwszy raz go tak nazywając — I słuchaj także ty, „seu” Mariano!

Zrobiło nam się zimno: zwrócić się do kogoś per „seu” — w trzeciej osobie, kiedy grzeczny człowiek nieraz do konia zwraca się per „vecê”, to świadczyło, że chce się wywołać grubą awanturę. Ale Mariano nie odezwał się.

— Słuchajcie obaj: nazwaliście mnie tchórzem. Otóż zapowiadam wam, że przyjdzie dzień, kiedy będziecie u moich nóg drżeć ze strachu, jak szczenięta! To sobie zapamiętajcie.

Była chwila milczenia, ale naraz stary porwał się z miejsca: widać było, że to był koniec wszystkiego; uderzył pięścią w stół i huknął, jak zraniony byk:

— Milcz! Tchórz jesteś i fanfaron. Jedyne twoje miejsce to być sługą ludzi wolnych... ty, niewolniku!

Ostatnie słowo buchnęło, jak strzał z rewolweru. I gdyby teraz można było obejrzeć dokładnie wszystkie prawe ręce mężczyzn w izbie, możnaby się było założyć, że nie było takiej, któraby nie trzymała noża, albo rewolweru.

Eduardo poczerwieniał i zbladł znowu. Skurczył się, jak do skoku, ale po chwili założył ręce na piersiach, aby widziano, że nie sięga do broni.

— Ach, mówisz „niewolniku“, senhor? Czy wolno zapytać, w jakim znaczeniu? — zapytał tak grzecznie i cichutko, że pobiegł nam chłodek po krzyżu.

— W tem znaczeniu — ryknął czerwony, jak owoc „khaki“ stary — że nigdy nie będziesz niczem, jak niewolnikiem. A ten właśnie syn mój, którego tak nienawidzisz, będzie panem i będzie rządzić takimi jak ty i toba.

— To nie wszystko! — grzecznie i cicho zauważył Eduardo, mrużąc oczy, jakby od wielkiej przyjemności. — Zapomniałeś dodać, senhor, że jestem synem Indjanki, niewolnicy. Coprawda ojca nieznanego — nie mam ojca — ale to niczego nie dowodzi: jestem synem niewolnicy. Tak.

Odwrócił się do nas i uklonił się szeroko:

— Żegnam was, senhores! Dziękuję za przyjęcie i łaskawą obecność przy naszej rozmowie. A te logo! — Do rychłego zobaczenia.

Po jego wyjściu długo panowała cisza. Cisza zupełnie głupia i nieprzyjemna: wszyscy chowali oczy. Przerwał ją naraz rudy Franz:

— A jednak to jest tchórz! Wszystko to wykrety: czemu nie strzelał do dzikich tam, w lesie? Senhor prefeito, ja się podejmuję dowodzić oddziałem zuchów!

— Brawo, brawo! Tak, jednak to jest tchórz! — zaczęto wołać.

I wszyscy odrazu nabrali pewności siebie. Zaczęto teraz pić na dobre. Aby człowiek szano-

wał siebie — musi często poniżyć kogoś, wobec kogo czuje się winnym.

Od tego czasu zaczął się upadek Eduarda, do którego jednak wielu miało przedtem sympatję. Przeczowano w nim człowieka niesłychanej odwagi i woli, aż tu okazało się, że jest to tylko dobry aktor, który potrafi zrobić wrażenie, ale po rozpatrzeniu na zimno jego czynów okazywało się, że właściwie jest niczem. Tchórz, komedjant, arogant i leń. Człowiek, który niczego nie dokonał, a cieszył się opinią, dawaną mu na kredyt i — niesłusznie. Oto wszystko.

Tak mówiono.

V.

Anglik, Janke lub Niemiec, którzy pożerają całe kilogramy mięsa, nie mogą sobie wprost wyobrazić, jak może żyć biedny Brazylijanin. Możecie tu zobaczyć małe, źle uprawne poletka, które jednak żywią całe rodziny; ba! — znajdują się i takie rodziny, które same nie wiedzą, czym żyją. Polowanie? — Bajki dla romantycznych wyrostków. Rybołówstwo? — Gdzie tam! Dosłownie nie wiadomo z czego żyją.

Dla rodzin takich i takich ludzi wielkiem dobrodziejstwem jest — pinjor. Kiedy przychodzi okres dojrzewania szyszek pinjorowych — wszystko rusza w las i porzuca wszelką inną pracę. Szyszka pinjorowa jest wówczas jedynem daniem przez cały dzień, a raczej przez szereg dni. Gotowane i pieczone orzeszki, a często nawet w surowym stanie, karmią przez kilka tygodni biednego chłopca z wnętrza kraju, tego „caboclo” z „interioru”. A poza tem? — Herwa, gorzka, gęsta, gorąca — w tykwie, pita przez rurkę. No, i tytoń — ma się rozumieć.

Znamy to wszyscy i nie dziwimy się. Ale, żeby syn bogacza i prefekta, słowem Hoerhanna,

spadł do tego stanu nędzy „kaboklerskiej” — to jednak nie chciało mi się mieścić w głowie.

Zaciągnął mnie tam oczywiście „Bużu”, a ponieważ ruch w vendzie tego dnia był żaden — zamknąłem ją bez wyrzutów sumienia. Kiedy doszliśmy do starego promu, Gensch stanął i począł hukać. Po chwili wyszedł z chaty człowiek i zbliżył się do promu. Spokojnym, nawykowym ruchem pchnął prom, pociągnął linkę i zbliżał się na naszą stronę rzeki.

Gdybym nie wiedział, że z chaty „Paragwajki” nie może nikt inny wyjść prócz Eduarda — chybabym go nie poznał. Był boso, w krótkich postrzępionych portkach, w koszuli, która mu się ledwie trzymała na grzbiecie, i wynędzniały do szczętu.

Pomyślałem sobie: jednak to jest niedołęga. Jednak wygląd człowieka to jego szyld. Nie może być solidną firmą, która tak się prezentuje. I jednak — zdaje się, że to go nauczyło rozumu: na pewno spokorniał, o ile... nie zdziwaczał.

Eduardo podjechał do nas i spokojnie nas powitał. Złościło mnie to, że w jego obecności człowiek mimowoli poddawał się jego grze: podobała się, musiała się podobać jego postawa i sposób bycia.

— Bom dia, senhor dotto! — odezwał się, żartobliwie używając gwary kaboklerskiej. — Bom dia, senhor Italiano!

Gensch jakoby miał do niego interes, choć nie rozumiałem, co za interesy można mieć z takim

obdartusem. Nikt jednak nie zaczynał niepolitycznie rozmowy o celu wizyty. Dopiero po pościąganiu gorącego „szimaronu” z tykwy i po kilku ogólnych frazesach Gensch przystąpił do sprawy. Chodziło o to, żeby Eduardo podjął się dla doktora chwytania żmij, które ten miał wysłać do „Wężowego Instytutu” Butantan w Sao Paulo.

— Bardzo, ale to bardzo mi na tem zależyl — jakoś zbyt już gorąco dowodził Gensch. — Pan rozumie, że to jest zupełnie realny interes. Mam nadzieję na tem zarobić sporo monety, tak że to, co zapłacę panu — wróci mi się z procentem. Ho, ho! — w handlu niema sentymentu, zarobek musi być...

Eduardo się uśmiechnął. Pierwszy raz widziałem jego uśmiech i... podbił mnie: był to uśmiech — powiedziałbym — indyjski. Było w nim mało radości, zato sporo życzliwości i cała moc melancholji.

— Dobrze, doktorze — powiedział — ale będzie pan mi płacić dopiero, kiedy pan otrzyma przekaz pieniężny z Butantanu.

— A cóż to, u diabła, za kontrola! — rzucał się „Bużju”. — Chcesz może sprawdzać, ile zarabiam?

I wtedy zaszła rzecz, której nie oczekiwałem: Eduardo objął krótkim, niezręcznym i wstydlwym (typowo męskim) ruchem pokraczną figurkę doktora, zaśmiał się i wstał.

— Bom, bom! Będę łapać „bichos” — robaki! Oczywiście, interes jest interesem.

— Czy wiesz pan — spytał naraz Gensch mnie — że Eduardo robi roboty rymarskie?

— To nieścisle — powiedział Eduardo — robię tylko roboty plecione: baty, lassa i uzdy. No i oczywiście nie mam swego materiału.

— Gdybyśmy się zeszli, co do ceny... — zacząłem niepewnie.

— Wątpię, czy się zejdziemy — burknął naraz Eduardo. — W vendach teraz idą tylko tandety, a ja robię tak, żeby służyło do prawdziwej, solidnej roboty.

— Przynieś jednak coś ze swej roboty senhorowi Italiano! — zagadnął Bużju.

— Dobrze, zajdę — powiedział krótko Eduardo.

Siedzieliśmy, nie wiedząc, o czym mówić dalej. Zdawało mi się, że przeszkadzam im. Może Eduardo miał żal do mnie, że to, co go spotkało — odbyło się w mojej vendzie? Ale po chwili sam Eduardo zagadnął:

— No, cóż tam „oddział bohaterskich młodzieńców”?

Gensch odpowiedział pytaniem na pytanie:

— A co ty właściwie o tem wszystkim myślisz?

Eduardo spojrzal na mnie i jakby powziął decyzję przerwania swej skrytości. Może myślał, że mówiąc do mnie, mówi niejako do opinji miasta.

— A więc powiem, co ja o tem myślę. Myślę, że prefekt tworzy „capangów“ dla obrony swej ziemi i dla zagarnięcia nieswojej — na koszt gminy. Myślę, że na karkach tych wynajętych durniów i za cudze pieniądze robi karierę dla swego wymoczka. Myślę, że poruszy Bugrów i że oni będą się mścić na spokojnych mieszkańcach. I myślę, że bardzo niedługo zacznie się wylewać dużo, bardzo dużo krwi. I że to nieprędko ustanie.

Taki spokój był dokoła, tak sennie poruszało się miasteczko i tak już wszystko wchodziło w kolej życia cywilizacji, że te krwawe przepowiednie wydały mi się młodzieńczą przesadą. Uśmiechnąłem się. Eduardo się zachmurzył i powiedział:

— Przekonacie się o tem na własnej skórze. Ale wtedy nikt już nie będzie pamiętać, kto to — dla swoich celów — rozpętał to piekło.

Zrobiło się znowu jakoś niewyraźnie i po chwili milczenia ruszyliśmy zpowrotem. Eduardo odwiózł nas na drugą stronę i pożegnał się. Kiedy oddaliłem się o kilka kroków, usłyszałem przyciszone pytanie Genscha:

— No, ale co dalej? co dalej, Eduardo?

— Słuchaj, doktorze: jeżeli Pan nasz, Jezus Chrystus, przygotowywał się do swego wystąpienia trzydzieści lat, a działał tylko przez trzy, to my, marni ludzie...

— Więc myślisz coś, planujesz, przygotowujesz? — z radością podjął Buźju.

Ale Eduardo coś mruknął niechętnie.

Kiedyśmy się rozstali i przestał na mnie działać dziwny urok tego awanturnika, pomyślałem sobie znowu, na trzeźwo: „Nie mógł nic odpowiedzieć. Bo i cóż on może planować? Dawno już czas na niego zająć się serjo jakąś karierą“.

Zresztą prędko zapomniałem o nim tak, jak zapomniało całe miasteczko. Nikomu już nie imponował od czasu, gdy wyszło nawierzch jego tchórzostwo i dokuczyły jego dziwactwa. Zresztą mówiło się teraz tylko o wyprawie naszych chłopców, „bugreiros“, jak ich nazywano, czyli myśliwych polujących na Bugrów. Wyszli kilka dni temu i teraz wszyscy rozważali, jakie ich czekają możliwości i przejścia. Czekano też z dnia na dzień skutków protekcji, którą stary wyrabiał w stolicy stanu.

Tymczasem Mariano się nudził i łaził jak dawniej po miasteczku. Zaczęto też przebąkiwać, że coś już nazbyt często staje pod oknem Hildy.

Sam to zresztą miałem możność stwierdzić i zacząłem przypuszczać, że chłopak może zepsuć mądrze ułożone plany starego. Dziewczyna siedziała w oknie, prawie nieruchoma i jakby niewidząca, ale uśmiechnięta i dziwnie kusząca. Zwłaszcza usta miała dziwnie czerwone i — doprawdy nie wiem jak to powiedzieć — jakby nieprzyzwoite... Mariano patrzył na nią wzrokiem pożerającym i pokornym. Wyglądał marnie i śmiesznie ze swoim wiotkiem ciałkiem przy tej

potężnej samicy. Zanotowałem to sobie w myśli, a już na drugi dzień miałem jeszcze ciekawsze widowisko.

Z okna mojej vendy dojrzałem Eduarda, idącego z pękiem rzemieni pod pachą. Domyślałem się, że szedł do mnie, i chciałem już wyjść naprzeciw, kiedy zobaczyłem, że zatrzymał się nagle przed oknem Hildy. O ile mogłem się domyślić, nie mówił nic, nie wszczynał żadnej rozmowy, tylko stał i patrzył na nią tym swoim niemiłym wzrokiem. Zrozumiała jest rzeczą, że dziewczyna się zaniepokoiła: poruszyła się niespokojnie i bodaj, czy nie krzyknęła lekko. W tej chwili z drugiej strony podchodził do domu rzeźnika Mariano. Dojrawszy brata, przyspieszył kroku i coś musiał mu rzucić obraźliwego, bo Eduardo chwycił za rewolwer. Mariano zrobił ten sam ruch i stali tak ci dwaj bracia, jak koguty gotowe do walki. Po chwili odjęli ręce od rewolwerów, ale patrzyli na siebie wrogo. Hilda zaś wychyliła się z okna i patrzyła chciwie na całą tę scenę. Wreszcie rozeszli się, obejrzeli się nagle i jednocześnie raz, czy dwa razy, jak to nigdy w takich wypadkach nie zaszkodzi zrobić, aż wreszcie zniknęli całkiem. Hilda zaś zamknęła okno.

Po chwili Eduardo wszedł do vendy i zaczęliśmy mówić o interesie.

I znowu kilka dni pod rząd miałem możliwość dojrzenia Mariana przy oknie Hildy, a jednego z następnych dni znowu pojawił się Eduardo.

Tym razem nie było Mariana. Po kilku chwilach milczącego wpatrywania się w siebie nawzajem, Hilda naraz zaśmiała się pogardliwie, ale jakoś nazbyt już głośno. Eduardo się cofnął, jak oblany ukropem, a w drzwiach ukazał się sam rzeźnik i zaczął krzyczeć:

— Czego tu chcesz, włóczęgo, tchórze? Wy-
noś się, bo cię nauczę przyzwoitości! Widzicie
go...

Eduardo szybko odszedł i od tej pory nie widziałem go ani razu przy oknie Hildy. Wszystko to zresztą przypomniałem sobie dokładnie dopiero później, bo wtedy uważałem, że sprawa jest skończona, i zapomniałem o niej.

Powrócił wreszcie Hoerhann, promieniejący, triumfujący, a nawet ubrany inaczej niż dotąd — po miejsku. A już czas był — zdaje się po temu najwyższy, bo Mariano nie odchodził prawie od okna Hildy i gadali całymi dniami przyciszonym głosem. Nic też nas nie zdziwiło, że Heilbrunner, spotkawszy po raz pierwszy Hoerhanna, zaczął go, przy świadkach:

— Senhor prefeito, zdaje mi się, że możnaby ogłosić zaręczyny. Chłopiec wystaje całymi dniami pod oknem Hildy — niechże więc wejdzie do domu. Radziliśmy przecie nad tem.

Hoerhann odął się nieco i nic nie odpowiadał, wreszcie wycedził:

— Radziliśmy, ale nie uradzili. Dopóki chłopak nie wszedł do domu — nie jest niczem związany.

Heilbrunner stropił się nieco, ale po chwili, czerwony ze wstydu, krzyknął:

— Jakżeż mam w takim razie tłumaczyć sobie ten nocny napad?

— Napad? A czyż senhor ma dowody, że syn mój tam był?

Heilbrunner zaniemówił: uczuł, że go wystawiają na dudka, a nie mógł się bronić, nie narażając opinii swej córki.

— Czyż syn mój był u pańskiej córki nocą w mieszkaniu? — zapytał jeszcze zjadliwiej Hoerhann.

— Skądże? — rzucił się Heilbrunner.

— No, więc o co chodzi? Nie rozumiem.

Rozumiał jednak Hoerhann bardzo dobrze i tem należy tłumaczyć, że w kilka dni zaledwie po tem przyzwoity wóz wyruszał w stronę stolicy. Chociaż wyruszał w największy upał, w południe, licząc, że na ulicach będzie pusto — wypatrzył go przecie Heilbrunner i stanął w drzwiach:

— Hola! panie prefekcie, więc to na dobre wojna między nami?

Stary wychylił się z wozu.

— Dłaczego wojna? Jeżeli młodzi będą mieli ochotę — to się zawsze znajdą! — odpowiedział ugodowo Hoerhann.

W tej chwili otworzyło się okno i wyrzała Hilda. Miała ten sam spokojny wyraz, co zawsze. Wyrzał także dobrze schowany pod budą Mariano:

— Hilda, ja wróce! — zawołał jakoś płaczliwie.

— Dureń jesteś! — powiedział stary, zapominając się.

— Ach, tak? senhor prefeito... — rzucił rzeźnik — Bom!

Wóz ruszył, a ojciec i córka zniknęli w domu. Miało się wrażenie, jakby zapadła kurtyna po którymś tam akcie.

Dobrze się zresztą stało, że Hoerhannowie wyjechali w tym właśnie czasie, kiedy wrócili „bugeiros“. Nastrój miasta wcale nie był dla nich miły.

Zamykałem już vendę, kiedy podjechały dwa muły, między którymi szedł jeden pieszy. Odrazu zastanowił mnie dziwny wygląd jeźdźców; kiedy jednak podjechali bliżej, przekonałem się, że na każdym mule jechało po dwóch ludzi, przyczem byli ranni albo chorzy, bo ledwie się trzymali na siodle. Zatrzymałem się, nie mogąc słowa wymówić. Tymczasem podszedł do mnie pieszy i z trudem wykrztusił: — Wódkil

Był to Franz Garden.

Nie minął kwadrans, a venda była już pełna ludzi i musiałem pozapalać wszystkie lampy. Nikt się o nic nie pytał. W ciszy słychać było tylko sapanie ludzi, którzy pili gorącą herwę. Potem dopiero, powoli zaczęliśmy ich karmić. Byli jakby nawpół zdiczali: nie mówili nic i tylko z dzikim wyrazem chwyтали wszystko, cośmy im dawali. A dopiero po tem wszystkiem pozwolili się opatrzyć. Opowieść ich była prosta: Kto się odłączał

lub zostawał, choćby na kilkadziesiąt kroków — ginął bez śladu. Nie można było się oddalić po wodę, nie można było się wybrać na polowanie, nie można było rozciągać się w marszu. Zwierzyna była wypłaszana celowo i chytrze. Nawet najświeższe ślady zwodziły. Na „tropie” — ścieżce dwa razy znaleźli wilcze doły, w które wpadło trzech ludzi: w pierwszy — dwóch, a w drugi — jeden. Umarło z nich dwóch, nabiwszy się na wbity w dno pal. Nie widzieli ani jednego Botokuda, tylko słyszeli nocami ich pohukiwania i stukania w pnie drzew. Wreszcie, trzymając się ciągle razem, zdołali dowlec się w pięciu do miasteczka, podrapani, opuchnięci z głodu, pokaleczeni o pnie drzew, zjedzeni przez pasorzyty. Ranni nie byli, ale całą skórę mieli pokrytą drobnymi ranami, które nie goiły się wskutek ich osłabienia i nowych zadrapań. Błądzili, musieli się przedzierać naprzelaj, zupełnie bez drogi. Wreszcie, trzeba zaznaczyć, że w odwrotnej drodze Bugrzy ich już nie prześladowali...

— Tak, tak! — mruczał Bużju. — Dają znać, żeby ich nie ruszać. Nie chcą zadzierać z nami, ale nie pozwalają pchać się do siebie.

— Hola! senhor dotto! — zachrypiał naraz Franz. — Jeżeli pan myśli, że to koniec — to się pan grubo myli! Mnie pan nie zastraszy. Rachunki jeszcze nie skończone!

Wśród obecnych rozległy się krzyki i spory, a krewni zabitych przeklinali i Bugrów i Hoerhanna. Pierwsi przysięgali zemstę i żądali wielkiej wy-

prawy na Bugrów, drudzy chcieli się skarżyć rządowi stanowemu.

Było już dobrze ciemno, kiedy goście się rozchodzili z vendy i dlatego nie jestem pewien, czy mi się nie przywidziało, że ktoś odskoczył od drzwi i przepadł w ciemności. Dlaczegożby jednak nie wszedł do vendy?

Kiedy Hoerhann wrócił, pierwszy wybuch już minął. Poza tem wieść, którą stary rozповідаł na prawo i lewo, że Mariano otrzymał referat „mansowania” — ułaskawiania Bugrów i jest w rządzie, znakomicie ułatwiła mu sytuację. Wreszcie mściwość Franza zapalała innych i skłaniała ich do szukania winnych tylko wśród Bugrów.

Teraz jednak postawiono sprawę całkiem inaczej: nie brano synów mieszkańców miasteczka. Hoerhann rozporządzał sporemi sumami i działał — śmiech powiedzieć — „z ramienia” swego syna, wielkiego „mansadora”, który tymczasem bawił się w stolicy stanu. Wysłano więc do wszystkich vend, w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, upoważnionych werbowników, którzy kontraktowali najbardziej podejrzanego typy. Po upływie miesiąca zaczęło to wszystko ściągać do naszego miasta, a choć przepuszczali całe swoje „honorarium” właśnie u mnie — nie mogę powiedzieć, żeby mi to sprawiało przyjemność. Uzbierało się też to wszystko aż po zęby, kupowali juczne muły, a wreszcie — to pomysł Franza — postarali się o psy. Zdaje się, że to tylko dopomogło im do tych „triumfów”, które potem nastąpiły.

Odjeżdżali z wielką pompą i hałasem, obiecując dostarczać uszów bugierskich na dowód ilości zabitych. Nauczani poprzedniem, smutnem doświadczeniem i zapoznawszy się już nieco ze zwyczajami Bugrów — zapuszczali się w lasy bardzo ostrożnie, nie rozłączali się i trzymali się pewnej strategii. I rzeczywiście zwycięstwo przechyliło się na ich stronę.

Po miesiącu przysłali dwóch ludzi z wieściami i po żywność (starali się bowiem jak najmniej polować). Wyśłańcy opowiadali, że zabito już kilku „dzikich”. Zdołano się podkraść pod ich obozowisko, ponieważ zaś nie mają zwyczaju walczyć w nocy — nie byli na bitwę przygotowani. Tliło się też ognisko, dzięki czemu „bugreiros” wystrzelali dzikich z ukrycia, jak kaczki. Ilu zginęło, dokładnie niewiadomo, bo mają zwyczaj zabierać swoich rannych, nawet w chwili wielkiego niebezpieczeństwa.

„Buźju” kręcił na to wszystko głową, ale kiedy mu pokazano trofea, zapomniał o wszystkim i zajął się niemi, jak dziecko. Była to przedewszystkiem wielka maczuga, wielkości prawie wzrostu człowieka, z niesłychanie twardego drzewa (zdaje się „Ipé”); przy rękojeści owalna w przekroju, niżej zaś przechodząca w kształt rombu. Kanty tej strasznej broni nosiły ślady zaschłej krwi. Były jeszcze dwa łuki i kilka strzał z drewnianymi cstrzami, oraz kilka innych drobiazgów.

„Buźju” wyprosił to sobie, a raczej kupił za — poczęstunek i zaraz pobiegł z tem do domu.

Minał jeszcze miesiąc i naraz rozeszła się wieść, że „bugreiros” wracają. Wracali rzeczywiście i urządzili sobie wjazd triumfalny w całym znaczeniu tego słowa. Wyglądali groźnie i — trzeba to przyznać — dość wspaniale: byli zarosnięci, okurzeni, ale roześmiani i dumni.

Całe miasto zebrało się, żeby ich zobaczyć. Nie zabrakło nawet Eduarda, który stał nieco zdala, przy doktorze. Kiedy podjechali bliżej, wszczął się naraz gwar jeszcze silniejszy. Pokazywano sobie coś na wyścigi i gardłowano zawzięcie. Zobaczyłem wreszcie i ja: między końmi „bugreiros” pędzono małą gromadkę jakichś potworków. Były to całkiem ciemne, nagie i zupełnie maleńkie postacie ludzkie.

— Jakto? — pytano. — To „oni” są tacy mali?

Sprawa się szybko wyjaśniła. Kiedy kawalkata podjechała do vendy i tłum otoczył ją zwartem kołem, Franz — złażąc z konia — roześmiał się głośno:

— Szczenięta!

To były dzieci bugierskie. Stały w zbitej gromadce, powiązane za ręce, wykrecone do tyłu i trzymane na dwóch silnych lassach, przez jeźdźcę z przodu i przez jeźdźcę z tyłu. Na dobrą sprawę można je było wziąć za jakiekolwiek dzieci kaboklerskie (wszak z barwą skóry jest u nas różnie), ale ich wygląd i ruchy ostrzegały o omyłce. Patrzyły zpoдеłba i mruczały coś ze strachu, czy ze złości — trudno było odgadnąć.

— Pieszo ich pędziliście? — zapytała jakaś litościwa kobiecina.

— A pewnie! — zaśmiał się Franz. — Spójrzcie na ich nogi! To skóra nie człowieka, lecz tapira.

Rzeczywiście, stopy mieli ci jeńcy tak zgrubiałe, że wyglądały, jak szare, jaśniejsze od reszty ciała — trzewiki.

Jakieś dziecko zbliżyło się i dotknęło jednego z nich i natychmiast rozległ się nieludzki wrzask malca: Botokud ugryzł go błyskawicznie w rękę.

— Gryziel — rozległ się okrzyk zdumienia i oburzenia.

— Szczenięta! Mówiłem — śmiał się Franz.

Tłum zwrócił się przeciwko „dzikim”:

— Uuu! Żmije! — krzyczano na nich. — Dziaki przekłete! Ludożercy!

Było ich pięcioro. Jeden chłopiec starszy, w wieku może dwunastu lat i dziewczynka nieco starsza, reszta — byli to chłopcy w wieku siedmiu, ośmiu lat.

— Patrzcie, co ten tam ma w pysku! — rozległ się czyjś okrzyk, pełen duszonego śmiechu.

— A prawda! Patrzcie!

Wtedy wyszedł naprzód „Bużju”:

— To jest właśnie „botoque” (czopek), od którego biorą nazwę. Dają to tylko chłopcom i tylko w pewnym wieku. A dziewczętom robią nacięcia koło kolana.

— Doprawdy ta mała ma jakieś blizny! Patrzcie!

Wszyscy spojrzeli z uznaniem na doktora, a on promieniał. Cóż chcecie? — Była to jego manja tak, jak inny lubi się zakładać na wyścigach końskich, albo grać w „bicho”.

Zaczęła się narada, co z nimi robić. Nikt tego nie wiedział; sami „bugreiros” przyznawali, że przyprowadzili te dzieci tylko w celu zaimponowania ludziom z miasteczka.

— Teraz już można ich „zlikwidować” — odsapnął niedbale Franz.

Ale sprzeciwił się temu stanowczo „Bużju”: on będzie opracowywał słownik botokudzki.

— Słownik? — zdziwili się wszyscy. — Co za słownik? I poco?

— Może pan będziesz wydawał gazetę botokudzką? — śmiał się Franz.

Ale „Bużju” umiał bronić swych manij: wytłumaczył o co mu chodzi, oświadczył, że z ich słów stworzy słownik, który nie tylko będzie miał znaczenie dla nauki, ale może się przydać samym kolonistom, a nawet tymże „bugreiom”. Miał rację, ani słowa: to mogło się przydać.

Zamknięto zatem te wilczęta do szopy doktora, który podjął się je karmić.

Karmić... Bagatela! — łatwo to powiedzieć, nie znając sprawy. Przedewszystkiem nie wiadomo było, jak sobie postąpią po rozwiązaniu rąk. A postąpili w sposób dość przedsiębiorczy, bo wczepili się od razu w chłopaka, który im przyniósł jedzenie, tak że nie można ich było oderwać. „Bużju” był zrozpaczony, ale nie ustępował. Naprzód tyl-

ko uchylał drzwi i wsuwał im ostrożnie jedzenie, żeby ich nie płoszyć, no... i żeby jego nie pogryźli. Po kilku dniach miał zamiar przyuczyć ich do jądania „z ręki”, jak to się robi z dzikimi zwierzętami. Cały ten jednak piękny plan spalił na panewce, ponieważ dzikusy... wcale nie jadły.

Dowiedziałem się o tem od samego doktora, który zaszedł kiedyś do vendy i zażądał — ku memu zdziwieniu — wielkiego pudła cukierków.

— Cóż to doktor się zrobił takim łakomczuchem na starość? — zażartowałem.

— Ach! — westchnął „Buźju” — przecież to dla tych dzikusów.

— A prawda! Jakżeż się miewają?

— Żle! — jęknął prawie doktor. — Nie jedzą.

— Jakto nie jedzą? Gotowanego?

— „Gotowanego!” Żadnego! Z początku też myślałem, że są nieprzyzwyczajeni do naszej strawy, ale potem dawałem im „szarkę”, a przecież wiem na pewno, że muszą umieć suszyć mięso na słońcu. Jest to jedna z najprymitywniejszych czynności kulturalnych i etnografja powiada, że nawet ludy stojące tak nisko, jak na przykład Buszmeni...

— Więc nic nie jedzą? — przerwałem doktorowi, obawiając się powodzi jego mądrości.

— Nic. I to od samego przybycia. Wodę czasem tylko piją.

— Boją się, że zatrute, czy co u diabła?

— Gdzie tam! — przez hardość. Próbowałem przy nich. To ten chłopak z botoką tak na wszystkich wpływa.

— Ależ zawzięte szczenięta!

— Prawda? — ożywił się doktor. — Pomyśl pan, co za dusza tego narodu, który nazywamy dzikim. Taki brzdąc, a już się czuje wojownikiem i nie chce żyć w niewoli! Jakaż to różnica z takimi choćby Caingansami: widziałem, jak żebrali po kolonjach w Paranie i aż mnie obrzydliwość brała. O, Botokudzi nie tacy!

Doktor puszył się, jakby był impresarjem tych dzikusów.

— No dobrze, a pocóż te cukierki w takim razie?

Doktor zrobił tajemniczą minę:

— Eduardo się tem zajął.

— No i co?

— Jak jemu się nie uda — to już nikomu się nie uda.

— Proszę! — ironizowałem. — A cóż on takiego zamierza?

— Nie mówił mi. Kazał tylko kupić cukierków.

Spojrzałem ze zdumieniem na doktora: nie myślałem, że aż taką władzę ma nad nim ten awanturnik.

— Wiesz pan co? — zdecydowałem się. — Pójdę z panem, może co pomożę.

Eduardo, jeśli mnie nie kochał — to przynajmniej patrzył na mnie mniej wrogo, niż na innych mieszkańców miasteczka. Mruknął więc coś, co mogło wyglądać na łaskawą aprobatę mojej obec-

ności. Długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, a doktor aż dreptał z niecierpliwości.

— Więc Eduardo... — bąkał. — Więc tego... jakże będzie?

Eduardo wstał naraz:

— Uratujemy tylko jedno — powiedział ostro. — Reszta umrze.

— Ależ...

— Inaczej nie damy rady! — przerwał Eduardo. — Zresztą uratujemy najważniejsze. Wystarczy dla naszych celów.

„Celów”? — zdziwiłem się w myśli.

Poszliśmy do szopy. Przyznam się, że nie kwapilem się zbyt, nie mając ochoty być gryzionym bez żadnej dobrej racji. Ale doktor uspokoił mnie:

— Są tak osłabieni, że nie mogą się ruszać.

W szopie było ciemno i z początku nie mogłem nic rozróżnić, kiedy jednak oczy oswoiły mi się z ciemnością — zobaczyłem ich. Nie jestem specjalnie czuły, moi panowie, a zanim osiadłem tutaj, w vendzie nad Itajahy, przeszedłem być może bardzo burzliwe scenki, a jednak to, co zobaczyłem, ścisnęło mnie za serce. W rogu szopy, na resztkę liści kukurydzanych leżała ciemna masa: były to te biedne „szczeniaki”, przytulone do siebie, zwinęte, jak chore, drapieżne zwierzątka. Starły się zajmować jak najmniej miejsca, wtulały się w kąt, jakby licząc na to, że ich nie dostrzegą, a oczy, błyszczące, duże oczy, miały skierowane w stronę drzwi. Zupełnie, jak schwytane zwierzęta, powiadam.

Eduardo zbliżył się pierwszy i patrzył chwilę na nie. Potem powiedział do nas półgłosem:

— Musimy wziąć tę dziewczynę.

Botokudzi poruszyli się i zamruczeli. Nie, nie był to głos żaloszny: był to głos wściekłości, tyle można było zrozumieć, nawet nie znając ich języka. Nie mieli jednak biedacy siły, i mimo że splekli się rękami, jak lłany — oderwaliśmy od nich dziewczynkę, która nam leciała przez ręce.

— Bohaterzy! — syknął Eduardo tak dziwnie, że nie byłem pewien, czy kpi, czy ma ochotę się rozplakać. Potem wziął na rękę dziewczynę i pocałował ją w czoło. Odwrócił prędko od nas twarz i szybko poszedł w kierunku domu.

Eduardo miał rację: tę dziewczynę uratowano i tylko ją. Podważono jej z trudem zęby, wiano trochę mleka, potem wciśnięto cukierek w ciemne jej wargi. Wypluwała go kilka razy, ale wreszcie musiała poczuć słodki smak i pękła jej biedna, dziecięca i dziewczęca wytrwałość: z westchnieniem prawie rozpaczy — łyknęła go.

— Gdybyśmy jej nie oddzielili, nicby z tego nie było — rozważał głośno doktor. — Miałeś rację Eduardo. Tamten chłopak tyranizował ich wszystkich. Istotnie, może z dziewczyną będzie łatwiej.

— Nietylko to — mruknął Eduardo. — Ona jest coś lepszego.

— „Coś lepszego?” — zdziwił się doktor. — Nie rozumiem.

— Spójrzyj pan na jej skórę. Zresztą wyraz oczu. No i ten znak na piersiach.

— Znak? — powtórzył doktor. — Botokudzi nie znają tatuowania. Robią coprawda dziewczętom na skórze nacięcia, ale... Może to wspomnienie jakichś dawnych zwyczajów. Zobaczmy, zobaczmy. Hm, rzeczywiście jakby coś było. Jakby jakiś herb, czy coś takiego?

Zostawiłem ich nachylonych ciągle nad dziewczyną, która wzdychała i jęczała za każdym łykiem wmuszanego w nią jedzenia. Dowiedziałem się potem, że z innymi t. j. z pozostałymi chłopcami nie poszło tak gładko: nie chcieli za żadną cenę przyjmować pokarmu, ostatkiem sił gryźli i kopali, aż wreszcie umarli wszyscy jeden po drugim. Najdłużej trzymał się chłopak z „botoką”, ale i on poszedł za innymi. „Bużju” pochował ich w swoim ogrodzie, choć mu wrócono, że to nie może przynieść szczęścia. Schował też starannie „botokę”, wyjętą z wargi dolnej chłopca.

Z dziewczyną zaś szło coraz lepiej: oswoiła się i nawet przywiązała do doktora i Eduarda, który teraz tam stale przesiadywał.

W zadziwiająco szybki sposób uczyła się też mówić po portugalsku. Doktor wziął się do jej nauki z wielkim zapałem i — o ile mogę sądzić — z umiejętnością. Dość, że po niedługim czasie można się było z nią dogadać i wzajemnie można było od niej się nauczyć słów botokudzkich, z czego oczywiście doktor cieszył się, jak warjat.

Byłem tam kiedyś i byłem zdumiony przemianą: dziewczyna krzątała się po domu, robiąc jakieś porządki, ubrana po ludzku i wesoła. W sukience wyglądała na sporą dziewczynę, prawie dorastającą.

— Coricra! — zawołał na nią Gensch, łypiąc na mnie kątem oka.

— O que quer, papaesinho? — Czego pragniesz, ojczulku? — zapytała z całą swobodą.

— Zapomniałaś przywitać się z panem. Jak ktoś wchodzi, to trzeba go zawsze przywitać.

— Boa tarde, senhor! — zatrajkotała, jak pa-pużka.

Byłem zdumiony i ująłem tem bardzo doktora: zaczął na moją cześć rodzaj egzaminu, czy popisu: pokazywał kolejno różne przedmioty w pokoju i pytał „jak to się nazywa”. Na wszystko odpowiadała bez namysłu. Potem zadał jej kilka pytań w tonie zwykłej rozmowy. Także odpowiadała swobodnie. Wreszcie zagadał do niej w sposób dziwaczny, a dziewczyna roześmiała się wesoło. Domysliłem się, że to język botokudzki: teraz doktor się popisывał.

Brzmiało to coś, jakby:

— Ngojó joném je nokokla.

Dziewczyna pobiegła i przyniosła wody do picia, ale podając — powiedziała z tą miłą zalotnością dziewczynek:

— Ale ty niedobrze powiedzieć. Trzeba „ijonem” nie „jonem”.

— Ijonem! — powiedział z uwagą i powagą „Buźju”.

Potem „Buźju”, pokazując na mnie, spytał jej:

— Songrágo?

— Ndéja — odrzekła dziewczyna, chowając się za doktora.

— Eduardo songrágo?¹⁾

— Hóa! — krzyknęła dziewczyna i uciekła.

— Cóż to za spiski? — śmiałem się.

— Pytałem się jej, czy pan jest ładny — powiedziała, że nie.

— A Eduardo zyskał jej uznanie? — roześmiałem się.

— O, Eduardo jest jej bogiem, oczu z niego nie spuszcza. Ale też Eduardo mówi po bugiersku, jak „dziki”. Ciągle coś gdaczą! — śmiał się „Buźju”.

Rzeczywiście język ten przypominał gdakanie, miało się wrażenie, że mówi się w nim tylko nosem, a każdy koniec słowa przedłuża się jeszcze w monotonnym dudnieniu, jak drganie dzwonu.

— Cóż pan myśli z nią robić? — zapytałem.

— O, to jeszcze dalekie sprawy! — odpowiedział mi z jakimś tajemniczym akcentem.

Wreszcie wszyscy pogodzili się i przyzwyczaili do istnienia „dzikuski” w domu Genscha i wszystko trwałoby bez chmurki, gdyby całej tej sielanki nie przerwał bardzo niemiły wypadek.

¹⁾ Według słownika niemiecko-botokudzkiego, ułożonego przez dr. H. Genscha.

Była to — jak dziś pamiętam — już zima i roztopy były takie, że nie chciało się chodzić nawet do najbliższego sąsiada. Jednak, gdy pewnego razu zebrało się kilku ludzi w vendzie, stwierdzono, że już jakoś bardzo dawno nie widziano nikogo z rodziny Ripozów, którzy mieszkali na samym krańcu miasta.

— Czy nie pochorowali się? — ktoś rzucił.

— Trzebaby do nich zajść.

Tegoż jeszcze wieczoru była tam cała ludność, zaalarmowana straszną wieścią: cała rodzina była wymordowana. Na głowach, rękach i nogach ofiar znać było straszliwe rany zadane widać kanciatą maczugą. Jeden tylko stary Ripoz miał gardło nawylot przebite trzcinową strzałą z drewnianym końcem, która na oko wyglądała całkiem niewinnie. Musiał widać pierwszy wyjść do napastników, usłyszawszy coś podejrzanego. Ofiary widocznie męczyły się strasznie, i musiały pełzać po chacie, szukając ratunku. Małe dziecko Ripozów było całe posiniaczone od uderzeń jakimś tępym narzędziem.

Staliśmy i milczeliśmy, zdjęci zgrozą i nienawiścią, a także przesadnym strachem. Ktoś wyszeptał ponuro:

— Przyszli do nas.

Ruszono zaraz „bugreirów”, którzy siedzieli po domach, albo vendach, ale niechętnie wyciągali na wyprawę. Kłócili się, że im zalegają z opłatą, że drogi są nie do przebycia. A wreszcie, skoro zmuszono ich do wyruszenia, wrócili zaraz na drugi

dzień, twierdząc, że widzieli Botokudów, że przepłoszyli ich strzałami i że na pewno więcej nie wróca. Oczywiście była to blaga i — Botokudzi wrócili.

Co tu gadać: był to prawdziwy wojenny napad, a myśmy się spisali, jak najgorsze baby. Tłumaczy nas jedynie to, że tak zupełnie nie spodziewaliśmy się i nie przypuszczali czegoś podobnego, że wprost nie mogliśmy uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. A potem — ta dzika szybkość ataku!

Było to rano i miasteczko ledwie budziło się do życia, kiedy tu i owdzie rozległy się jakieś dziwne krzyki i hałasy. Z domów wyglądali ludzie, kilka osób pobiegło w stronę tych krzyków, aż naraz przez główną ulicę przebiegł ktoś z okrwawioną głową, wrzeszcząc wniebogłosy:

— Bugry! Bugry! Bugry!

Oczywiście, że każdy chwycił za rewolwer, ale zanim zorjentowano się, gdzie jest niebezpieczeństwo i co właściwie należy robić — Bugrów już nie było. Mogliśmy co najwyżej słuchać opowiadań o przebiegu napadu i liczyć straty. Między kilkoma zabitymi był też i ojciec Hildy, Heilbrunner.

Ciężko było patrzeć na tę wypieszczoną dziewczynę, przeznaczoną jedynie do rozkoszy, która — straciwszy swego opiekuna, mężczyznę — nie wiedziała właściwie, co robić. Powiedziałbym nawet, że *nie umiała* rozpaczać: była raczej zaskoczona i zdumiona. Oglądała się, jakby szukając, kto teraz ją weźmie, kto do niej będzie miał prawo po śmierci ojca.

Nie brakło coprawda chłopaków, którzy oblizywali się na widok Hildy, ale nie śmieli zbyt jawnie okazywać swych afektów. Postanowili tylko na dobre zemścić się na Bugrach: doprawdy za dużo sobie pozwalali!

W tej chwili koło tłumy, który gardłował przed domem rzeźnika, przeszedł szybko Eduardo, prowadząc za rękę Coricrę. Obejrzano się za nimi wrogo.

— To wszystko przez to szczenię bugierskie! — krzyknął któryś chłopak. Wtedy Eduardo zatrzymał się spokojnie i obejrzał się leniwie. Potem przystanął, poczekał chwilę i — widząc, że wszyscy umilkli — odszedł dalej. Skąd on wziął się o tej porze i z tej strony? Jedni mówili, że był w zмовie z Botokudami, co wydaje się niewiarygodnem, inni powiadali, że chciał tylko uratować Coricrę i podczas napadu wyprowadził ją gdzieś w bezpieczne miejsce. Przebąkiwano bowiem o tem, że Eduardo został już kochankiem tej dzikiej, czego nie zauważył wiecznie zagadany „Buźju”. Trudno wiedzieć, ile w tem było prawdy.

Tak, czy owak — postanowiono zorganizować prawidłową obronę całego miasta, zaprowadzić warty, pogotowie i tak dalej. Franz Garden i dwóch jeszcze ludzi, popartych przez prefekta, zaczęło spisywać mężczyzn, zdolnych do obrony. I tu znowu wynikła historia z Eduardem: odpowiedział on stanowczo komisji, że nie ma zamiaru należeć do pogotowia i że mogą się wynosić z jego zagrody. Oburzano się na to, ale może prze-

szłoby to bez śladu, gdyby w tydzień potem nie nastąpił drugi napad Bugrów, który wyrządził jeszcze więcej strat, nie bacząc na wszelkie pogotowia i warty. Ludzie byli wściekli i zawstydzeni, a wiadomo, że w takich wypadkach najchętniej poszukuje się winnych w pobliżu. Zrobił się wielki gwałt, zaczęli latać posłańcy konni, depesze do stolicy, raporty i tym podobne historie.

Ale największą kompromitację zgotował Eduardowi — Mariano. Bo trzeba wiedzieć, że Mariano zjechał na skutek tych gwałtów z wielką pompą. Dość powiedzieć, że cały orszak składał się z trzech samochodów, jakich nigdy jeszcze nie widziało nasze miasto. W pierwszym siedział Mariano i jakaś ważna figura, w drugim — dwóch młodych bubków w mundurach, a w trzecim — ciężarowym kilkunastu żołnierzy.

Stary Hoerhann cały promieniał, gdy samochody podjeżdżały do jego domu. Stał w naszym towarzystwie i smakował swój triumf:

— O to jest prawdziwy polityk, ten mój Mariano! — rozpływał się. — On jest urodzony, aby rządzić ludźmi. Prawdziwy pan!

Kiedy samochody podjechały, Mariano wyskoczył pierwszy, poklepał się z ojcem po łopacie, ale zaraz odezwał się dość sucho:

— Panie prefekcie, bezpieczeństwo obywateli w pańskim okręgu jest bardzo hm... problematyczne, co?

— Co? — zgłupiał całkiem stary. — Co mówisz, Mariano?

— Bom, bom! — spieszył się też trochę Mariano. — Pomówimy o tem później.

Przykro było patrzeć na starego Hoerhanna, który plątał się koło owych wysokich urzędników i nie wiedział co ze sobą począć. Od tej wizyty genialnego synka, którego tak wysoko podsadził — stary zgąsł zupełnie.

Mariano tymczasem miał swoje sprawy do załatwienia. Na drugi dzień po swoim przybyciu zwołał naradę najpoważniejszych obywateli miasta i wszyscy musieli przyznać, że jednej umiejętności nauczył się Mariano dobrze na szerokim świecie: nadymania się i imponowania. Kiedy zabierał głos, często przerywając innym — mimo woli szli za jego zdaniem. Narady trwały długo. Na zakończenie ich Mariano uroczyście wstał i oświadczył, że aprobuje powstanie samoobrony. Że — dalej — uważa za konieczne usunięcie z miasta zdrajców, którzy uchylają się od wspólnego przedsięwzięcia, i wreszcie, że należy — dla bezpieczeństwa — pozbyć się prawdopodobnej przyczyny tych napadów: niewolnicy bugierskiej.

Przykra cisza zapanowała po tem oświadczeniu: nikomu nie było to w smak, że Mariano judził przeciw swemu bratu. Zaraz jednak wstał Franz i przypomniał, że Eduardo stale wykrecał się od walki z Bugrami:

— Możliwe myśleć poprostu, że im sprzyja! — zakończył.

Uchwalono więc to: wygnanie z miasta.

— Co do drugiej sprawy zaś... — zaczął Mariano.

— Co do tej drugiej sprawy — przerwał mu nagle „Buźju” — to zawiadamiam panów, że adoptowałem pannę Coricrę, która teraz się nazywa Coricra-Marja Gensch. I oświadczam panom, że nikomu nie pozwolę usuwać mojej córki z osady. Zwłaszcza, że Bugrzy nic o niej nie wiedzą i nie przypuszczają widocznie, że tu przebywa, skoro wszystkie napady były skierowane w inną stronę miasteczka.

Gensch był szanowany, mimo zwykłego podkpiwania z jego manij i zresztą miał rację: nie widać było z kierunku napadów, żeby Bugrzy mieli wiadomość o pobycie dzikiej w mieście. Dziewczyna zatem została u Genscha. Mariano zresztą nie chciał przeciągać struny, zadowolił się wygnaniem Eduarda, o czym zawiadomił go w sposób bardzo oficjalny, na piśmie, przesłanem mu przez dwóch żołnierzy. Coprawda Eduardo rzucił ten papier w błoto, ale rozumiał, że nie ma co się sprzeciwiać, że Mariano jest górą. Urządził sobie tylko przedstawienie w swoim stylu na ten temat.

Było to po sjeście obiedniej i ludzie zbierali się dokoła żołnierzy i samochodów, aby się pogapić i pogawędzić. Gapiono się oczywiście na samochody, a gawędzono z żołnierzami, którzy sporo świata widzieli i mieli o czym blagować. Naraz w samym środku tłumu ukazał się Eduardo na marnym mule, ale uzbrojony od stóp do głowy. Że miał świetny Winchester na sobie — nikt się nie

dziwił, bo wiadomo było, że otrzymał go od ojca. Rewolwer miał także już podczas wyprawy na Bugrów. Rząd na konia, lasso i futerały zrobił sobie zapewne sam, ale wszystkich zdziwiło zjawienie się muła. Skąd go wydobył Eduardo, czym za niego zapłacił i skąd wyrwał na to pieniądze?

Tymczasem Eduardo, podjeżdżając do domu Genscha, już zdaleka wołał tak, aby go wszyscy słyszeli:

— Coricra, wyjdźno!

Oczywiście ludzie zaczęli się zbierać, oczekując jakiegoś skandalu, lub sceny. Nie zawiedli się: Coricra widocznie nic nie wiedziała jeszcze o postanowieniu miasta, bo spojrzała na ekwipunek Eduarda wielkimi oczami. Wyskoczyła z domu w swej taniej, ale ładnej sukience i stała nieruchoma. Mielśmy czas przyjrzeć się jej: doprawdy jak ta dzikuska urosła! Była już kobietą i kobietą nęcącą, choć w całkiem innym guście, niż Hilda. Tamta przypominała dobrze wypieczoną bułkę z wędliną, ta zaś nasuwała raczej na myśl jakiś trunek wyskokowy, pozornie łagodny i delikatny, a w gruncie rzeczy upajający. Jakies wino z dzikich winogron, czy coś takiego.

— Coricra, wypędzają mnie! — powiedział niskim głosem Eduardo. A było tak cicho, że każde słowo było słychać.

— Poco, Eduardo? — mówiła jakimś gardłowym głosem, przypominającym głos ptaka, zabawnie układając zdanie. — Poco, Eduardo? nie potrzeba!

— O, im to jest bardzo potrzebne! — zaśmiał się krótko Eduardo. — Ale ja wrócę, kochana. A oni wiedzą, że ty jesteś moją narzeczoną i żaden z tych psów cię nie ruszy. A potem przyjdzie dzień, że oni będą się bali usiąść w mojej obecności.

Coricra nie pytała więcej: zbiegła z ganku i objęła swojemi ciemnymi łapkami, jeszcze nieco dziewczęcemi, szyję Eduarda, który do niej schylił się z siodła. Całowali się bezczelnie, przy wszystkich, a trwało to dość długo. Kiedy wreszcie Eduardo podniósł głowę, powiedział półgłosem:

— Przyjdzie nasz dzień, Coricra! Ty będziesz księżniczką i ja będę księciem.

Tu już kilka osób prychnęło, ale zaraz zamilkli pod strasznym spojrzeniem Eduarda, który w tej chwili mógł sobie wszak pozwolić na każdy kawał.

Teraz podszedł do niego Gensch i długo klepali się po plecach naszym zwyczajem, objawwszy się serdecznie. Wreszcie Eduardo wskazał na dziewczynę i powiedział:

— Pilnuj jej.

Gensch mógł tylko kiwnąć głową. Co tu gadać i my byliśmy trochę nieswoi, choć nie mogło nam się oczywiście podobać postępowanie tego człowieka.

Wreszcie ruszył i zniknął za pierwszym węglem. Rozeszliśmy się szybko, bo nie można było słuchać tego nieznośnego, całkiem dzikiego wycia, które wydawała Coricra. Był to wysoki, niezbyt głośny, nieustanny jakby gwizd. Czasem taki głos wydają szczenięta.

VI.

Mariano siedział jeszcze jakiś czas w miasteczku, ciągle otoczony swoją eskortą i prowadził t. z. „narady”. Nie mogę o tem wiele mówić, ponieważ odbywały się w mojej vendzie, ale nie przypuszczam, żeby ich wyniki odbiły się na historii Brazylii.

Jeden tylko pomysł powziął w tym czasie Mariano: oto, pod wpływem dowodów Genscha, że tylko łagodnymi środkami można dojść do porozumienia z Botokudami — postanowił założyć „posto”. Zabawny to był posterunek przyjaźni: w solidnie zbudowanym blokhauzie Mariano w otoczeniu oddziału żołnierzy przez kilka dni narażał swoje cenne życie wysokiego urzędnika, oczekując nawiązania kontaktu handlowego ze strony Bugrów. Grano na gramofonie, wykrzykiwano kilka słów przyjacielskich, których ich nauczył doktor Gensch, i rozrzucono dokoła „posto” po lesie różne drobne przedmioty, paciorki, błyskotki i lusterka. Przedmioty te znikwały w tak tajemniczy i cichy sposób, że wreszcie apostołom przyjaźni z Bugrami zrobiło się nieco niewyraźnie i usunęli się szybko stamtąd, pozostawiając dwóch straceńców, o których potem jakoś nie było słyhać. Oczy-

wiecie, że założenie „posto” przyniosło Marianowi sporo sławy, a nawet — jak się potem okazało — pobierał on specjalne fundusze na utrzymanie go, kiedy nie było już nawet śladów blokhauzu. Bom! to jest zresztą sprawa rządu.

Dla wszystkich jednak z okolicy jasne było, że to wszystko jest tylko bluffem. Czyż mogło być inaczej? „Posto” przyjaźni, gdy jednocześnie istnieją w dalszym ciągu „bugreiros”? Oczywiście „bugreiros” mieli nakazaną „tylko obronną” akcję. Cóż, kiedy akcja obronna bywa zwykle z obu stron?

Zrodziła się już taka zawziętość, że pojedynczy ludzie zrobili sobie cel życia z walki z Bugrami. Może jeszcze niektórzy starsi mieszkańcy naszych okolic pamiętają Joao Martins'a z kolonji Moemy? Po napadzie na niego Bugrów — zebrał. Kiedy przyszedł do mnie (bo włóczył się dość daleko od swojej kolonji), dałem mu pięć milrejsów.

— Bom! — mruknął. — Dziękuję. Będzie na „fakon” (nóż) na Bugrów!

Myślał o tem pierwszej, niż o kupieniu chleba.

Zaczęły się czasy gorące. Można było spotkać całe zagrody i domy niezamieszkałe, a kiedy obcy człowiek pytał o to dziwne zjawisko, odpowiadało mu ze złym błyskiem oczu:

— Bugry!

Byli znani „bugreiros”, swego rodzaju fachowcy, a nawet bohaterzy w swojej dziedzinie, jak np. Bigłeckci z Rio Novo, którego Botokudzi tak dobrze pamiętali, że jeszcze niedawno pytali padre po-

lacco z Itayopolis, gdzie on. A kiedy im padre powiedział, że „foi se embora” — wyniósł się, odpowiedzieli ponuro:

— E sorte delle! — Ma szczęście!

Opowiadali sobie ludzie moc przygód z Bugrami, jak na przykład o owym mierniku, który ukłonił się Bugrom, zastępującym mu drogę i poszedł dalej, nie oglądając się, co ich tak stropiło, że dali mu spokój. Poznano też już ich zwyczaje, pory napadów, sposoby walki i przyzwyczajono się do tego stanu. Inna rzecz, że odbijało się to fatalnie na dobrobycie naszych okolic i sporo osób wynosiło się w dalsze strony.

Jedynym człowiekiem, który robił interes na Bugrach — był Mariano. Siedział sobie w stolicy i tylko od czasu do czasu przyjeżdżał do naszego miasteczka, które już uważał za „front”, aby stąd wysyłać niezmiernie poetyczne raporty. Starego traktował coraz bardziej lekceważąco, co tamtego postarzało w oczach. Nie porzucał też Mariano planów co do Hildy. Coprawda dochodziły słuchy, że stara się o córkę prezydenta stanu, ale widocznie miał zamiar tak, jak ojciec, postarać się o żonę cywilną i kościelną. Na przeszkodzie stały co prawda dwie matki: jego i Hildy, ale miał on swoje chytre plany. Osadził w rzeźni Franza, jako oficjalnego „noivo” — narzeczonego i prowadzącego interes, a pocichu był z nim w zмовie. Czekali tylko stosownej chwili.

O Eduardzie długi czas nie dochodziły nas żadne słuchy. Wreszcie gruchnęła wieść, że jest

w sławnej bandzie Fabricia da Vieira. Wiadomo, co to za człowiek był Fabricio! Nazywano go „coronel” nie tylko przy spotkaniu w „interiorze”, jak to się zwykle robi przez grzeczność: pisali tak do niego przedstawiciele władzy i wiele razy był na żołdzie państwowym, kiedy walczył z rewolucjonistami, lub na żołdzie rewolucjonistów, kiedy mu się spodobało zwalczać rząd. W jego fazendzie „Chapeo do Sol” była prawdziwa szkoła wojenna, na pewno lepiej prowadzona, niż rządowe szkoły, kierowane przez Francuzów, którzy pobierają podwójne pensje i bawią się wesoło w Rio. Na fazendzie Fabricia nieustannie ćwiczone było w rzucaniu lassem, „mansowaniu” dzikich koni, strzelaniu do celu z Winchesterów i Coltów, a nawet czemś w rodzaju szermierki dużymi „fakonami”. Nie tylko awanturnicy się tam zbierali: często chłopak z dobrego domu, któremu podobało się życie „valentona” — przechodził „kurs” u Fabricia. Bo zresztą trzeba rozumieć, co to znaczy „valentao”: nie zawsze i wcale niekoniecznie musi to być bandyta. Równie dobrze może to być zuchowały i zadziorny ale uczciwy „gaucho” z Południa, młody synek fazendera, który ma więcej synów, niż hektarów, albo „capanga” wysłany za interesem do miasta. (Bo i „capanga” niekoniecznie znaczy najemny zabójca! To się zdarza, ale nie jako reguła).

Banda Fabricia stawała się straszna tylko w czasie rewolucji. Wtedy żaden „tenente” milicji stanowej, ani oficer wojska federalnego nie miał

ochoty zdobywać sławy w starciach z nimi. W doskonałej zgodzie goniono się wówczas nawzajem, nigdy się nie spotykając i wydając co najwyżej szumne komunikaty. Żołnierze, będąc „na froncie”, dostawali podwójny żołd, a „walentony” Fabricia żyli z łupów. Zresztą nie gardzili tem i żołnierze. Słowem za wszystko płaciła ludność cywilna. Ponieważ jednak utarło się to i ludzie się przyzwyczaili — nikt nie przeszkadzał dorabiać się Fabriciowi i jego bandzie.

Nikt też z Brazyłjan nie miał za złe Eduardo wi, że tam się zaplatał, ale miasto nasze było przeważnie europejskie, a raczej niemieckie. A ci zapatrywali się na tę sprawę inaczej, mówiono:

— Został bandyta, złodziejem! Wiadomo było, że źle skończy...

Niebardzo zresztą pamiętano o nim, gdy był tak daleko. Przyszły jednak niespokojne czasy „fanatyków”, grasujących pod wodzą swego zwanego proroka czy też oszusta José Maria. Całe pogranicze Parany i St. Cathariny stało się bardzo niepewne i zaroilo się od podejrzanych typów. Pono i oba rządy maczały w tem palce — nie wiem. W każdym razie ruchawka ta jakoś nie wygasła.

W czasach tych lubiliśmy się kupić na placu i uradzać nad nowinami. Staliśmy właśnie taką kupą niedaleko mojej „vendy”, kiedy podjechała carossa Clarka, największego właściciela składu ubrań, który zaryzykował pojechać po towar. Otoczyliśmy go zaraz z żądaniem nowin, ale długo po-

trwało, zanim Clark zdołał coś opowiedzieć: był wystraszony potężnie.

— Ledwo wyszedłem! — szeptał, jeszcze niedowierzając sobie, że jest już w mieście.

— Fanatycy? — spytał ktoś ostrożnie.

— Si. A właściwie... to ten bandyta...

— Jaki bandyta?

— Eduardo.

— Co? co? — zawrzało i koło zacieśniło się bardziej jeszcze.

— Spotkał mnie przy nowym promie, promie Hoerhanna, jak go nazywają.

— Aha! — zaczynano rozumieć.

— Tak, spotkał mnie tam i zawołał odrazu: „Nao mato niguem! — Nie zabijam nikogo!” Powtórz to wszystkim: nie zabijam nikogo, kto mi się nie sprzeciwia. Nie napadam z ukrycia, ani nie strzelam z zasadzki. Tylko... trzeba mnie słuchać.

— Muito bem! — zamruczało mimowoli kilka głosów.

To był „valentao” ze „stylem” — podobał się. Przypominał coś z czasów rycerskich, do których tu wszyscy mają sympatię.

— Proszę was tylko, abyście nie jeździli tym promem! — mówił dalej ten bandyta. — Bardzo mi się nie podoba ten prom. Jest tak partacko zrobiony, że zagraża życiu porządnym obywateli...

— Hm! — uśmiechnęli się słuchacze pod wąsem. To był dobry dowcip. A przecież tu gdy chce się kogoś określić, jako człowieka ordynar-

nego mówi się, że to człowiek, który nie potrafi uśmiechnąć się, zabijając.

Clark powtarzał dalej słowa Eduarda i tak przejął się swoją rolą opowiadacza i aktora, że sam zdawał się podziwiać Eduarda:

— I nie zamierzam też pana obrabowywać: pozostawiam to legalnym władzom...

— Ha-ha-ha!

— Tylko... za mój niepokój z powodu pana, za troskę i ostrzeżenie zapłaci pan „podatku obrotowego” — sto milrejsów.

— „Podatku obrotowego!” Za troskę... Ha-ha-ha! — śmiano się i powtarzano.

W tej chwili sympatje były po stronie Eduarda. Clarka zaś nikt nie żałował, pytano się nawet, dlaczego właściwie bał się?

— At, diabli wiedza, czy takiemu włóczędze można ufać! — odpowiadał Clark, już nieco uspokojony i zawstydzony.

W ciągu kilku następnych dni kilka osób usłyszało dewizę Eduarda: „Nao mato niguem!” i musiało albo zawrócić do starego promu, albo płacić „podatek”. Wskutek tego „Paragwajka” zaczęła po długiej przerwie zarabiać przy swoim promie, co komentowano złośliwie ze względu na Hoerhanna. Mówiono też, że koło Eduarda widziano jakiegoś drugiego zabijakę, ale tamten trzymał się zdala i nie brał udziału w jego figlach. Niektórzy podejrzrywali, że Eduardo miał swoją bandę, ale to nie miało żadnych podstaw.

Po jakimś czasie przewoźnik z promu Hoerhanna porzucił swój posterunek i znalazł się, ku zdziwieniu wszystkich, przy starym promie, pomagając „Paragwajce”.

Stary siedział cicho, co zresztą nie dziwiło nikogo, bo mocno skapcował w ostatnich czasach, dopiero kiedy przyjechał Mariano... Botokudzi nie dawali znaku życia w ostatnich czasach, co oczywiście Mariano musiał przypisywać w raportach wpływom swego nieistniejącego „posto”. Musiał jednak przyjechać, aby napisać swój kolejny raport z „terenu”.

Jak zwykle zjawił się w otoczeniu żołnierzy, tym razem może ze względu na „fanatyków”. Ale kiedy dowiedział się historii z promem, zaczął kręcić się przedewszystkiem koło tej sprawy. Pierwsze jego posunięcie było nieszczęśliwe, ale miało ten pożądany dla niego skutek, że sympatje miasta odwróciły się radykalnie od Eduarda.

Mariano posłał na stary prom dwóch swoich ludzi, ponieważ zaś przewoźnika nie było — musieli sami ciągnąć prom. Co zaszło między nimi a Eduardem, niewiadomo dobrze, bo... nie miał kto opowiedzieć. Znalaziono prom na środku rzeki, a na promie ich obojgu, w dziwacznych i niewygodnych pozach. Eduardo nie mógł już powiedzieć: „Nao mato niguem!”

Mimo, że banda Mariana nie cieszyła się wielką sympatją — oburzyło to wszystkich. Zresztą niebezpieczeństwo, które tak blisko zajrzało w oczy — wystraszyło i rozżłościło miasto.

Nie mówię tego zresztą, aby usprawiedliwić postępowanie wobec „Paragwajki”. Najlepszym tego dowodem, że ja byłem — zdaje się — jedynym, który wyłamał się ze spisku. Rzecz w tem, że — za poduszczeniem Mariana — miasto postanowiło nic nie sprzedawać „Paragwajce”, mimo że mogła płacić teraz za wszystko podwójne ceny. Odebrano jej też owego pomocnika. Gdyby nie Gensch, który zdołał mnie namówić do tajnego handlu z „Paragwajką” — byłaby przymierała, a może i poprostu umarła z głodu. Tymczasem zaś — bardzo niedługo potem — umarła ze starości. Był to paskudny moment dla Eduarda.

Zjawił się w naszym mieście na wieść o chorobie matki i to w samo południe. Chcąc dać dowód, że nie przychodzi w złych zamiarach — zjawił się bez broni. A właściwie miał tylko mały fakon. I tu — trzeba wyznać ze wstydem — obywatele nasi spisali się bardzo nieładnie: wykorzystali to.

Eduardo zjawił się na głównej ulicy, ubrany biednie, bez żadnych ozdób „walentóńskich”, pie-szo i — jak mówiłem — bez broni. Wiedzieliśmy już, że matka jego była umierająca i to trochę ludzi powstrzymywało. Szedł prosto do apteki. Kiedy wszedł do niej — na ulicy zaczęła się kupić spora gromadka. Ja patrzyłem na to z okna i miałem niedobre przeczucia.

Za chwilę Eduardo ukazał się w drzwiach apteki z butelkami: widocznie aptekarz zląkł się go sam na sam i sprzedał mu lekarstwa (zapisane pe-

wno przez Genscha). W tej chwili jednak tłum ludzi pokrył go tak zupełnie, że nie było go wcale widać. Rozległy się wrzaski zduszone i charczenia, jak w kupie gryzących się psów. Byliby go chyba zabili, gdyby z za pobliskiego płotu nie rozległ się groźny krzyk:

— Senhores — odstąpić, bo strzelam!

Mężczyźni podnieśli się rozwścieczeni i szukali okiem nowego przeciwnika. Zobaczyli jednak tylko łufę Winchestera. Wobec tak nieuchwytnego przeciwnika — musieli się cofnąć radzi nie radzi.

Eduardo wyglądał, jak nieboskie stworzenie: wywalany w błocie, pokrwawiony, obdarty, stojący jakoś dziwnie bezradnie nad skorupami swoich flaszek. A mężczyźni dawali sobie upust wymysłami:

— Złodziej, bandyta, przybłęda, bękart!...

Eduardo ruszył powoli ku domowi, nie odpowiadając wcale. Podniósł tylko dwa razy głowę: raz, kiedy Hilda zawołała ze swego okna:

— O, jaki piękny kawaler!

A drugi raz, kiedy auto Mariana ochlapało go błotem i Mariano krzyknął:

— Niewolnik!

Było to koło domu doktora Genscha i przy furtce stała Coricra, płacząc bez słowa.

Wtedy Eduardo podniósł głowę i powiedział do niej głośno:

— Nie płacz. Poczekaj. Ty będziesz królową, a ja — królem.

Widocznie na dobitkę zwarjował.

Pamiętam, że przyjrzałem się wtedy dobrze tym dwom braciom.

„Paragwajka” umarła tejże nocy, a Eduarda znowu wygnano z miasta.

Nie było co do tego żadnego sprzeciwu. Przeciwnie chciano się jeszcze dowiedzieć, kto to mógł obronić Eduarda, aby się odpowiednio zemścić. Ale wreszcie wyciągnięto wniosek, że to nie był nikt z obywateli. Musiał to być jakiś jego wspólnik ze złodziejskiej bandy. Może to ten, którego widziano parę razy przy nim? Akcent miał w każdym razie obcy.

VII.

O pobycie Eduarda u Botokudów wiem tylko, oczywiście, z drugich ust: od Genscha, któremu opowiadał coś niecoś sam Eduardo, od doktora Schulzega, który tam został porwany na kilka dni do usług lekarskich, a wreszcie od padre polacco z Itayopolis, który może wie najwięcej o tej historii. (Sam Eduardo nigdy prawie nie mówi o swoim życiu „tam”). Z tego wszystkiego można sobie stworzyć jaki taki pogląd na to, co się tam działo.

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że ów jego towarzysz z bandy Fabricia, który go uratował podczas napadu w mieście i włączył się z nim stale — był to również Indjanin. Nie Botokud, ale Coroad. „Bużju” opowiadał mi kiedyś, jakie to niesłychane różnice są między temi plemionami, ale przyznać się muszę, że niewiele z tego zapamiętałem. Podobno „Coroadzi” — znaczy to „okrągłe głowy”, czy też „strzyżone głowy”. Siedzą oni gdzieś na dzikim zachodzie Parany, ale zbliżają się do siedzib ludzkich. Zajmują się nieco rolnictwem i są „mansos” — obłaskawieni, podczas, gdy Botokudów można śmiało zaliczyć do „bravos”. Nie noszą też czopków w głbie, jak Botokudzi.

Skąd wynikała tak wielka miłość owego Coroad do Eduarda, że stał się jego niepłatnym sługą poprostu — nie wiem. Musiał mu Eduardo wyrządzić jakąś przysługę, bo kiedy chciał — umiał sobie pozyskiwać ludzi. Może poprostu wykupił go z niewoli, która tak powszechnie panuje nad rzeką Paraną, a zwłaszcza w stanie Matto Grosso? Słowem odtąd Coroad, imieniem Preiê, nie rozstał się z Eduardem i do tej pory tkwi przy nim.

Czy po opuszczeniu miasta grasowali jeszcze po drogach, czy też odrazu udali się do dzikich — nie wiem. Był to pomysł istotnie godny warjata — oddawać się w niewolę tym zwierzętom. Ale — pokolei!

Eduardo za wszystkie pieniądze, któremi rozporządzał, zaopatrzył się we wszelkie możliwe zapasy, jakby udawał się na biegun północny i samowtór z Preiêm wyruszył na tę ryzykancką wycieczkę. Prawdziwemi kpinami losu było to, że właśnie te zapasy leżały bezużytecznie przez długi czas, przez ten czas właśnie, kiedy mogłyby mu oddać największe usługi.

Włócząc się długo po lesie, obaj słyszeli wielokrotnie głosy Botokudów lub widzieli ślady ich obozowania, ale nie mogli zetknąć się z nimi oko w oko. Nie było to przyjemne: wieczorami, ledwie wyciągnęli opuchnięte nogi — odzywały się pohukiwania i naśladowania zwierzęcych głosów, albo bicie maczugami o pnie drzew. Mimo, że słyszeli o niechęci Bugrów do napadów nocnych — nie mogli im przecież zupełnie zaufać i męczyli się

całą noc, czuwając naprzemian. A najstraszniejsze było, gdy jednej nocy zaczęto ich przedrzeźniać z ciemności. Było to tak: mieli ze sobą doskonałego, wielkiego psa, prawdziwego „anteiro”, który już kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt „ant” (tapi-rów) napędził do wody. Pies skoczył gdzieś w las z ujadaniem, a Preié, bojąc się, żeby go nie zabili Botokudzi, zawołał:

— Cachoro! — Pieseczku, chodź tu! Cachoro!

I wtedy nagle z za pobliskiego drzewa rozległ się ordynary, niezdarny, chrypiący głos, wydrzeżniający się złośliwie:

— Cacholo... we-we-we...

Nie można było nie wyobrazić sobie, jak obrzydliwie wykrzywia się ta złośliwa po małpiemu gęba, wołając to.

Ale i tej nocy nic się nie zdarzyło. Wreszcie zmęczeni się tak, że postanowili zostać na miejscu i czekać, dopóki dzicy sami nie dadzą znaku życia. Wybrali miejsce nad rzeką, mocno wydeptane, wyglądające na wodopój zwierząt i ludzi. Jakóż istotnie coraz częściej mieli dowody, że są obserwowani. Coraz też śmielej migały jakieś postacie. Botokudzi raczyli stawać się widocznymi dla białych. Często też pies ostrzegał warczeniem o obecności obcych.

Wreszcie któregoś dnia, o świcie — zostali otoczeni. Zbudzili się od wściekłego ujadania psa, który jednak chował się im pod nogi. Usiedli gwałtownie i sięgnęli po broń, ale przekonali się, że gdyby nawet chcieli walczyć — byłoby to szar-

leństwem: ze wszystkich stron widać było włócznie, maczugi i strzały, wyglądające z gęstwiny. A przecież oni nie mieli zamiaru walczyć — nie poto tu przyszli.

Eduardo zaczął tedy wołać:

— „Kakeń! Kakeń!” Przyjacieli! „Anunjed-ma!” Bracia! „Ihá tong ayong nánima!” — Ja lubię was!

I inne podobne słowa, których przecież nauczył się od Coricry.

W odpowiedzi nastąpiła cisza zupełna: widocznie Bugrzy byli zdumieni, że jest ktoś, kto zna ich mowę. Po chwili dopiero zabulgotali w odpowiedzi jeden przez drugiego, nie wyrażając jednak z gąszczu. I tu przekonał się dopiero Eduardo, że co innego powtarzać powoli słowa, wypowiedane wyraźnie przez miłą dziewczynkę, a co innego zrozumieć niewyraźne okrzyki gromady dzikich. Stał bezradny.

Po chwili wysunął się do połowy ponury dzikus i zachrypiał przez nos, jak to oni wszyscy robią:

— Depinú kokolé!

To wreszcie zrozumiał Eduardo, ale wcale go to nie ucieszyło, ponieważ znaczyło to: „wróg” i „zabić”.

W odpowiedzi na to, położył broń na ziemię i powtórzył:

— Jestem przyjacielem, bracia! Nie jestem wrogiem.

Ponury goryl zamachnął się na niego maczugą i ryknął:

— Uuuu!

Ale Eduardo nie drgnął i to zrobiło dobre wrażenie. Dziki nie rzucił się i za krzakami nastąpiła cicha wymiana pomruków. Ów pierwszy co chwila odwracał się w stronę Eduarda z wyraźnym zamiarem skończenia z nim, ale inni widać się wahali. Wreszcie ten najsroższy, widocznie wódz oddziału, zwrócił się ponuro do Eduarda:

— Rzuć broń!

Ponieważ dopomógł sobie jeszcze gestami, Eduardo zrozumiał go dobrze.

— Hóa! — Dobrze, tak! — powiedział wesoło i odłożył rewolwer, fakon i pas.

Preié zawahał się, ten awanturник kochał po prostu swój nóż i stary pistolet „picapau”:

— Senhor! — zwrócił się pokornie do Eduarda. — Czy to dobrze, że...

— Rzuć broń! — powtórzył mu spokojnie Eduardo rozkaz Bugrów.

Preié z westchnieniem spełnił to.

— Wszystko! — domagał się wódz.

— Już rzuciłem wszystko — odpowiedział Eduardo.

Wtedy pokazał mu i wytłumaczył dziki, że i ubranie uważają za coś niebezpiecznego. Tego Eduardo nie oczekiwał, ale spełnił i to: został tylko w spodniach.

— Przywiąż zwierzę! — rozkazał wreszcie dziki po namyśle.

Kiedy i to się stało, ze wszystkich stron ukazały się ponure gęby, patrzące z podpełba oczy i na-

gie, krępe postacie. Podchodzili ostrożnie, powoli, ale otaczali ich coraz ciasniejszym kołem. Wreszcie stanęli całkiem blisko. Patrzyli ciekawie, ale wrogo i nie można było przewidzieć, jak postąpią: zależało to wszystko od jakiegoś ruchu, porywu, wrażenia.

Naraz ów wódz, nie zmieniając wyrazu i nie odwodząc oczu, uderzył z całej siły Eduarda w twarz kufakiem tak, że ten się aż zachwiał. I w tej chwili zaczęli go bić wszyscy. Bili spokojnie, pewnie i tak mocno, że po chwili i Eduardo i Preié byli prawie nieprzytomni: leżeli już na ziemi, z rozbitymi zębami, okrwawionymi nosami i szumem w uszach.

Kiedy spełniono to, jakby jaką formalność — dziki kazał swoim wojownikom związać ich obu. Związali ich ljaną tak mocno, że ręce im popuchły prawie natychmiast. Nawet nogi związane im w ten sposób, że mogli robić najwyżej małe, zabawne krocзки. Ubranie, a raczej ta resztką, którą zachowali z niejasnego uczucia wstydu — były w strzępach. Związali też i psa, ale w ten sposób, że wcale nie mógł się ruszyć i musieli go nieść. Pysk mu także związali tak silnie, że ledwie słyhać było jego żałosny pisk.

Oto wspaniały iście początek nowej fantazji Eduarda: pobili go tam, w mieście, jego rodacy na zakończenie znajomości i pobili go tutaj na początek. Może wtedy przyszło mu na myśl, że cały pomysł jego był bez sensu?

Szli szybko, po ledwie widocznej „picadzie” tak, że kiedy doszli do obozowiska — jeńcy mieli i stopy całe w krwi, od cierni i od tarcia więzów. Mimo to Eduardo oglądał uważnie wszystko dookoła.

Niewiele coprawda tego było: parę ognisk, kilka ledwie skleconych dachów, zastępujących szalasy, moc dzieci, trochę psów i — smród.

Kiedy jednak przybyli, wydali parę okrzyków, koło jeńców zgromadził się cały tłum, który się ciągle jeszcze powiększał. Przypomniawszy sobie wówczas Eduardo dzieci bugierskie w osadzie i zdjął go wstyd na samą myśl, że mógłby się okazać mniej dzielny, niż tamte baki. Podniósł więc głowę i próbował się nawet uśmiechnąć przez pokrwawione, rozbite usta.

— Kakeń! — zawołał.

Ale w tej chwili spadła mu znowu na obolałą twarz twarda łapa dzikusa. Wyglądało to już po prostu na specjalną nienawiść. Eduardo odwrócił głowę i przyjrzał się uważnie swemu wrogowi. Mierzyli się przez chwilę wzrokiem.

Tymczasem jego okrzyk wywołał i tu także wielkie wrażenie: gulgotali wszyscy dokoła, śmieli się z uderzenia, które otrzymał, ale być może dlatego, że było tu więcej kobiet i dzieci — nie miało to tak wrogiego charakteru, jak tam w lesie. Jeden dzikus podszedł nawet do niego bliżej i odsuwając nieco owego prześladowcę, zapytał:

— Rozumiesz słowa nasze?

— Tak — odpowiedział Eduardo. — Rozumiem.

— Jesteś „Sugme” (biały, najeźdźca?)

— Nie, jestem przyjaciel.

— Ale nie jesteś Awejtcoma (Botokud?)

— Jestem przyjacielem Awejtkomów.

Czy źle to powiedział, czy też nie wierzono mu, ale po tych słowach zapanowała cisza.

— Tuyoió! — zaśmiał się naraz dzikus — Mocny! Musi być mocny: patrzcie na jego ciało! — i znowu nastąpił śmiech.

W tej chwili Eduardo zauważył ze zdziwieniem, że była to kobieta. Pomyłka była zrozumiała: ciało tej dzikuski miało prawie takie same krępe i niezdarne kształty, jak ciała mężczyzn; piersi miała jeszcze niewielkie, a włosy jej stanowiły taki sam kołtun, jak włosy mężczyzn.

— Odejdź, Ndiri! — powiedział porywczo pierwszy dzikus. — To jest biały pies, najeźdźca! Zastanowimy się, jak go zabić.

Czyżby dlatego tylko go nie zabijano dotąd? — błysnęło w umyśle Eduarda, który w swem chwilowem nieszczęściu tylko tem się pocieszał, że osiągnął pierwszy rezultat, iż go nie zabijają.

— O, to nie ty rozkażesz, jak ma być! — roześmiała się dziewczka.

— Idzie Kurugu! — odezwały się, jakby w odpowiedzi na to głosy. — Idzie kacyk!

Tłum się rozstał pośpiesznie i z uszanowaniem. Eduardo nadstawił uszu i patrzył uważnie. Środkiem utworzonego szpaleru szedł powoli,

oglądając się na strony i nieufnie unikając wzroku, bardzo stary Botokud. Botok jego wysuwał się silnie do przodu, wraz ze szczęką, widocznie pozbawioną zębów, na lewym ramieniu miał jakąś szmatę, zastępującą widać płaszcz królewski, a w ręku trzymał wielką dzidę z żelaznem, szeroki ostrzem.

— Skąd zawędrowało tutaj żelazo? — pomyślał mimowoli Eduardo.

Stary chrząkał długo i pocierał sobie nos. Wreszcie spytał:

— Co to jest, Pataká?

— „Ugm!” — Świnia! — odpowiedział gwałtownie Pataká. — Upolowaliśmy tego bydlaka i trzeba się zastanowić, jak go zabić, żeby było zabawnie.

Kacyk milczał bez wyrazu i oglądał się ukradkiem na boki. Naraz się ożywił:

— Co to? Pies?

— Tak, to był ich pies. Teraz biorę go sobie...

— Pataká jest dzielnym myśliwym — powiedział wreszcie Kurugú. — Myśliwy to dobry, mocny człowiek. Każdy myśliwy znosi do obozu łup, a wszyscy się dzielą. Tak robi każdy myśliwy. Taki jest dawny obyczaj. Czy dobrze mówię?

(Widać, że i wodzowie dzikich muszą się uciekać do demagogii!)

Pataká kręcił się niepewnie, a kiedy chór dzikich chrząkał: „Hóal!” — stropił się całkiem. Próbował się jednak bronić:

— Czyż pies — to zwierzyzna?

Ale Kurugú odparł mu patrząc w bok:

— Czy to zwierzę przyniosłeś z lasu?

Pataká oglądał się niepewnie, a tłum znowu krzyknął:

— Hóal!

Pataká czuł, że coś tu nie w porządku, ale nie umiał znaleźć argumentu: pobiła go sofistyka starego.

— W takim razie zabijemy psa i zjemy! — krzyknął naraz i zrobił krok w stronę psa.

Tłum wydał okrzyk oburzenia, który zdziwił Eduarda: widać psy były bardzo cenione wśród Botokudów. A kacyk ciągnął dalej:

— Taki jest dawny zwyczaj: myśliwi znoszą zwierzynę z lasu do obozu. I wszyscy się dzielą. A podział robi kacyk. Czy tak jest? Więc ja robię podział... Hm, dobrze...

Wszyscy chrząknęli, poruszeni tym momentem.

— Otóż ja dzielę tak: że... ten pies — wolno mówił Kurugu — ten pies będzie należał do... Pataki.

Znowu ruch w tłumie.

— Taki podział zrobiłem ja, Kurugu - Kusogma - Kanjahama - Gaklang Kambeczuie. Pataká dostał ode mnie przy podziale psa — powtórzył z naciskiem stary.

Eduardo, który przecie rozumiał piąte przez dziesiąte, o co chodzi — musiał się zdumieć mądrą taktyką tego króla dzikich. Pataka zaś, buntowniczo nastawiony do walki, jak młody byk —

stał teraz zupełnie rozbrojony i pobity tem rzekomem ustępstwem.

Nie mógł wszakże Eduardo nie pomyśleć, jak dziwnie wygląda to, że przedewszystkiem zastanawiają się nad losem psa, nic nie mówiąc o ludziach. I na to jednak przyszła kolej:

— Cóż zrobimy zatem z tymi „Sugme“? — powiedział jakby w zamyśleniu kacyk. — Oni nie mają włosów na piersiach. Można ich nie zabijać...

— Niech ich sobie weźmie kacyk! — wyrwał się Pataká, chcąc użyć tej samej broni, co stary. Ale ten się odezwał:

— Nie, to byłoby niesprawiedliwe. Ja wezmę tylko tego! — pokazał palcem na Eduarda. — Będzie moim niewolnikiem, albo go zabiję, jeszcze nie wiem. A tego drugiego, który jest Anjitka-ranemá (inni Indjanie, Kannibale) — damy starej Letkomi, której męża zabiły dzikie świnię. Będzie jej służył, bo stara nie może sobie dać rady. Tak będzie sprawiedliwie.

— Hóá! — krzyknął znowu tłum.

Eduardo odetchnął i prawie się uśmiechnął: pierwsza stawka wygrana. Ocknęło go silne uderzenie drzewcem lancy w kark: to stary kacyk zaznaczał swoje do niego prawa. Tłum zaśmiał się przychylnie.

Teraz nastąpiło rozłączenie z Preiém, którego powlekli w inną stronę obozu. Kiedy przechodził przez tłum, Pataká kopnął go ponuro, a kilku innych dało mu szturchańca. Naogół jednak trzy-

mali się już zdala, uważając go za własność kacyka.

Kiedy odchodził już, usłyszał jeszcze głos Ndiri:

— Tuyoió! — i rozległo się jej szerokie rżenie.

Szedł teraz przed swym nowym panem, który kierował nim laną.

Raz, obejrzawszy się gwałtownie, zobaczył na piersi starego znany mu skądinąd znak czy herb. Wiadomość tę jednak schował głęboko w duszy na ostateczną potrzebę.

Eduardo czuł instynktownie, że Kurugú nie był jego wrogiem, ale mylił się — jeśli sądził, że niewola u kacyka będzie lekką i że coś mu przyniesie. Powinien był coprawda dziękować losom już choćby tylko za to, że nie został zabity przez Patakę, ale pierwsze dni okazały się bardzo ciężkie do zniesienia. Przedewszystkiem znowu zebrał się koło niego tłum, przeważnie z kobiet złożony, choć nie brakło w nim i mężczyzn. Wszyscy dotykali jego piersi i coś mówili z uznaniem. Robili to i poprzedniego dnia, ale nie zwracał na to uwagi. Kiedy począł wsłuchiwać się uważnie i wyłapywać znane mu słowa, zdawało mu się, że mówią:

— Nie ma włosów na piersiach — to dobrze!

Słyszał to już z ust kacyka, ale nie rozumiał, coby to miało znaczyć. Dopiero, kiedy przyszła Ndira i głaszcząc go po piersiach, powiedziała:

— Nie masz włosów na piersiach — to dobrze. Gdybyś miał — zabiliby cię już wczoraj. Człowiek, który ma włosy na piersiach — wróg.

Zimno zrobiło się Eduardowi zapewne, gdy dowiedział się od jakiejś błahej rzeczy zależało jego życie. Wielu ludzi i po nim dziwiło się temu zwyczajowi, czy przesądowi, a przemądry Gensch wynajdywał i na to jakieś nadzwyczajne tłumaczenia, których niebardzo kto słuchał.

Już to trzeba przyznać, że kobiety nie krępały się zbyt wobec obcego: oglądały go, jak ciekawe zwierzę.

— Czy on jada? — spytało jakieś brzuchate dziecko.

— Pewnie! — odpowiedziała mu matka.

Eduardo nie jadł nic już drugi dzień, ale nie miał zamiaru upominać się: zbyt dobrze stały mu w pamięci twarzyczki „szczeniąt” bugierskich, które odżywiały przemocą. Coprawda nie było wcale w jego planach umierać tutaj z głodu.

— A co on jada?

— Takie małe dzieci, jak ty! — krzyknęła zniecierpliwiona matka i dzieciak natychmiast zniknął poza nią.

Eduardo gorzko się uśmiechnął. Rozumiał coraz więcej, w miarę, jak się wśluchiwał w ich nosowy, szybki, monotonny głos, kończący się jakby echem metalowem, przypominającym dźwięk gongu. Złudzenie to było tem silniejsze, że w mowie ich dźwięki „ng” lub „ong” powtarzały się bardzo często. Mówili bardzo szybko i niewyraźnie, a na końcu każdego zdania wykrzykiwali głośniej, poczem następowało owo echo, mruczone dość długo. Sam jednak Eduardo nic nie mówił, nie bę-

dać jeszcze pewien swojej wymowy i chcąc wysłuchać ich zdań o sobie i swoim losie.

Wreszcie rozwiązano mu ręce i nogi, ale zato Pataká przyprowadził podobnego do siebie goryla i zapowiedział mu, że ma pilnować jeńca, dopóki kacykowi nie przyjdzie ochota go zabić. Na znak objęcia swych obowiązków, wartownik kopnął leżącego Eduarda w głowę i usiadł w kucki, trzymając między kolanami swoją maczugę. Jeść jeńcowi nie dawano w dalszym ciągu. Wreszcie przyszedł Kurugú i kazał wziąć jeńca na stryczek. Potem poszli, popychając go przed sobą do pobliskiego strumienia i zasiedli w kuckach, oczekując, jak na widowisko, na to, co będzie robił.

Przez chwilę Eduardo nie ruszał się z miejsca, mimo że w gardle miał taką suchość, jakby nigdy w życiu nie pił. Kurugú jednak pokazał mu na wodę i kiwnął głową. Wówczas Eduardo, nie spiesząc się, kucnął nad brzegiem i począł pić, czerpiąc ręką. Potem zaczął się obmywać: zmył ślady krwi i błota, chłodził zimną wodą rozpaloną, obolałą głowę i wreszcie poczuł, że wraca mu cała zimna pewność siebie i wiara w swoją gwiazdę.

Botokudzi patrzyli na niego ze zdumieniem: być może, że nigdy się nie myli, a białość ciała Eduarda, która wystąpiła po umyciu się tem silniej — dziwiła ich i śmieszyła. Wogóle — widowisko było pierwszorzędne.

Na tym samym stryczku poprowadzono go zpowrotem i kazano mu pomagać kobietom w podtrzymywaniu ogniska, co widać uważane było za

największe upokorzenie, gdyż śmieli się z niego wszyscy. Dano mu wreszcie kamienną siekierę i twardy pniak drzewny, każąc mu narąbać dREW. Była to widoczna szykana, bo palono naogół małemi gałęzmi. Drzewo było tak twarde, że i stałowa siekiera mogłaby się na niem złamać, kamienna zaś — odskakiwała od niego, jak piłka. W dodatku opuchnięte ręce nie słuchały i uderzenia szły krzywo, niezdarnie.

Kurugú zaśmiewał się cienkim, starczym chichotem i tak go to zabawiło, że zajęcie to wyznaczył na stałe jeńcowi.

Życie Eduarda składało się teraz z twardo, po zwierzęcemu spanych nocy, kopnięć strażnika (nazywał się Szatong) i bezmyślnego dziobania siekierą pni drzewa. Od czasu do czasu przychodziły baby i dziewczęta, oglądały go i odchodząc mówiły ze śmiechem:

— Idź, zabij małpę!

Nie rozumiał, co to miało znaczyć. Pewnego razu Ndiri powiedziała mu to w obecności, a raczej w bliskości Pataki. Ten krzyknął na nią:

— Ze mną będziesz jeść małpę, głupia dziewczyno! Nie z tym jakimś psem białym.

Bawiło go przedewszystkiem samo brzmienie wyrazu „małpa” po bugiersku: „koniarąba” czy też „koniarąbong”. A jednak zaczęło go to niepokoić, że Pataká od tej pory przychodził co jakiś czas, przyglądał mu się i powtarzał:

— Już ty zakosztujesz małpy! Poczekaj!

Czuł jakieś niebezpieczeństwo, ale nie wiedział dokładnie, o co chodzi, i nie miał się kogo zapytać: Preię był trzymany zdala od niego, a Kurugú nie rozmawiał z nim i, jak zwykle, nie patrzył w oczy.

Tak szedł czas, który nawet trudno mu było policzyć. Co jakiś czas grupka Bugrów wychodziła z obozu na kilka dni i wracała albo z pustemi rękami, albo przynosiła indyka — „Perú”, „pakę” — małego, smacznego gryzonía lub trochę owoców pinjora. Większa zwierzyna prawie się nie zdarzała: być może broń Indjan była za słaba na grubszą zwierzynę, być może zaś, że zwierzyna ta wogóle była rzadka. Pewnego razu jeden z Bugrów przyniósł zabita małpę. Ze śmiechów, które przytem powstały, z żartów i gestów — zrozumiał nareszcie Eduardo, że jedzenie małpy jest w jakiś sposób związane z małżeństwem i — przeraził się nieco. Wynikało z tego, że Ndiri mu się oświadcza, a Pataká jest zazdrosny! — Doprawdy wplątać się w romans w tych warunkach — było i nadto śmieszne i — nieco niebezpieczne...

Należało uniknąć niebezpieczeństwa, no i należało wreszcie coś przedsięwziąć: nie poto wszak przybył tutaj, aby bez końca łupać drzewo, podsycać ogień i pleść z łyka torby i przepaski. Przystano się nim nawet interesować, jako jeńcem-wrogiem, a raczej pogardzano nim, jako niewolnikiem, spełniającym pokornie prace kobiet. Trzeba było działać, trzeba było coś zrobić... Ale co? Tysiące myśli przechodziły przez głowę Eduarda, gdy anatja Szatonga pozwalała mu osłabić tempo jego

bezmysłnej pracy. Kusiły marzenia o jakichś wielkich wynalazkach, dobrodziejstwach, które od razu wyrobiłyby mu odpowiednie stanowisko i szacunek wśród dzikich. Ale w każdym z tych marzeń znajdował się jakiś szkopuł: co może zrobić człowiek kulturalny, nie mając żadnych narzędzi ani materiału? A zresztą — co im jest potrzebne? Co przyjęliby z zadowoleniem? Przecież nie telefon, gramofon, lub kolej żelazną! Co robić, za co się zacząć?

A może raczej jakieś mądre posunięcie „polityczne”, które zapewniłoby mu stanowisko wpływowego? Niestety — dzicy ci żyli tak ustalonem życiem zwierzęcem i prawie roślinnem, że wydawało się niepodobieństwem coś w tem zmienić. Ani im to nie było potrzebne, ani nie wydawało się możliwe.

Apatja tych dzikich, którzy potrafili stać godzinami bez ruchu, wpatrzeni bezmyślnie w jedno miejsce, żując jakiś korzeń, czy żyłę — poprostu przerażała. Przestał być nawet dla nich przedmiotem ciekawości, może miało swój wpływ i to, że opalił się niezmiernie, pokrył warstwą brudu, którego nie pozwalali mu zmyć uczciwie, i upodobnił się do nich nieco w ruchach. Wreszcie przestał być tajemniczy, skoro mógł się z nimi rozmówić: bo gadał już teraz swobodnie, o ile mu na to pozwalali i o ile potrzebowali.

Wiedział o tem, że gdyby był w pełni sił i zdrowia — zdobyłby się na coś na pewno. Ale chorował i słaby był ciągle. Cały ten tryb życia, na-

wet dla niego — zahartowanego zabijaki ze szkoły Fabricia, był morderczy. Spało się tutaj wprost na ziemi, bez ubrania, bez przykrycia, bez posłania lub bodaj czegoś miękkiego pod głową, a wreszcie nawet bez dachu. Było coprawda kilka dachów, ale zarezerwowane były one dla starszych wojowników, kacyka i kobiet z dziećmi. A zresztą, w razie deszczu przeciekały one całkowicie, a chłodu i tak nie powstrzymywały. Eduardo zaziębiał się ustawicznie, kaszlał, w płucach mu coś rzęziło podejrzenie, a w kościach łamało.

Nie dojadł też stale. Suszone w najprymitywniejszy sposób na słońcu mięso — było niemożliwe do przeżucia lub psuło się i cuchnęło, ryby często jadano surowe lub tylko nieco opieczone na ogniu, to samo było ze świeżo ubitą zwierzyną. Pinjongi jadano na surowo, co rujnowało mu zupełnie żołądek. A wreszcie i tych wszystkich potraw nie łatwo było dostać: on wszystko otrzymywał na końcu.

Wreszcie, gdy przyszły deszcze — Eduardo czuł, że niedługo już będzie mógł wytrzymać. Nieśmiało wkradała się do głowy myśl, że trzeba uciec, odpocząć, a nabrawszy sił, a może i nowych zapasów — powrócić. Może przyjmą go przyjaźnie? Ale czy uda się uciec? Czy będzie dość sił? Czy nie złapią? Albo wykorzystać może swój ostatni atut — Coricrę?

Odpadła go ochota i energia do wszystkiego. Przypomniat sobie opowiadane u Foz do Iguassú historie o kilkunastu białych kobietach, które były

pochwycone przez Caing-gansów: walczyły, uciekały, próbowały samobójstwa, aż wreszcie pogodziły się z losem, rodziły ciemne dzieci, gotowały i usługiwały mężom i paplały z innymi kobietami przy rzece. Nawet nie pilnowano go teraz: widocznie obliczono, że nie potrafi daleko uciec. Szatong skulił się gdzieś pod drzewem i spał, a on, Eduardo i na to nawet nie miał energii, aby skryć się gdzieś pod drzewem. Siedział w błocie, na deszczu, strugi chłodnej wody spływały mu po twarzy, przez ciało przebiegały gorące i zimne dreszcze a w oczach majaczyło się coś mętnego. W uszach także szumiało coś nieznośnie: jakby daleki głos ludzki lub bliskie brzęczenie moskitów. Raz nawet wydało mu się, że usłyszał wymówione słowo: „Senhor”. Drgnął i obejrzał się: nie było nikogo. Uśmiechnął się z politowaniem:

— Senhor! — Pan! On — ten najnędzniejszy niewolnik dzikich!

Pomyślał niespokojnie:

— Mam febrę. Możeby się znalazło gdzie chinowe drzewo? Muszą się przecie leczyć i oni, muszą znać jakieś zioła...

Ale ogarnęła go wątpliwość: oni chyba nigdy nie chorują. Nie zdarzył się nawet żaden wypadek ukąszenia przez żmiję, choć chodzą stale boso.

Po chwili znów usłyszał — tym razem wyraźnie — cichy okrzyk:

— Senhor!

Obejrzał się już tylko odruchowo: był pewien, że zaczyna się gorączka. A może przesłyszało mu się to w szumie deszczu?

— Senhor, nie oglądać się. Patrzeć przed siebie. To Preié.

Mimo wszystko, w Eduardzie tkwił „valentao” i dziki pastuch — „gaucho”: ani drgnął nawet, nie zmienił pozycji i tylko cichym ledwie dosłyszalnym szeptem odpowiedział:

— Si.

— Kurugú zakopał nasze rzeczy pod swoim posłaniem — ział cichym szeptem Preié — widziałem go, jak odkopywał i bawił się. Można go zabić i uciekać. Bardzo źle tutaj.

Eduardo skurczył się w sobie i milczał chwilę. Potem powiedział:

— Nie... Nie będziemy uciekać.

— To weźmiemy broń i będziemy walczyć? — głos Preié'ego drżał zadowoleniem.

— Nie...

— Bardzo skrzywdzili Preié'go: wyrwali mu ucho. Muchy siadają i ciągle coś cieknie. Boli.

Jeżeli Preié mówił, odważył się mówić bez wstydu, że go boli, to musiało to być coś strasznego. Eduardo przymknął oczy.

— Nie... — zaszeptał po chwili. — Zostaniemy.

Jak bardzo potrzebny był mu teraz ktoś, komu musiałby dodawać otuchy: czuł, że jego wola tężeje w tym najgorszym upadku, bez żadnego pozorów blasku nadziei.

— Senhor chory? — domyślił się Preié.

— Tak... nie. Nic ważnego.

— Senhor, trzeba pić gorącą wodę. Zgotować w takuarze, jak u Fabricia. I zebrać liści hervy. Pić dużo. I jest taka kora — na dreszcze zimne. Znajdę i położę na kamieniu, koło rzeki.

— Dobrze, Preié...

Głos ucichł. Ledwo, ledwo można było dosłyszeć przez szum deszczu czołganie się człowieka. Szatong obudził się pod pobliskim drzewem i mruknął coś niewyraźnie. Eduardo zamarł w bezruchu: nie, nic... Eduardo zasnął. Na drugi dzień przy małym ognieku wbił w ziemię kolanko trzciny bambusowej — „taquary” i zagotował w niej nieco wody. — Że też mu to dawniej nie przyszło do głowy! Powtórzył to jeszcze i jeszcze. Czuł, jak z każdym łykiem gorącego napoju — rozgrzewa się jego zziębnięte, wygłodniałe wnętrze. Potem ususzył szybko, nad ogniem, nieco liści zerwanych z hervy i utarł w rękach. Doprawdy, taka prosta rzecz! Zrobił się przemysłowcem hervowym: najprzód, jak zwykle „sapekowanie” nad ogniem, potem „mielenie” w rękach i oto ma już zbawczy, rozgrzewający, leczniczy napój — słynną „hervę”. Ta sama taquara służyła mu za „kuję”, w której się zwykle pije ten narodowy napój.

Nie zrozumie cudzoziemiec, co znaczy herva dla Brazylijanina! Ona zastępuje mu jedzenie, odpoczynek, rozrywkę, tytoń... Przy niej najlepiej się rozmyśla, ona podtrzymuje siły, dodaje energii i odświeża mózg. W „interiorze” nie za-

wiera się handlu bez wielu „kujek” zielonej, gorzkiej esencji „hervy” t. z. „szimaronu”. Od niej zaczyna się nawiązanie rozmowy, a nawet przyjaźni, ona pomaga trawić, a gdy niema co trawić — oszukuje zbawczo głód.

Zjadł Eduardo sporo gorzkiej kory, znalezionej na kamieniu, nad rzeczką, potem począł wyszukiwać wszystkiego, co dałoby się zjeść, ucząc się w tem od dzieci bugierskich, które jadły jakieś trawy i zielska. A wreszcie starał się wszelkie resztki tłuszczu, znalezione przy kościach zużytkowywać na wysmarowanie swego ciała, aby deszcz spływał po nim swobodnie.

Kiedy tak przemógł ten najgorszy czas, i zima zelżała: zrobiło się naraz tak ciepło i ładnie, jak to tylko brazylijska zima potrafi. Był lipiec, a zdawało się, że to grudzień lub styczeń — czas najpiękniejszego karnawału w Rio.

Eduardo nabrał znowu siły, czerpanej bez końca gdzieś z najgłębszego tajemnego wnętrza swego. Postanowił nieodwołalnie coś przedsięwziąć. Ręce drgały mu do jakiegoś czynu, a umysł czatował na sposobność. Aby zająć się wreszcie byle czem, poszukał ziemi przypominającej glinę, i ulepił niezdarny garnek. Bugrzy nie znali garncarstwa — może mu to do czegoś posłuży? Zostawiwszy w żarze ogniska na całą noc, pobiegł rano niecierpliwie, ale... poto tylko, żeby zobaczyć popękaną, nieużyteczną banię. Zawział się: zdawało mu się, że od wykonania tego garnka zależy cały jego los. I kto wie? — może się nie mylił...

Kryjąc się z tem, jak ze zbrodnią (czyż nie tak samo musieli postępować wynalazcy w kulturalnej Europie?), wygrzebał dół i zrobiwszy coś nakształt pieca garncarskiego, ponownie próbował. Jeszcze jedno niepowodzenie. I jeszcze jedna próba. Ale kiedy otrzymał pierwszy swój garnek — był on tak wypalony, że wydawał dźwięk prawie metalu. Przyszło mu na myśl, aby w nim spróbować gotować. I naraz... ależ tak! — jest już cały plan!

Kurugú ma słabe zęby, Kurugú kryje się z tem, że nie może szarpać nawpółopieczonego w ogniu, łykowatego i spalonego „peru”. Kurugú boi się, żeby nie pomyślano, że kacyk jest za stary. A starcze ciało potrzebuje dużo dobrej, ciepłej strawy.

Eduardo śmiało podszedł do Kurugú, który z nim nigdy nie rozmawiał.

— Kurugú wziął sobie w podziale niedobrego, twardego ptaka.

Kurugú spojrzał bardzo zdziwiony, potem naraz powiedział żałośnie:

— Bardzo twardy ptak! i spojrzał na duże, czarne upierzone ciało, leżące u jego nóg.

— Ja zrobię dla Kurugú z tego twardego ptaka bardzo miękkiego ptaka.

Kurugú spojrzał nieufnie i zaraz uciekł z oczami. Potem powiedział ze złością:

— Kurugú ma mocne zęby. Mocniejsze, niż biały pies.

— Zrobię ci bardzo miękkiego ptaka! — powtórzył Eduardo i pokazał garnek. — W tej rzeczy.

Kurugú złapał garnek z ciekawością dziecka i usłyszawszy piękny dźwięk, schował garnek za siebie:

— To będzie moje. Skąd to masz? Kto ci to dał?

Wszystko się mogło rozbić o głupią, dziecinną chciwość tego starca.

Trzeba było zaryzykować. Eduardo już wiedział o trójce bogów: Pataemie, Sazaemie i Gryndomie, wiedział też o djable — Bugre, którego imieniem na złość biali nazywają Botokudów. Zawahał się chwilę, komu z tych władców nieznanym krain przypisać swój wynalazek. Naraz zdjęła go jakaś pustota i zarazem nagły pomysł: przykucnął, podskoczył, zrobił straszny grymas i wrzasnął nieswoim głosem:

— Bugre! Eeee!

Kurugú cofnął się nagle, sięgnął po dzidę, potem ją odłożył i wreszcie oddał garnek. Eduardo nie pytając już, wziął indyka i zaczął go w milczeniu oprawiać. Kurugú, ciągle jeszcze nieufny, zaciekawiał się jednak i kucnął obok. Kiedy woda zaczęła bulgotać w garnku, a pokrywa — ze skorpup poprzednich garnków zrobiona zaczęła podskakiwać, odsunął się znowu.

Nie chciał z początku jeść, ale przekonał go zapach. Spytał się jeszcze tylko, dla spokoju sumienia, choć bez wyraźnych podstaw logicznych:

— Ty jesteś Bugre, prawda?

Eduardo nie chciał być pyszałkiem:

— Syn Bugre — powiedział skromnie.

Kurugú westchnął, ale uznał, że to już jest do zniesienia, i zabrał się do rosołu i potrawki. Kiedy podczas tego nadszedł Szatong i pociągnął Eduarda za stryczek, który mu zawsze zwieszał się przy szyi, Kurugú powiedział:

— Nie rusz go.

To był pierwszy triumf Eduarda.

Od tego czasu kuchcik stał się tak potrzebny władcy, że po każdym podziale łupów musiał przygotowywać mu obiad. Tak też było i w dzień wielkiej narady.

Było to już pod wieczór, kiedy zaczęli się schodzić dzicy i milcząc, kucali koło ognia. Nie wyglądało to wcale uroczyście, ani tak pięknie, jak to o tem czyta się w dzieciństwie. Poprostu złązili się dorośli Indianie, tacy sami brudni i bezmyślni, jak zawsze. Pomrukiwali coś i drapali się, jak małpy.

Eduardo siedział w kukki ztyłu, za Kurugú, który jadł przyrządzoną przez Eduarda kolację. Ostatni przyszedł Pataká, jakby był wodzem, na którego czekano. Zrobił się mały ruch, ale po chwili znowu wszyscy popadli w swoją nieruchomość. Kurugú jadł chciwie, po starczemu i patrzył swoim zwyczajem zukosa. Zamyślił się Eduardo: czy miało sens wiązanie się z tym starym, niedołężnym starcem? Prawda, że przy nim jest władza, ale...

— Mało jedzenia teraz — przemówił nagle Pataká — och, mało!

— Ho! — mruknęli z przekonaniem inni.

— Niema teraz Krinyújimy (kapiwara), Ugmu (dzika), Chéma (aguti), ani Oyoleklame. Niema co jeść.

— Ndéya! — Nie, niema — odpowiedzieli chórem.

Kurugu zjadł już i oblizywał palce. Nie mówił nic.

— Białe psy straszą zwierzynę! — ciągnął dalej Pataká.

— O, tak. Oni to robią! — odpowiedział chór.

— Cemu więc nie idziemy na nich? Cemu już tak dawno nie napadaliśmy na białych psów? — zapalał się Pataká.

Stawało się coraz jaśniejszem, że był to atak na Kurugú, który nie prowadził sam napadów, będąc za starym, a nie wysyłał innych, bojąc się o utratę władzy, która wszak na wojnie się rodzi.

I znowu zamyślił się Eduardo: lepiej byłoby dla niego, gdyby mógł sprzymierzyć się z młodymi przeciwko starym, wtedy nastąpiłby być może pewien przewrót, któryby pozwolił mu dostać się samemu do władzy. Cóż zyskuje zaś, łącząc się ze starym? Zatrzymanie tego, co jest, wraz z niewolą swoją?

Kurugú chrząknął i przemówił:

— Białe psy są synami djabła. Wielu dzielnych mężczyzn zginąć może. Ten, tutaj, też jest

synem diabła: sam się przyznał. To czarownik. Może jego chcecie zabić?

Oto sprzymierzeniec godny! Nietylko, że boi się o swoją władzę, ale ze strachu i dla uratowania swego życia sam podsuwa wrogom jego, Eduarda, na ofiarę! Ale wyboru niema: Pataká tem bardziej go zabije, a Kurugú, kiedy zrozumie, że od Eduarda tylko może przyjść pomoc...

— On jest synem psa, a nie diabła! — mruknął pogardliwie Pataká.

Kurugú wszystko ryzykował:

— Nie, on jest synem diabła. Patrzcie, jaką rzecz dziwną dostał od swego ojca, Bugre.

Pokazał swój ukochany garnek.

Wszyscy zapomnieli odrazu, o czem była mowa, i oglądali garnek. Stukali w niego i śmieli się. Dowiedzieli się, że w nim robi się dobre jedzenie. A wyraz „jeść” — „jauma” był ciągle na ich ustach. To była najważniejsza rzecz. To była rzecz, dla której żyli.

Jeden tylko Pataká nie tracił z oczu swego celu. On jeden i Kurugú.

— Dobrze — powiedział — ale tem nie można zabić człowieka. Mogą białe psy mieć dużo takich muszli.

I roześmiał się sztucznie, szeroko. I inni też roześmiali się na ten niewybredny argument.

Kurugú powiedział:

— Białe psy mają inne rzeczy: pioruny w kiju. Nie trzeba ich ruszać, dopóki nie podchodzą blisko do naszych obozów.

— Hoá! — zgodził się zmienny chór.

— A jednak zabijaliśmy ich! — pospieszył z odparowaniem ciosu Pataká.

— Trzeba zrobić wielkie polowanie, z naganką! — kuł żelazo Kurugú.

— Nie, trzeba zrobić wielki napad. Białe psy mają też zwierzynę, koło domu. Zwierzynę tłustą, leniwą.

— Hoá! — Tak jest! — zawołał chór. — Trzeba to zrobić!

Kurugú wyczuł, że jest pobity, i skapitulował dyplomatycznie.

— Tak, zrobimy taki napad! — powiedział nagle wstając. — Ja tak postanowiłem i ja sam was poprowadzę.

Pataká poruszył się gwałtownie, ale nic nie odpowiedział, i po chwili dzicy zaczęli się rozchodzić tak samo leniwie, jak się zeszli.

Teraz Eduardo już nie miał wątpliwości: walka o władzę rozwijała się w całej pełni w plemieniu. Pataká sprzymierzeńca nie potrzebował i nie chciał, natomiast Kurugú... Tak, nie było wyboru!

Na drugi dzień obóz był prawie pusty: wszyscy mężczyźni wyszli, a pilnowanie jeńców powierzono kobietom. Zeszły się one całą gromadą, trzymając w rękach maczugi. Eduardo zobaczył Ndiri tylko zdaleka: była — zdaje się — obrażona. Lepsze jednak było to, niż umizgi.

Kobiety gulgotały zawzięcie przez nos, jak indyki i nie miały czasu zajmować się Eduardem. Dzięki temu miał czas zastanowić się nad sytu-

acją. Wszystko to trwało już za długo: zaczynał niecierpliwić się. Zwłaszcza, że nie tylko powróciło mu już zdrowie, ale to życie na łonie natury dało mu niesłychaną moc i odporność, którą prawie czuł, wzrastając w mięśniach. Gdybyż wiedzieli dzicy, że owo pozornie bezsensowne rąbanie pniaków krzemienną siekierą było jego błogosławieństwem! Co za trening dla mięśni!

A w parze z tem ustalała się coraz większa sprawność umysłu i jakaś pierwotna chytrność: był pewny sprawności wszystkich swych władz. Tem bardziej bolała go ta przymusowa bezczynność.

— Po tylu tygodniach i miesiącach męki — jako triumf — garnek! Jedyne wynalezienie, przyjęte zresztą bez tak znów nadzwyczajnego efektu... — uśmiechnął się gorzko.

Nie było jednak wprost o co zaczepić rąk. Musiał czekać, aż bieg wypadków, aż owa bogini Okazja poda mu rękę. Ach, ta kapryśna bogini! Kto z mężczyzn, z prawdziwych mężczyzn nie zastanawiał się, jak z nią postępować, aby ją uwieść i zdobyć nad nią władzę? Złośliwi opowiadają, że jest „łysa z tyłu“, że jeśli jej nie schwyta się z przodu, kiedy się zbliża dopiero, niema co marzyć o chwytaniu jej za włosy, gdy mija nas i odchodzi. Ale czy zawsze słyszy się jej lekki krok? I czy nie ma ona zwyczaju podchodzić ukradkiem, na palcach, a potem przeskakiwać szybko koło nas (jak dziewczyna, która boi się, że jej skradną całusa) i uciekać, głośno się śmie-

jąc? Tak, tak, przekorna jest, zdradliwa, niewierna i nieuchwytna, a jednak... Jednak bez niej nie powstają ani wielkie majątki, ani sławne zwycięstwa. Trzeba umieć na nią cierpliwie czekać, aby potem śpieszyć się. Bardziej niecierpliwi jej kochankowie starają się przywoływać ją i zmuszać do zjawienia się, ale nie może to się stać bez jednego bodaj malutkiego uśmiechu z jej strony, bez podania jednego paluszka niecierpliwemu.

Eduardowi zdawało się naprzód, że z wyjściem mężczyzn może coś się odmienić i zdarzyć. Teraz jednak myślał wprost przeciwnie. Obóz wymarł i nic nie miało znaczenia z rzeczy, które się teraz działy. Ostatecznie plany jego mogły być oparte tylko na zdobyciu i pozyskaniu wpływu na mężczyzn: oni jedynie mogli być brani w rachubę.

Czekał teraz na nich niecierpliwie, licząc dni i zgadując, z czem powrócą. Obawiał się nieco rozdrażnienia, które mógł w nich wywołać zapach świeżej krwi i ewentualne straty. Z drugiej jednak strony, pragnął tych strat: odgrywały one pewną rolę w jego rachunku.

Wreszcie pewnego dnia obóz zaroił się niezwyczajnym ruchem: wszystkie kobiety i dzieci zerwały się prawie jednocześnie i pobiegły w stronę ścieżki, którą przed wieloma dniami mężczyźni wyszli w stronę „białych psów“.

Wracali mężczyźni.

Szli szybkim krokiem w stronę chaty kacyka i zasiedli przy dużym ognisku. Kurugu chwiał

się na nogach i był tak widocznie zmęczony, że nie można było wątpić o końcu jego kariery. Sapał ciężko i milczał, inni mężczyźni także milczeli i było w tem coś złowróżbnego. Kobiety nie śmiały podchodzić.

Po długiej chwili, kiedy już wszyscy usiedli, Pataká zaczął:

— Dużo wojowników zginęło — pokazywał na palcach i liczył — Inglé, piré, umarikélo... „Kambogmá” — więcej! — zakończył wreszcie.

— Tak, to jest prawda! — mruknęto w chórze. — Zginęło ich więcej.

W tłumie kobiet rozległy się ciche wycia.

— A czemu zginęli? Ponieważ kacyk jest stary, ponieważ opóźniał cały pochód, po napadzie.

Chór milczał. Wahano się jeszcze, wobec tego wyraźnego buntu.

— Czy nie szedłem ostatni, jak to zwyczaj wymaga? — zapytał Kurugú.

— Tak, ale wojownicy nie chcieli zostawić kacyka i szli wolno, bo on szedł wolno! — mówił dalej nieubłagany Pataká.

— Trzeba było mnie zostawić! — powiedział cicho Kurugú. — I w głosie jego po raz pierwszy drgnęła jakaś inna nuta.

Ale Pataká nie słuchał:

— Kurugú umie jeść tylko miękkie mięso, w wodzie przygotowane przez białego psa, który go zaczarował. Trzeba zabić białego psa tak, jak zabiliśmy tyłu innych.

— O, tak! Trzeba to zrobić! — powiedział chór z uznaniem.

— Masz, powąchaj! — warknął Pataká, podsuwając Eduardowi pod nos okrwawioną maczugę. Na kantach maczugi widać było jeszcze jakieś zlepy krwi i włosów.

W tej chwili zerwał się Szatong:

— Niech Pataká nas prowadzi na wyprawę. Tak, niech on to robi. A biały pies będzie chodził z nami — na stryczku i będzie patrzył, jak będziemy zabijać inne białe psy.

— Hó! — z zadowoleniem potwierdził chór.

— Niech patrzy.

Nie wiedział Eduardo, czy ma się tem martwić, czy też ta zmiana może mu przynieść coś dobrego. Sytuacja jego, niewolnika, który miałby patrzeć na mordowanie swoich bliźnich — nie była godna pozazdroszczenia, ale udział w wyprawach mógł mu przynieść ową upragnioną Okazję.

Tylko ta rozpaczliwa bezbronność i ręce związane!

Przez kilka dni „toldo” w milczeniu trawiło, odsypiało trudy wyprawy, dawało odpoczynek mięśniom i czekało. Eduardo drżał gorączką działania, choć nie wiedział, co mógłby zrobić. Ale zawzięte, wściekłe pragnienie przyciąga podobno jego królewską mość — Los...

Było to jeszcze dobrze przed świtem, kiedy Szatong szarpnął stryczek, na którym był uwiązany Eduardo. Ocknął się i oprzytomniał odrazu:

gdzieś na dnie jego duszy trwało wieczne pogotowie, czekające chwili.

W mokrej i zimnej mgłę ranka, w milczącym pośpiechu zbierali się dzicy i bez hałasu ruszyli „gęsiego” na ledwie widoczną pikadę. Eduardo szedł prawie na końcu, trzymany przez Szatonga za koniec arkanu. Szli szybko i bez odpoczynku. Eduardo, pędzący dotychczas tryb życia obozowy, zaczął się męczyć coraz bardziej, ale zacisnąwszy zęby — szedł nie zwalniając kroku ani na moment: za dużo satysfakcji miałby Szatong...

Eduardo czekał, kiedy wyjdą na szerszą przestrzeń, znamionującą bliskość kolonji, ale szli ciągle lasami, orjentując się w jakiś tajemniczy sposób. Szli cały dzień, a wieczorem położyli się pokotem na miejscu, gdzie ich mrok zastał, nic nie jedząc. Eduardo zresztą był tak zmęczony, że nawet nie pomyślał o jedzeniu.

I znowu przed świtem ruszyli bez słowa w pochód. Ciemne ciała tej milczącej czeredy przesuwwały się szybko w gęstwinie, jak oddziały diabłów, idący na spełnienie jakiegoś piekielnego rozkazu. Od czasu do czasu Eduardo wstrząsał się na myśl okrucieństw, których mógł być świadkiem, ale szybki rytm marszu wypędzał mu z głowy wszystkie myśli, prócz tych, że chciałby odpocząć i napić się wody.

W południe trzeciego dnia zatrzymali się nagle i przykucnęli. Odpoczywali tak dobrą godzinę, potem każdy wyjął skądś z fałdów przepaski kawałek obrzydliwego jada. Były to ja-

kies nawpół zgniłe żyły, jakieś kości i korzenie dzikich roślin bulwiastych. Eduardo nie dostał nic, ale też nie zjadłby tego, co oni zajadali, nawet, gdyby mu ofiarowano. A przecież nie jadł już trzy dni.

Po dobrej chwili Pataká spojrział na słońce. Stało ono w samym zenicie i martwa spiekota panowała nawet tu, w głębi lasu. Była to pora sjesty, kiedy panuje cisza i senność zarówno w lesie, jak na kolonji i w mieście. Pataká spojrział na gromadę i powiedział tajemniczo:

— To jest dobra pora.

— O, tak. Pora jest dobra — mruknął przez nos chór.

I wtedy w kilku krokach cała czereda nagle znalazła się na polu. Eduardo zdumiał się: o strzał z łuku od nich widać było zabudowania kolonisty. Więc tak blisko potrafili dojść do osiedli, idąc ciągle lasami? Eduardo starał się zdać sobie sprawę, gdzie się znajdują i co to za zagrożda stoi przed nimi, ale do niczego nie doszedł.

Botokudzi w milczeniu pobiegli do zagrody i prawie jednocześnie wszyscy przesadzili niski płot, trzymając pałki na pogotowiu. Dziwna cisza panowała wszędzie: Oczywiście ludzie spali i, zanim zdołają schwycić za Shmidta — będą mieli połamane ręce i nogi straszliwymi maczugami. Eduardo marzył na samą myśl o widokach, które będzie musiał oglądać.

Naraz ku bandzie rzuciły się trzy psy, które spały w cieniu, z drugiej strony domu i teraz do-

piero poczuły nieprzyjaciela, który przyszedł pod wiatr, a zachowywał się tak cicho. Szczeknęły jednak raz tylko: krótkie złodziejskie uderzenia maczug i wszystkie zwały się prawie bez drgawek.

Do pioruna! — teraz powinien przecież ktoś w domu się zbudzić!... A jednak cisza. Dzicy zawahali się chwilę, potem podbiegli do drzwi i wywalili je gwałtownie. Eduardo drżał cały i burzył się, ale nic nie mógł widzieć za plecami Indjan.

— Niema nikogo! — powiedział Pataká i patrzył zdziwiony.

Trudno powiedzieć, czy Pataká byłby dobrym kacykiem. Być może, że mógłby lepiej kierować plemieniem, niż zniedołężniały Kambeczuje, ale nie miał szczęśliwej ręki. Pierwsza jego samodzielna wyprawa nie zapowiadała się dobrze: najbliższa chata znajdowała się o dobrych kilkanaście „leguas” i, zanim dobraliby się do niej — byłaby już noc. Jakiś strategik powiedziałby może, że w taktyce Patakí szwankował wywiad. Istotnie szwankował on mocno:

Gdyby Pataká był lepiej poinformowany, wiedziałby, że Andersowie pojechali chrzczyć dziecko, aż do Luceny; że nie wrócą, aż wieczorem i że wrócą w licznej gromadzie gości, zaproszonych na chrzciny. Wiedziałby też, że od ostatniego napadu we wszystkich kolonjach od Luceny aż po Hammonję wre, jak w ulu. Że oddziały młodych chłopaków jeżdżą od kolonji do kolonji i werbują ludzi do samoobrony. Że postanowiono na pierw-

szą wieść o napadzie dawać sobie sygnały „fogatami” od kolonji do kolonji i że obręcz „białych psów” zaciska się coraz bardziej dokoła lasów otaczających świętą górę Itayo.

Gdyby to wiedział, nie wydałby rozkazu:

— Zabić wszystko, co żyje. Będziemy jeść w lesie, żeby nabrać sił. Będziemy czekać, aż białe psy przyjadą.

Niewielki był coprawda plon dzikich. Świnie w Brazylii nie siedzą w chlewie, lecz przemykają się zaroślami wpobliżu osiedla, jak ich bracia leśni. Konie i krowy, chociaż znajdują się w zagrodzeniu, ale zagrodzenie to jest tak wielkie, że dziczeją tam i nie łatwo dadzą się podejść. Za ledwie nieco kur znaleziono w obejściu, oraz parę „pat”, z czerwonymi koralami koło oczu, jak owoce carvonji (zwane także „olho da pata”). Zaskrzeczały paty i kury w rękach Indjan i nastąpił odwrót.

W lesie zaczęli dzicy pożerać na surowo ciepłe jeszcze ptaki. I znowu Eduardo nie mógł się zdobyć na to, żeby zjeść pół kury, rzuconej mu pogardliwie przez Szatonga. Siedział i dawał wypoczynek nogom. W głowie mu nieco szumiało i kręciło się, ale nie czuł już głodu, ani nie miał apetytu. Przeciwnie: miał wstręt do jedzenia.

Zbliżał się już wieczór, kiedy usłyszano z oddali turkot wózków i tupot koni. I tu stało się to, co potem przytaczano w toldzie, jako główne przestępstwo Patakí: zbyt był niecierpliwy i żądny sławy. Po raz pierwszy w historii plemienia,

wydał rozkaz napadu, skoro tylko biali znajdą się w zagrodzie, mimo że zmierzchało się. Pataká nie tylko przekroczył zwyczaj plemienia, zrobił jeszcze inny błąd: przedewszystkiem nie obliczył przeciwników, a następnie... nie poczekał, aż się upiją do nieprzytomności, na co wystarczyłoby poczekać parę godzin.

Ściemniało się już dobrze, gdy koloniści zajęli się śpiewami i krzykami do zagrody. Szarżało i nie można było dobrze zobaczyć, ilu ich jest. Pataká jednak dał znak. Zanim jeszcze zsiadli z koni, usłyszeli koloniści wycia i zobaczyli ciemne postacie, przeskakujące płot ze wszystkich stron i cisnące się przez bramę.

W pierwszej chwili nastąpiło oczywiście oszłomienie, potem popłoch, z którego skorzystali Indianie i rozdali parę potężnych ciosów maczugami. Ale za wiele w ostatnich czasach mówiło się po kolonjach o Bugrach, żeby ten napad był zupełną niespodzianką: przeciwnie koloniści widzieli nieraz i słyszeli Bugrów nawet tam, gdzie ich nie było. Opamiętali się więc szybko i zaczęli się bronić. Mieli zaś jeszcze i tę przewagę, że siedzieli na koniach i ciosy nawet ich krótkich „fakonów“ (kto nie zdążył wydobyć rewolweru) — były groźne, gdy szły z góry wprost na głowy pieszych. Trzeba też pamiętać, że wszyscy mieli nieco w czubie: akurat tyle, aby to nie odebrało im możliwości ruchów, a zasłoniło możliwe niebezpieczeństwa i znieczuliło na drobniejsze rany.

Ktoś krzyknął:

— Bić Bugrów! Bić dzikie małpy! — Był to szczęśliwy ojciec, młody Anders.

— Bić! — zaryczeli nieludzko koloniści.

Rozległy się po tych okrzykach ciosy i salwy, jak deszcz po pierwszym piorunie. Tak otwartego spotkania twarzą w twarz nie było jeszcze w historii walk kolonistów z Bugrami. Dotychczas sprzymierzeńcami Bugrów były: niespodzianność napadu, przewaga liczebna, strach kobiet i dzieci w napadniętym domu, wreszcie możliwość szybkiego zniknięcia.

W walce otwartej z rozhulanymi parobczakami nie mogli dotrzymać placu. Nie ustępowali, bo nie ustępował Pataká, ale walka przybierała coraz gorszy dla nich obrót. Ktoś rozniecił ogień w chacie i wyniósł płonącą gałąź. Koloniści wyszukiwali teraz swych wrogów i wskazywali sobie wzajemnie:

— Antonio, tam za wozem...

I trach — tratach! — grzmiała salwa. Po rannych i przewróconych deptały oszalałe ze strachu konie, wierzgające z kwikiem i chwytające zębami każdego, kto im się nawinał.

Na trzydziestu paru Bugrów, którzy wyruszyli z tolda, widać było walczących zaledwie kilkunastu. Zaczynały grzmieć już i Winchesterki, których w pierwszym starciu nikt nie mógł użyć.

— Do lasu! — wrzasnął wreszcie Pataká jakimś zwierzęcym głosem, gdy przekonał się, że jego plany są rozbite ostatecznie.

— Ue-ue ong-ong! — przedrzeźniali go koloniści zupełnie już pewni siebie. Bugrzy wyrwali się z zamętu jeden po drugim i znikali w ciemności. W pewnej chwili Eduardo poczuł, że stryczek, który go szarpał na wszystkie strony, obwił nagle: to Szatong wmieszał się w wir walki i w tej chwili szarpał się z jakimś konnym, chcąc mu wyrwać rewolwer z ręki. W następnym momencie podskoczył do walczących drugi konny i ciął straszliwie szerokim fakonem przez łeb Bugra. Szatong wrzasnął i odskoczył, a zaraz potem rozległ się rozkaz Patakí. Szatong cofnął się w ciemność i znikł. Eduardo został bez stróża, wolny, stojący nieco zdala, jako niemy aktor tej krwawej nocnej sceny. Ręce tylko miał jeszcze związane z tyłu.

Ile i jakich myśli przebiegło w tej chwili przez głowę Eduarda — ktoby mógł to opowiedzieć? Tu dalsza niewola, a może nawet i śmierć z ręki ściągających kolonistów — a tu swoi, biali ludzie, wygody, kultura, powrót do życia. Faktem jest jednak, że Eduardo rzucił się do ucieczki razem z Bugrami. Biegli w gromadzie do lasu, kiedy Eduardo usłyszał za sobą głosy kolonistów:

— Już ich nie widać, ale uciekali w stronę lasu — dajmy salwę ze wszystkich pukadeł.

— Pataká! — wycharczał zziąjany Eduardo. — Zaraz będą strzelać: wyrzucać ogień ze swoich kijów. Trzeba upaść na ziemię!

— Milcz, tchórze i zdrajco! Jesteś w zмовie z nimi! — zaryczał nieprzytomnie Pataká.

Salwa! Eduardo zaledwie zdążył się rzucić na bok, nie mogąc ze swymi związanymi rękami paść naprzód. Rozległy się jęki, a po chwili piekielne wycie jednego z Bugrów, któremu kula oderwała całą dolną szczękę. To wycie rzuciło popłoch na Bugrów, a dodało ducha kolonistom.

— Uwaga, jeszcze raz! — krzyknął ktoś od strony zagrody.

— Na ziemię! — krzyknął zrozpaczony Eduardo.

Był to prawdziwy mężczyzna, a prawdziwy mężczyzna jest zawsze dobrym towarzyszem broni, choćby znalazł się w oddziale szatanów, walczących z Serafinami.

Bugrzy padli odruchowo na ziemię, tylko Pataká i Szatong zostali na nogach. Oczywiście szanse trafienia już teraz nie były duże, mimo to dało się słyszeć miękkie i jakby mokre uderzenie ołowiu w ludzkie ciało i Szatong cichutko zawył: dostał postrzał tuż nad biodrem, w pobliżu kręgosłupa. Dwóch innych schwyciło go pod ręce i biegli dalej.

Dopadli lasu. Zatrzymali się. Policzyli się oczami. Było ich ośmiu, dokładnie ośmiu. Czy zostali jacy ranni — nie wiedzieli, mimo że zawsze zabierali swych rannych, a nawet trupy, po walce. Usiedli ciężko dysząc, nie mówili nic. Po chwili dopiero Pataká spojrzał przytomniej i jakby ze zdziwieniem na Eduarda:

— Czemu nie zostałeś ze swoimi braćmi, białemi psami?

Eduardo spoznał powoli po twarzach Bugrów: wszyscy patrzyli na niego.

— Przyszedłem do was sam, nikt mnie nie wziął w niewolę. I zostanę też, dokąd będę chciał.

Zamruczeli coś niewyraźnie i Eduardo czuł, że tym krokiem zyskał ich sobie bardzo.

Odpocząwszy, ruszyli, już nie spiesząc się po tej samej pikadzie, którą przyszli. Szli do czasu, póki nie wstał księżyc, a potem położyli się na odpoczynek. Szatonga nikt nie opatrywał: jęczał teraz cicho i macał swoją ranę, z której ciągle ciekła gęsta, ciemna krew.

Spali długo i już switało na dobre, kiedy obudzili się. Wstawali w milczeniu i oglądali się z podwórka dokoła, niecałkiem jeszcze wytrzeźwieni. Naraz Pataká zerwał się, jak oparzony i nadstawił uszu. Inni zastygli podobnie. I naraz, bez słowa objaśnienia, rzucili się wszyscy biegiem. Na końcu biegło dwóch młodszych, ciągnąc prawie za sobą Szatonga. Eduarda nikt nie pilnował już i biegł sobie, jak chciał. Biegł, choć nie rozumiał co się stało. Domyślał się tylko, że są ścigani. Dopiero po dobrej godzinie usłyszał szczekanie psów i zrozumiał: polowanie na nich.

Szczęściem ich było, że koloniści nie mogli nadążyć za psami, które wpadły na trop Bugrów. Dwa pierwsze psy zostały przeszyte strzałami, ku wielkiemu przerażeniu pozostałych i zatrzymały się: obwąchiwały swoich towarzyszy, którzy zginęli taką cichą a nagłą śmiercią. Bugrzy pobiegli znowu i odbili się nieco od psów.

Pod koniec drugiego dnia jednakże usłyszeli znowu szczekania i krzyki ludzkie. Było to już blisko tolda.

— Prędeż, prędeż, do toldo! — wołali młodzi, którzy ciągnęli Szatonga.

— Czego chcecie? — krzyknął naraz Eduardo. — Chcecie naprowadzić ich na wasze żony i matki? A czy wiecie, ilu jest teraz mężczyzn w toldo? A jeśli rozeszli się na polowanie, jak to zwykle bywa?

Zatrzymali się: biały brał nad nimi górę swoją zdolnością do strategii.

— A czegoż ty chcesz? — ponuro krzyknął Pataká.

— Czego ja chcę? Chcę, żebyśmy tu zostali i bronili się, dopóki się da. Jeśli mężczyźni są w toldo — usłyszą strzały i przyjdą nam na pomoc, a jeśli są tylko kobiety i dzieci — będą miały czas ukryć się.

— Mówisz tak, bo chcesz przejść do nich! — wrzasnął znowu Pataká, który od napadu był stale rozdrażniony, jak raniony jaguar.

Eduardo poczuł jednak, że zwycięża.

— Głupi jesteś, Pataká! — zaryzykował. — Mogłem zostać już tam, a przyszedłem z wami, choć was ścigają. A ty boisz się chyba nowej walki z białymi?

Pataká szarpnął się ku niemu, ale widać wy-czuł w chłodzie pozostałych jakiś wyrzut, bo mruknął tylko:

— Wybiją mi wojowników, jak wyjców podczas śpiewu.

— Może nie, jeśli...

— Co?

— Mam radę.

— Mów!

— Niech jeden pobiegnie do tolda i przyniesie mi od Kurugú mój ognisty kij...

— I będziesz tamtych zabijał? — niedowierzają Pataká.

— Zobaczysz, jak przyjdzie czas.

Pataká myślał. Tymczasem psy ujadają coraz bliżej i głosy ludzkie odzywały się ze wszystkich stron.

— Niedługo będzie za późno... — powiedział, jakby do siebie, Eduardo.

— Dobrze, niech Pôpô biegnie! — mruknął wreszcie Pataká. — Ale, gdybyś chciał...

Nie wiedział, jak skończyć groźbę. Eduardo wzruszył ramionami:

— Rozwiąż mi ręce, bo bolą mnie i nie będę mógł kierować kijem.

Pataká nic na to nie odpowiedział, ale kiedy Eduardo odwrócił się do jednego z młodych, nie protestował przeciwko temu.

Eduardo zatarł zmartwiałe nieco ręce i prawie uśmiechnął się: oto po raz pierwszy nie czuł się niewolnikiem.

— Stój, Pôpô! — zawołał naraz Pataká.

Eduardo podniósł głowę:

— Co takiego? — zapytał i wydało mu się, że znowu stoi przed jakąś zamkniętą bramą.

Pataká, nie odpowiadając mu, zwrócił się do chłopca:

— Jeżeli są wojownicy w toldzie, to nie prosz Kurugú o kij ognisty.

— Tak zrobię.

— Leć... albo nie: stój! Jeśli Kurugú będzie się śmiał, albo nie będzie chciał dać kija — to... nie bierz.

— Tak.

— Biegnij!

Kiedy chłopiec znikł w gąszczu, zapanowała cisza. Psy ujadają coraz bliżej i rozległo się kilka strzałów, oddanych dla otuchy lub przez pomyłkę. Pataká znowu zwrócił się do Eduarda:

— Czy ty umiesz tak dobrze kierować kijem, jak oni?

— Tak! — powiedział krótko Eduardo. — Lepiej od nich.

I naraz przyszła mu myśl straszna: a jeśli Winchester zardzewiał? Przełykając z trudem ślinę, dodał:

— Jeżeli tylko kij nie zachorował, albo nie umarł w ziemi...

— Aaa? — już kręcisz!... — zasyczał Pataká.

Nie było jednak czasu mówić dalej: niebezpieczeństwo się zbliżało. Pierwsze ukazały się zziębnięte psy i zaraz rozległy się ciche świsty cięciw i skowyty śmiertelnie rannych zwierząt. Usłyszano widać te skowyty, bo rozległy się krzyki:

— Są mały! Otaczać!...

Miedzy drzewami zaczęły przemykać sylwetki ludzkie. Pierwszy to bodaj raz zapędzili się biali tak daleko od swych okolic i pierwszy raz udało się im tak daleko tropić tę nieuchwytną zwierzy-
nę ludzką.

— O, tam, tam! — ktoś krzyknął z krzaków i zaraz potem posypały się strzały na kryjówkę Bugrów i Eduarda.

Dzicy milczeli i tylko uważnie i oszczędnie nakładali strzały na roślinne cięciwy. Potem powoli, bez drżenia rąk odciągali je aż do ramienia tej ręki, w której trzymali cięciwę, i pochyliwszy głowę, wybierali wśród zarośli drogę dla pierzastego gońca. Potem następował cichy jęk łuku i syk strzały, a w chwilę potem przekleństwo po tamtej stronie. Mimo wszystko, musiał Eduardo patrzeć na nich z uznaniem: urodzeni wojownicy! Ich decyzja pozostania tu, na straconej placówce, ich spokój i oszczędność „amunicji” — wszystko to do-
brze o nich świadczyło.

Ale i tamci wpenetrowali miejsce, skąd leciały strzały: kule tępo waliły w najbliższe pnie lub jęczały żałośnie tuż koło uszu. Biali posuwali się ostrożnie tyraljerką i mimowoli musiał pomyśleć Eduardo, że muszą tam być doświad-
czeni „bugreiros”. Koniec walki łatwy był do przewidzenia.

Jeden z Bugrów, który zanadto wychylił głowę, usiadł nagle, a potem powoli ułożył się na bok: nie żył. Teraz kule zaczęły sypać się coraz bliżej

i obficie. Strzały się kończyły. Znowu jeden z wojowników ubył. Bugrzy odkładali ostrożnie ruchami łuki i sięgali po dzidy. Zdumiał się Eduardo: więc chcieli atakować wręcz? Oglądał się niespokojnie w stronę tolda, ale nikt stamtąd nie przybywał. Pataká nawet nie patrzył w tamtą stronę: ponury jak noc ścisnął maczugę i gotował się do skoku. Już był gotów... Gdy nagle Eduardo poczuł, że ktoś mu wciska w rękę jakiś zimny przedmiot: czyżby mu dawali maczugę, aby razem z nimi uderzył na białych? Czyżby taki miał być koniec: niewolnik dzikich miał zginąć w walce ze swymi braćmi?

Nie! — o, szczęście, to był Winchester! Owinięty w tłustą, nawpół zgniłą szmatę, mokry i zawalany ziemią, ale karabin. Ten sam karabin, który dostał od ojca. Zatrzymał ręką Patakę szykującego się już do skoku i powoli, z wielką trwogą odwijał broń ze szmaty. Zardzewiały był co się zowie. Inna broń w tych warunkach na pewno nie byłaby zdatna do użytku, ale długie doświadczenie nauczyło ludzi z Brazylii, jakiej broni można w tutejszym klimacie używać. W interiorze nie zobaczycie innego rewolweru, jak Schmidt lub Colt. Nikt tam nie weźmie do ręki najpiękniej wykonanego Browninga lub Mausera. Któżby się tam z nimi ceckał, przecierał, oliwił, uważał, aby się nie zamoczyły? A w dodatku nie był nigdy pewien, czy w momencie, kiedy wyprzedzenie w strzale interlokutora kosztuje życie, nie zawiedzie magazyn. Rewolwer bębenkowy

jest, jak brazylijski muł: wytrzymały na chłody, deszcze i upały, byle czem się zadowolni, nie wymaga opieki, a zawsze gotów jest do użytku. A z broni długiej, kto widział pocziwsze bydlę od Winchestera? Możliwy chyba sypać do niego piasek i tłuc nim orzechy na kamieniu, bez szkody dla jego działania. Mechanizm jest tam skombinowany tak prymitywnie, aby prosto nie miało się co psuć, a wszystkie części wyglądają, jakby je kuł domowy kował w chwili dobrego humoru. Tak, Colt, Winchester, muł i Ford (który — jak mówią — nawet przez pnie skacze) — oto przyjaciele wymagający najmniej pieczy, a najbardziej gotowi do użytku.

Po tamtej stronie nastąpiła chwilowa cisza: naradzano się być może, czy posuwać się dalej, czy też ostrzeliwać jeszcze dzikich. Może obawiano się jakiej zasadzki? A może myślano, że już wszyscy Bugrzy są wybici?

Tak, czy owak, z tej chwili ciszy skorzystał Eduardo: zarepetował rękojeścią karabin i uczył, że kula wchodzi ze zgrzytem i trzaskiem w lufę. Wymierzył teraz w pień drzewa, z za którego najczęściej padało strzałów.

— Da-daaach! — zająknął się samotny wystrzał. Bugrzy przygięli się mimowoli do ziemi i spojrzeli z trwogą na Eduarda. A ten, nie czekając, aż przeciwnicy się opamiętają, krzyknął głośno. (A zdawało mu się, że mówi obcym językiem):

— Ej tam, ludzie! — Słuchajcie!

Rozległy się głosy zdziwione: szepty, narady, poczem jeden głos się odezwał.

— A co tam? Ktoś ty taki?

— Nie strzelajcie, rozmówimy się!

— Nie strzelamy, gadaj!

— Napadliście na mały oddziałek, nieuzbrojony i udało się wam. Ale teraz przyszło całe plemię i otacza was. Jesteście już otoczeni. Macie broń palną i znamy las — zginiecie!

Bugrzy patrzyli nieufnie na krzyczącego Eduarda, a z tamtej strony słychać było gorączkowe narady:

— A coś ty za jeden?

Eduardo zawahał się:

— Król Botokudów... — krzyknął wreszcie.

— Białe?

— Białe.

— I przeciw braciom wojujesz?

— Właśnie chcę uniknąć krwi. Napadli na was bez mego zezwolenia — brnął Eduardo. — Ale wkrótce uda mi się ich całkiem uspokoić. Pomóżcie mi tylko. Niech to będzie pierwszy krok. Wytlumaczę im, że chcecie również zgody. Cofnijcie się, a napady ustaną całkiem.

Znowu narady:

— A jaką nam dasz gwarancję, że nie napadniecie nas w powrotnej drodze?

— Moje słowo królewskie wystarczy!

To było ładne powiedzenie, a tem najczęściej można zrobić w Brazylii:

— Esta bem! — zawołał wreszcie silny głos. — Ale nie ruszym się, aż ściągniesz tych, co nas otaczają!

Eduardo uśmiechnął się: to było najłatwiej zrobić.

— Dobrze — powiedział i zaczął krzyczeć głosem rozkazującym:

— Jest teraz między nami pokój! Niech nikt nie waży się podjąć broni. Za nimi idzie całe plemię białych uzbrojonych, ale jeśli puścimy ich — będzie między nami pokój na... długi, bardzo długi czas.

Tak musiał straszyć jednych drugimi. A potem krzyknął do białych:

— Kiedy wystrzelę jeszcze raz — będzie to znaczyć, że macie drogę swobodną.

— Esta bem! — odpowiedziano.

Odczekawszy dobry moment, Eduardo strzelił.

— Nikogo teraz nie spotkacie na swej drodze — mógł zapewnić z czystym sumieniem.

Słysząc było ruch zbierających się do powrotu białych, Bugrzy siedzieli ciągle jeszcze w pozach jaguarów przed skoki.

— Ate logo! — Do rychłego! — rzucił któryś z białych, nie bez makabrycznego żartu w głosie.

— Ate outra vista! — Do drugiego zobaczenia! — powtórzył spokojnie Eduardo, samozwańczy król Botokudów — niewolnik.

Od tej to pory rozeszła się wśród białych wieść o białym królu Botokudów, który chce pokój zaprowadzić między białymi a czerwonymi.

Długi czas jeszcze w to nie wierzono, bo choć w Brazylii lubią koloryzować, chętnie słuchają tego koloryzowania i wierzą wszelkim baśniom, mają jednak na dnie duszy tyle jeszcze zdrowego rozsądku, że na serjo raczej wszystko biorą za błądę, zwłaszcza to, co się odnosi do życia praktycznego. Wiara w różne banialuki leży sobie tylko na wierzchu, jest udaniem, żeby sobie nie psuć ładnych opowiadań — niedowiarstwem.

Teraz dopiero Eduardo i jego pięciu Bugrów wracali do tolda. Opadli całkiem z sił i ledwie się wlekli. To oni — a on? On, który nie jadł od sześciu dni, który bez przygotowania zrobił taki marsz, który dopiero przed dwoma godzinami został pozbawiony więzów, który przecież nie wychował się od małego w puszczy? Eduardo był prawie nieprzytomny: chwilami miał jakieś przywidzenia gorączkowe, wydawało mu się, że widzi twarze ojca, brata, doktora „Bużu” i Coricry. To naraz zdawało mu się, że nie idzie wcale, tylko posuwa się nad ziemią, to miał uczucie, że ręce jego stają się olbrzymie, mocne i ciężkie niemożliwie. A jeśli trwał, to tylko dlatego, że musiał i — chciał. Dusza zadawała tu niesłychany gwałt ciału i dźwigała je, jak mundsztuk podrywa starą szkapę, walącą się na pysk.

Musiał jeszcze dojść do tolda i musiał mieć dość siły, żeby ten wielki moment wykorzystać do dna. Włosy Fortuny, za które chwycił, nie mogły mu się przemknąć między palcami.

Toldo było jakby wymarłe, ale gdy zaczęli

hukać — zaludniło się odrazu: tłum kobiet i dzieci, a potem i kilku mężczyzn... Oni jednak szli do ognia kacyka, jak każe zwyczaj. Kurugú wpiełzł szybko z drugiej strony do swego szałas i usiadł spokojnie, jakby nie wylazł przed chwilą z zarośli. Teraz wyszedł godnie przed szałas.

— Songrágo yauma? — Czy dobra zdobycz?¹⁾ — zapytał. A ta zwykła formułka wyglądała w tej chwili w jego ustach, jak kpiny, zwłaszcza, że patrzył wprost na Patakę i zapytał jakimś dziwnym tonem.

— Ndeya! — odburknął Pataka. — Nic!

Baby zabrały nieprzytomnego Szatonga i zaczęły oblewać mu ranę wodą, a reszta mężczyzn przykucnęła powoli koło ogniska. Eduardo czuł, że niedługo już będzie mógł trzymać swe obumarłe prawie ciało. Nawpół przytomny zdobył się jeszcze na rozpaczliwy, teatralny gest: kiedy wszyscy najmniej się tego spodziewali — strzelił nagle w górę z Winchesteru.

Zerwali się na równe nogi i kilka maczug znalazło się w górze, ale on ich uprzedził okrzykiem:

— Agnaema! — Siadać!

Poczem ich ubogim językiem zaczął tłumaczyć:

— Ja — nie wróg! Ja — przyjaciel. Kij ognisty — bardzo dużo mocny. Bardzo dużo zły. Może zabić nieprzyjaciela. Ja — przyjaciel. Sam przyszedłem do tolda. Niedobrze tu dla mnie było dawno. Ja — czekałem. Na wyprawie —

¹⁾ Dosł.: czy dobre jedzenie?

ja nie uciekać do białych. Ja wrócić. Ja przestraszyć białych i zrobić spokój. Teraz kij w moich rękach. Kij — bardzo potężny. Co ja robię? Ja rzucam ten kij do kacyka, pod nogi: weź ten kij. Ja przyjaciel.

Eduardo rzucił karabin istotnie i stał dumnie, starając się, aby nogi jeszcze go trzymały przez parę sekund. Nie pozostało to bez wrażenia: wszyscy milczeli. Pataká milczał, zwiesiwszy głowę, ów największy wróg. Naraz podniósł się Kurugú i powiedział:

— Nie, teraz ty weź kij ognisty. Ty jesteś przyjaciel.

I podał Eduardowi broń. Jak miłośnie przygarnął Eduardo ten karabinek! Był on teraz czemś większem, niż buława i niż berło. I jeszcze jeden krok zrobił:

— To jest moja rzecz i dobrze robicie, że mi ją oddajecie. I jeszcze ja mam tutaj swojego człowieka: niech on przyjdzie.

Nie oponowano: zawezwano Preié'go.

— A teraz, ja idę spać! — powiedział Eduardo — i oni też potrzebują spać. A mówić można jutro. I żeby nikt nie śmiał iść za białymi...

Sam nie zorientował się, kiedy przybrał ten ton. I nie zdziwił się, że nikt nie protestował. Ale dotrwawszy do tej chwili — za moment stał się już tylko bezmyślnem i nieczułem ciałem w rękach Preié'go, który miał ciche łzy w oczach.

I nie nazajutrz, ale dopiero w dwie doby potem ocknął się Eduardo, i zjadłszy nieprzytomnie

jedzenie, podawane mu ostrożnie przez Coroadę, znowu zasnął tym razem tylko na kilka godzin. Poczem ostrożnie otworzył powieki i nagle usiadł, chwytając za broń.

— Nic, nic... wszystko dobrze! — mówił do niego, jak do chorego dziecka, śmiejąc się i wstrząsany czymś w rodzaju łkania, Preié.

Eduardo był już w pełni sił.

— Była narada?

— Nie, senhor. Czekają chyba na pana. Nareszcie jesteśmy wolni, panie...

— Tak, Preié! — to musiało przyjść. Choć to jeszcze nie koniec! — dodał po chwili. — O, nie!

Było koło południa, a narady zwykle odbywały się wieczorem, przy ogniu, było więc dosyć czasu.

— Wyczyść karabin! — powiedział Eduardo.

Preié, zdobywszy kawał słoniny, zaczął przywracać karabinkowi normalny wygląd. Eduardo zaś siedział tuż obok po turecku na ziemi i myślał.

— Mój Boże, co za moment! Największy wróg — Pataká — unicestwiony; wrogi strażnik — Szatong — ranny; kacyk — usposobiony przyjaźnie lub wystraszony, inni mężczyźni — pokorni. Jakie posunięcie zrobić teraz, aby nietylko niczego nie zepsuć, ale wykorzystać wszystko, co się da i zrobić kilka stopni w górę?

— Gdzie jest reszta naszych rzeczy? — zapytał naraz Preié'go.

— Tam, gdzie była, senhor: w dole, zakopana pod szafasem tego starego — odpowiedział Preié.

— Odkopali, kiedy przybiegł Pôpô, choć Kurugú się wykręcał, ale zaraz resztę zakopał zpowrotem i dopiero wtedy uciekł w krzaki...

Eduardo zamilkł: jeszcze wiele miał do zrobienia...

Wreszcie zebrała się rada. Nie było to nic nadzwyczajnego: umysł dzikich obracał się przeważnie w kole wspomnień i obrazów z najbliższej przeszłości. Było to raczej rozpamiętywanie, niż narada wodzów. Poza tem zgadzali się chórem z każdym, który głośno gadał, choćby dwóch następnych po sobie mówców wypowiadało przeciwnie zdania. Bez żadnego skrępowania powtarzali każdemu: „Hóa, dobrze mówi. Tak rzeczywiście jest.“ Nietylko dzicy zresztą tak robią...

Rozpoczął Pataká, który już przyszedł do siebie i postanowił nie ustępować bez walki. Odpowiedział, jak zręcznie i szybko podeszli aż do kolonji, jak nagle wypadli z lasu, zabili psy i „domową zwierzynę“ białych.

— Hóa! Toście dobrze zrobili! — mruknął bezmyślny chór.

— I gdyby ludzie tam byli, wybilibyśmy wszystkich! — zawołał Pataká.

— Tak, zrobilibyśmy to! — powtórzyli niedobitkowie. A chór znowu aprobował.

— Ale biali uciekli z chaty, ostrzeżeni widzieć przez czary! — mówił dalej Pataká i zezował na Eduarda. — Musieliśmy więc czekać, aż wrócą. I chociaż wrócili w dużej liczbie („było ich bardzo więcej“) — napadliśmy ich...

— Wieczorem! — rzucił naraz Eduardo.
Pataká zamilkł, a chór zaniepokoił się.

— Wieczorem?

— Tak — powiedział Eduardo. — Pataká nie wysłał naprzód szpiegów, żeby wywiedzieć się, gdzie najlepiej napaść i żeby dowiedzieć się, czy wrogów nie jest „za bardzo więcej“, a potem, kiedy przyjechali całym dużym plemieniem — napadł na nich w nocy.

— To nie jest dobrze! — zdecydował chór.

— I dlatego zginęło wojowników bardzo więcej. Przyszło do tolda tylko „undupelemó“ — pięć¹⁾.

Tu Eduardo pokazał rozstawione palce jednej ręki.

— Tak, tylu ich przyszło — zgodził się chór.

— A poszło ich raz „dwie ręce“ i drugi raz i trzeci raz tyle! — dobijał wroga Eduardo.

— To są czary! — porwał się znowu Pataká.

— To tyś czarował!

Chór obrócił się ku niemu wrogo:

— Powiedz, czyś ty czarował? Tak, powiedz to!

— Czarowałem! — rzucił Eduardo po pauzie.

Nastąpiło zamieszanie. Ten biały umiał tak stawiać sprawę, że nigdy nie było wiadomo, jak należy postąpić! Tymczasem Eduardo wytrzymał pauzę i mówił dalej:

— Czarowałem, żeby biali nie przyszli i nie wyróżnęli wszystkich kobiet i dzieci, kiedy toldo było bronione tylko przez pięciu ludzi, którym

¹⁾ Dosl.: ręka.

wyszły wszystkie strzały. Czarowałem ognistym kijem, a potem czarowałem tajemniczymi słowami, że zaraz odeszli, choć ich było bardzo więcej, niż nas. Czy nie tak? Czy nie wołałem tajemniczych słów i czy nie robiłem huku?

Tak, to prawda: wołał słowa, których nikt nie zna. Tamci także krzyczeli i próbowali czarować, ale potem umilkli i uciekli.

Pataká patrzył wściekły z podejścia i nie wiedział, co odpowiedzieć, ale tem bardziej wzbierała w nim pasja. Naraz zabrał głos Kurugú. Być może zauważył wzrok Pataki i być może bał się wzbudzenia takiej nienawiści u swego wroga? Odezwał się:

— Może to i były czary. Ale nie czarował biały. On jest przyjacielem. Wicie wszyscy, że piersi ma nieowłosione, a nasi przodkowie powiedzieli nam, że wrogowie nasi będą mieli piersi pokryte włosiem. On tego nie ma.

— Nie, nie ma tego. Patrzyliśmy sami.

— Był u nas w niewoli, choć sam do nas przyszedł. Ale nie uciekł od nas, choć mógł zostać u białych. Czyż nie powrócił?

— O, tak — powrócił.

— Ale może bogowie gniewali się na nas? — zapytał nagle Kurugú. — Może Grybdoma, bóg, który stworzył żmije, kleszcze i inne robaki, rozgniewał się na nas. A może Bugre, który zrobił chorobę i śmierć i strach i noc?

— Może?

— On mówi, że jest synem Bugre! — rzekł Pataká.

Kurugú popatrzył na niego z ukosa:

— Pataká powiedział dobrze: może to Bugre obraził się, że jego syna trzymamy w niewoli i każemy mu pracować, jak kobiecie?

Nie, stanowczo ten stary był najlepszym politykiem w tej bandzie głupców. Eduardo jeszcze nie rozumiał dobrze, do czego on dąży, dlaczego go broni, ale wiedział, że dąży do swego celu chytro i sprawnie.

— Zrobimy przebłaganie bogów! — ciągnął dalej Kurugú. — Zrobimy święto botoki! Za dużo już dużych chłopców chodzi bez botoki, a dziewcząt bez trzech nacięć na kolanie.

— Tak, tak, święto botoki! — wrzasnął chór.

— I nastąpi zgoda między nami i bogami, a także w całym plemieniu. Nikt nie może kłócić się w plemieniu, gdy jest botoka. Zawrzemy przyjaźń krwi.

— Tak, tak! — wołał chór. — Zrobimy czarodziejski napój i zobaczymy kraje bogów.

Eduardo zrozumiał teraz, czego chciał Kurugú: próbował utrzymać swoją władzę przez zawarcie przyjaźni z pokonanym wrogiem, a zarazem chciał zachować białego. Ale w jakim celu?

Pataká jednak nie okazał się wcale wdzięcznym. Chrząknął i powiedział:

— Powiedz mi, Kurugú, ty, który znasz tak dobrze zwyczaje ojców, czy nie jest czas, żeby zrobić zapalenie ognia? Przecież dzieci, których

narodziny widział kacyk, już upolowały swoją pierwszą zdobycz. Nawet więcej: są oni oddawna wojownikami!

Eduardo nie rozumiał, o co chodzi, ale po minach aktorów tej sceny poznał, że Pataká szykuje nową pułapkę na Kurugú.

— Dobrze! — powiedział Kurugú. — Zrobimy zapalenie ognia. Taki jest zwyczaj ojców — to prawda.

Kiedy tłum, ożywiony nadzieją zabawy, rozszedł się, gestykulując, Kurugú podszedł do Eduarda. Teraz miał się dowiedzieć, dlaczego kacyk oszczędził białego psa i brał go w obronę.

— Słuchaj, biały... — zająknął się Kurugú i nagle poprawił się. — Czy ty masz jakieś imię?

Eduardo uśmiechnął się:

— Tak. Nazywają mnie Eduardo.

— Dardong — powtórzył kacyk przez nos — Dardong. Dobrze. A więc widziałeś, Dardong, że obroniłem cię.

— Widziałem.

— Obroniłem cię dlatego, że lubię sprawiedliwość.

— Hm.

— A także dlatego, że mówi mądrość ojców: „robak nie zdeptany na drodze — może oddać usługę w obozie”.

— To jest prawda.

— Czy wiesz, że ja mam wszystkie twoje rzeczy do czarów zakopane u mnie?

— Wiem.

— Czy możesz pokazać mi swoje czary i nauczyć mnie ich?

Aha, tędy go wiedli!

Eduardo może zbytnio ożywił się i porwał z miejsca.

— Nauczę cię. Pokaż mi moje rzeczy!

Kurugú spojrzał na niego nieufnie:

— Nie wiem jeszcze, czy ci pokażę twoje rzeczy. Może zaczarujesz mnie, albo zechcesz sam pokazywać swoje czary przed plemieniem.

Myślał jeszcze chwilę, potem potrząsnął głową i powiedział:

— Nie, nie wiem, czy ci dam twoje rzeczy...

Eduardo klął w duchu swoją niecierpliwość, ale nie odzywał się, obawiając się jeszcze bardziej popsuć sprawę. Preié siedział obok niego i wzrokiem wiernego psa starał się zrozumieć zmartwienie pana.

— Czy wiesz, co to jest „zapalenie ognia”? — spytał Eduardo.

— Nie, nie wiem, senhor! — z żalem wybąkał Preié.

— Dowiedz się.

Po wywiadzie Preié'go sprawa się wyjaśniła: był to konkurs na zapalenie ogniska, rodzaj próby, czy stary kacyk jest jeszcze dość zręczny. W ten sposób usuwano zbyt starych kacyków, a ten, kto pierwszy zapalił ognisko, zostawał jego następcą. Zwyczaj ten musiał przetrwać od bardzo dawnych czasów, kiedy ogień był jeszcze świeżym i zdumiewającym wynalazkiem. Niesto-

sowany był ten zwyczaj oddawna, dopóki nie przypomniał go Pataká, któremu musiała o tem powiedzieć któraś ze starych bab. Próbę tę urządzano wtedy, kiedy dzieci, przy których urodzeniu był kacyk, stawały się mężami i upolowały swoją pierwszą zdobycz. Mogli więc zwyczaj ten zastosoować oddawna wobec Kurugú, gdyż był on najstarszym człowiekiem w plemieniu i nikt nie pamiętał go młodym. Musiał mieć dobrze ponad setkę.

Eduardo był teraz pewien, że Kurugú wcześniej, czy później zgłosi się do niego o pomoc, gdyż bez „czarów” nie miał najmniejszej nadziei na pobicie rekordu w tarcu drzewek, dla wydobycia ognia, wobec silnego i młodego Patakí. Niecierpliwił się jednak Eduardo wobec tego, że przygotowania do podwójnej uroczystości postępowaly, a Kurugú milczał zawzięcie, powstrzymany widać obawą, aby nie zyskać nowego konkurenta, zamiast sojusznika. Kto wie, czy teraz nie żałował już swej obrony i uznania „Dardonga” za przyjaciela?

A przygotowania wrzały w całej pełni: wszyscy dorośli mężczyźni ćwiczyli się w zapaleniu drewnienek, kręconych w rękach, z ostrzem utkwionem w dołek, wyżłobiony w drugim drewnie. Przygotowywano suche paliwo, mech i suchą trawę, jako podpałkę. Coraz wykwiwały tu i ówdzie białe smużki dymu, ku głośniejszej radości obserwatorów. Poza tem gotowano jakiś podejrzany napój, składający się z miodu dzikich pszczoł, kwasko-

wego i cierpkiego, jak wino, oraz z odwaru z jakiejś nieznanej dzikiej rośliny. Napój fermentował w wyżłobionych pniakach, służących za beczki i jego kwaśny odór rozchodził się po obozowisku. Uroczystość zbliżała się.

Wreszcie Eduardo nie mógł wytrzymać i zaczął sam kacyka:

— Czy nie chcesz, abym ci pomógł w zapaleniu ognia mojami czarami?

Kurugú spojrzał na niego z podejrzliwością:

— Nie.

— W takim razie Pataká zapali pierwszy.

Kurugú nie odpowiedział nic na to. Eduardo zamyślił się: trzeba ratować tego starego wbrew jego woli. Przedewszystkiem jest on jedynym człowiekiem, z którym można się tutaj dogadać, a po drugie — w razie zwycięstwa Pataki... Dreszcz przeszedł Eduarda.

Próbowali razem z Preiém dobrać się do zakopanych rzeczy, ale Kurugú pilnował ich dobrze. Mimo swej, z takim trudem osiągniętej wolności przekonywał się Eduardo, że ciągle jeszcze jest obserwowany i pozbawiony całkowitej swobody ruchów. Siedział więc myśląc o tem, gdy podsunął się do niego Preié:

— Senhor — zaszeptał — krzesiwko...

— Racja! — ożywił się Eduardo, ale gdyby choć kawałek żelaza...

— Odkręć, senhor, kółko od karabinka!

Zaczęło się więc wyszukiwanie odpowiedniego krzemienia, kręcenie knotu z zatłuszczonej ścierki,

w którą był owinięty karabin, szukanie grzybów drzewnych, które — po wysuszeniu tak znakomicie się palą, i hartowanie w ogniu kółka od Winchestera.

W sam dzień uroczystości, kiedy już zaczęto wydeptywać plac na tańce, przy ognisku, Eduardo zbliżył się do apatycznego kacyka:

— Chcę cię uratować.

— Co mówisz? — niedowierzał Kurugú.

— Chociaż mi nie dałeś moich rzeczy do czarów, nauczę cię robić ogień tak prędko, jak tego nikt nie potrafi robić. I sam nie będę popisywać się, tylko ty pokażesz tę sztukę.

— Tak zrobisz?

— Tak, bo... „robak, którego nie zdeptałeś na ścieżce — odwdzięczy ci się w obozie”. Chodź ze mną.

Ruszyli w trzech w zarośla.

Tymczasem zbliżała się noc. Pnie z „płynem bogów” ustawiono w wielkie koło w pobliżu ogniska kacyka. Na środku polany palił się wielki ogień, wszystkie inne ogniska w całym toldo pogaszono i zalano wodą, a obok nich przygotowano stosy gałęzi na „nowy ogień”. Czekano tylko wschodu księżyca. Mężczyźni poważnie siedzieli w kucki, każdy przed swoją wiązką chróstu, tworząc wielkie koło. W środku siedziała najstarsza kobieta plemienia, straszna i pomarszczona baba, podobna do zdziwionej małpki „miko”. Poza kołem mężczyzn, a w pobliżu kadzi z napojem, ugrupowały się kobiety i dzieci. Słuchać było po-

mruk dużego zbiorowiska ludzkiego, ale głosy były hamowane. Eduardo z Preiém siedzieli pod dużym pinjorem, nieco na uboczu od wszystkich i obserwowali Kurugú, który był spokojny i obojętny. Przed nim, tak jak przed każdym mężczyzną plemienia, leżała wiązka chróstu i drewna do wydobywania ognia: była to cienka laseczka, długości trzydziestu centymetrów, z bardzo twardego i suchego drzewa i polano, z drzewa miękkiego, z wywierconym dość głębokim otworem w środku. Nikomu nie mogło nawet na myśl przyjść, że Kurugú nie użyje tych przyborów.

Wreszcie z za drzew ukazał się księżyc. Teraz głosy stały się donioślejsze, zapanował ruch. Stara kobieta w środku koła obeszła wszystkich, aby sprawdzić, czy nikt nie przechowuje żaru, potem zalała główne ognisko, które zasyczało tajemniczo. Zaległa ciemność, powoli dopiero oczy przyzwyczały się do zimnego, zielonego światła księżycowego.

Naraz kobieta klasnęła w ręce i zaczęła zawodzić jakąś prostą melodię, bez słów. Było to coś w rodzaju wycia, modulowanego nieco, gardłowego i nosowego. Natychmiast cały tłum podchwycił to wycie, a mężczyźni gorączkowo rzucili się do drewniek i, ustawivszy pionowo, zaczęli je obracać w wyżłobieniu błyskawicznym ruchem obrotowym. W półmroku nie było ich dobrze widać, a wszystko zagłuszał ów monotony śpiew-wycie. Trwało to wszystko już około minuty, a z wiązki kacyka nie dobywał się ogień, ani dym. Eduardo

zaczynał się niepokoić: czyżby stary nie umiał dać sobie rady, lub zapomniał? Oto już koło Pataki rozlegają się głosy:

— Niedługo, niedługo! Już gorącel...

Eduardo niespokojnie obejrzał się w stronę Kurugú i naraz krzyknął z podziwu: ognisko starego już płonęło silnym płomieniem, a on trzymał w ręku żarzącą się pałeczkę. Sprytnie to zrobił!

— Aaaa! — rozległo się po obozie. Okrzyk podziwu i jakby ulgi.

Pataká jeszcze nie wiedział, co się święci, kręcił zawzięcie swoją pałeczkę, dopóki nie rozległ się za nim śmiech:

— Dosyć, dosyć, Pataká! Idź zapal swoje ognisko od ogniska Kurugú!

Zerwał się i znieruchomiał. Trzymał jeszcze w ręku swoją pałeczkę, która się dymila leciutko. Mężczyźni powoli podchodzili do ogniska Kurugú, każdy zapalał laseczkę i szedł do swego ogniska. Za chwilę cała polana płonęła dziesiątkami ognia, a w chwilę potem zapalono wielkie ognisko na środku, do którego zgarnięto wszystkie wiązki.

Czy to był symbol czerpania ducha od najdzielniejszego mężczyzny, a następnie zbierania wszystkich sił dla wspólnego celu? — Kto to wie? Rozległy się na polanie krzyki, wołania, skoki, dopóki nie krzyknął Kurugú:

— Pierwsza rzecz skończona. Wiemy wszyscy, kto jest kacykiem i nikt się nie pomyli, czy tak?

— Hóa! — krzyknęli dzicy, czekając niecierpliwie na dalszą część uroczystości.

— A teraz przystąpimy do święta botoki!

Mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci wszystko to rzuciło się do kadzi i jeden przez drugiego zaczęli chleptać napój. Rozlegał się przytem śmiech i wesołe kłótnie. Kurugú nie pił, kucnął spokojnie i nawet nie spojrzał w stronę Eduarda.

Po chwili zaczęło się widowisko nierównie obrzydliwsze od pierwszego: cały tłum, pijany już dobrze, wpełznął w środek koła czterech chłopaków, wieku ośmiu do dziesięciu lat, poił ich i zmuszał do skoków. Następnie zaczęto ich popychać, pociągać, posyłać sobie z rąk do rąk, jakby byli jakimś wielkimi zabawkami. Wreszcie, kiedy chłopcy byli prawie nieprzytomni, podskoczył jeden z mężczyzn i uderzył jednego z nich kułakiem w głowę. Za tym pierwszym — posypały się inne ciosy i po chwili pijany tłum począł okładać pijanych chłopaków z całej siły. Chłopcy zataczali się od pijaństwa i razów, padali, podnosili się znowu, dopóki nie opadli zupełnie z sił i nie stali się całkiem nieprzytomni. Było to może coś w rodzaju uderzeń mieczem przy pasowaniu na rycerzy, albo może sposób znieczulenia przed operacją?

Wówczas podszedł do chłopaków sam Kurugú. Kambeczuje z nożem kamiennym w rękę i zręcznym ruchem przebił im pokolei dolną wargę, w którą natychmiast włożył małe drewno w kształcie litery „T”, którego koniec zabawnie sterczał chłopakom, jak bródka. Chłopcy — pijani i obici — nie reagowali nawet na tę operację.

Po chwili wypchnięto nowych kilku chłopców i operacja zaczęła powtarzać się od początku. Widowisko stawało się coraz obrzydliwsze i Eduardo powstał, aby odejść. Ale w tej chwili szyję jego objęły czyjeś ramiona i ktoś zaszeptał mu w ucho gorącym tchem:

— Dardong (tak już teraz nazywano go), idź z moim ojcem i zabij małpę!

Była to Ndiri. Więc jeszcze nie zapomniała? A może wpływ alkoholu popchnął ją do tego? W każdym razie Eduardo nie miał ochoty korzystać z jej względów.

— Odejdź! — powiedział surowo. — Gdybym chciał zabić dla ciebie małpę, sam trafiłbym do twego ojca.

— Nie chcesz?

— Nie.

— Więc zginiesz!

Groźba ta nie była błaha: Ndiri mogła rzucić byle jaki okrzyk, czy hasło, i poruszyć ten nieprzytomny tłum. Eduardo zawahał się, ale powtórzył tylko:

— Odejdź!

Wówczas Ndiri zaczęła krzyczeć przejmującym głosem:

— Pataká, Pataká, broń mnie przed białym psem!

Wszyscy Bugrowie mieli w czubie, ale pono Pataká, który chciał zapisać swoje upokorzenie — najwięcej. W odpowiedzi na krzyk Ndiri ryknął coś niezrozumiałego i runął, jak buhaj na arenie. Że

sytuacja nie była wesoła — to pewno. Czy pokonany, czy zwycięzca — Eduardo tracił zdobytą z takim trudem pozycję. A w dodatku, tłum cały — oczekując nowego, ciekawego widowiska — zwrócił się cały w ich stronę. Zaś Kurugú nie śmiał protestować, choć było to wbrew zwyczajom walczyć podczas święta botoki. Cofać się — było niepodobieństwem, walczyć — nonsensem.

W tym momencie Eduardo chwycił karabin i strzelił w górę. Nie przyzwyczajeni do tak bliskiego huku Bugrowie mimowoli cofnęli się, a Pataká wstrzymał się nieco. Eduardo wiedział jednak, że zyskiwał tylko na czasie: pijany Pataká i tak rzuci się na niego. Krzyknął więc głośno:

— Kurugú! Ty jesteś kacyk, rozsądź więc, czy ja dobrze mówię. Mógłbym zabić Patakę z mojego ognistego kija. Ale jestem przyjacielem i nie chcę użyć go przeciwko memu plemieniu. Pataká chce ze mną walczyć, chociaż ani jemu, ani Ndiri nic nie zrobiłem. Dobrze — będziemy walczyć. Ale ja rzucę swój kij, a on niech rzuci maczugę. Czy to jest dobre, co ja mówię?

— Hóá! — Tak, to jest dobre! — wrzeszczeli Bugrzy, śmiejąc się na całe gardło.

Kurugú wydawał się nieco stropiony, a Preié podsunął się i rzekł cicho:

— Senhor, ten goryl jest piekielnie silny. Mówią, że pięścią zabija tatetú¹⁾. Dlatego te małpy tak się cieszą...

¹⁾ Dzik brazylijski.

— Dobrze. Stój tu pod pinjorem i trzymaj karabin. Gdyby się rzucił na mnie tłum — podasz mi go.

Tymczasem zrobiło się już koło, obejmujące walczących. Pataká, dysząc ciężko, niebardzo rozumiejąc, o co chodzi, pozwolił sobie zabrać maczugę, z którą się rzucił, i stał ze zwieszoną głową z jednej strony koła. Po przeciwnej stronie stał Eduardo blady, ale spokojny. Tuż za nim rósł potężny pinjor, który mógł mu dać — w razie potrzeby — obronę, a obok pinjora sterczał wysoki prawie na metr pniak. Za nim właśnie umieścił się Preié.

Przeciwnicy wystąpili do walki. Eduardo niebardzo zdawał sobie sprawę z tego, co to ma być właściwie za walka, ale już w pierwszym zetknięciu się zrozumiał, że może to być walka na śmierć. Że tu nie chodzi o honor zwycięzcy, lecz o życie. Pataká rzucił się przed siebie z głową pochyloną naprzód, usiłując uderzyć nią Eduarda w brzuch i ewentualnie przyjąć na swoją czaszkę ciosy przeciwnika. Czaszki zaś Bugrów są tak silne, że mogą oni w niektórych zabawach bić się wzajem maczugami po głowie: kto dłużej wytrzyma.

Eduardo zaledwie miał czas rzucić się w bok i szorstkie ciało otarło się o niego, jak łuską pokryty bok rekina. Natychmiast jednak Pataká powrócił i szczepili się rękami, jak dwa drzewa, splątane ljanami. Trwali tak w pozornym bezruchu, a tłum także umilkł i czekał... Po chwili Eduardo uczuł, że stalowe ręce chwyciły w uścisk tak po-

tężny, że uwięziły całkiem działanie jego mięśni: wydawały się sparaliżowane. Jeszcze chwila i Eduardo uczuł, że jedna z rąk Pataki, ściskająca jego ramię, powoli posuwa się — w tym samym ciągle uścisku — ku gardłu. Szarpnął się i wzmocnił uścisk swoich rąk — daremnie.

Do tej pory Eduardo używał jedynie mięśni górnej połowy swego ciała, jakby tu istniały przepisy walki francuskich siłaczy. Przypomniawszy sobie jednak system walki, używany w brazylijskich portach lub w ciemnych przedmieściach Rio: straszliwe owe kopnięcia, mogące pozbawić przytomności, a nawet życia, najsilniejszego mężczyznę. Bliskość przeciwnika, co prawda, stała na zawadzie, ale mogło się udać kopnięcie kolanem. Kiedy zatem ręka Pataki była tuż koło pachy Eduardo i czaiła się, aby skoczyć do gardła — Eduardo wykonał naraz krótkie, nieznaczne, ale straszliwe kopnięcie!

Pataká zachwiał się i puścił ramiona Eduardo. Eduardo jednak nie rzucił się na niego, korzystając z chwili: nie dlatego, aby go żałował, lecz że ręce jego prawie nie były zdolne do wysiłku. Istotnie ten goryl był djabło silny. Zrozumiał Eduardo, że w drugim takim spotkaniu dziki go po prostu udusi, bez żadnej przeszkody. Rozejrzał się rozpaczliwie dokoła i naraz wzrok jego padł na pień. Być może przypomniawszy mu się jakieś sceny z kilku filmów, które w życiu widział — w każdym jednak razie walka jego stawała się planowa: wiedział teraz, do czego ma dążyć.

Kiedy Pataká przyszedł do siebie i ruszył do Eduarda — ten nie wystąpił przeciwko niemu, lecz przeciwnie zaczął się cofać. Głuchy pomruk potępienia przeleciał przez tłum, a Preié zbłądził i zdjął z ramienia karabin. Pataká zbliżał się powoli ze złośliwym uśmiechem na spotniałej twarzy. Ruchy obydwóch mężczyzn były powolne, jak sztywne kroki psów, które krążą dokoła siebie, zanim się rzucą.

To jednak, co nastąpiło — było niespodzianką dla wszystkich: Eduardo skoczył nagle na pień i stamtąd wykonał straszliwy skok, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Skok taki jest wielkiem ryzykiem: w razie usunięcia się przeciwnika, lub złego wymierzenia odległości — człowiek z całego rozmachu pada na ziemię i może być z łatwością pokonany. Jeżeli jednak się uda — nawet względnie słaby człowiek ma przewagę nad silniejszym o cały ciężar i masę swego ciała i ogromny rozmach skoku, który przewraca przeciwnika nawznak. Tak skaczą niektóre dzikie koty. Niektóre: bo tylko te, które pierwsze napadają na człowieka i grubszą zwierzynę i skaczą z drzew. A trzeba wiedzieć, że rzadko który kot skacze z drzewa. Wiemy wszyscy, że podczas polowania na jaguara wystarczy zapędzić go na drzewo, żeby tam pozostał spokojnie, dopóki się nie straci go wystrzałem. Natomiast skacze z drzewa, i to bardzo często, na człowieka — czarna puma, jak my ją nazywamy „tigre preto”, choć właściwie powinno się mówić „onça preta”. Na szczęście to bydlę jest dość rzadkie w Brazylii.

Skok ten udał się Eduardowi: nie spodziewający się już wogóle ataku, a zwłaszcza takiego ataku — Pataká poleciał wtył, jak uderzony pociskiem w pierś. Przytem pech jego chciał, że przerażeni widzowie rozstąpili się przed tym dziwnym spłotem ciał i Pataká wpadł w olbrzymie ognisko, zapalone na środku polany. Mimo, że ogień dosięgał nieco i Eduarda — ten przytrzymał przez chwilę oszołomionego Patakę, a ponieważ trzymał go za gardło w tym locie, Pataká już był nieco przydużony i nie mógł się bronić. Dopiero, kiedy rozszedł się swąd palonego ciała i kiedy języki ognia zaczęły już na dobre lizać ręce Eduarda — puścił on przysmażonego wroga.

Pataká był dzielnym chłopem — tego mu nie odmawia sam Eduardo — i jeżeli zaczął wrzeszczeć jak opętany, to widać ból musiał być straszny, a w dodatku ściśnięte gardło domagało się gwałtownie powietrza. Tłum jednak w takie rzeczy nie wchodzi: krzyk bólesci u jednego z przeciwników jest nietylko dowodem jego porażki — jest też powodem do kpin. Tłum zaryczał nielitościwym śmiechem i sympatje wszystkich znalazły się po stronie Eduarda. Rozległy się głosy:

— Czarna Pantera! — Cathangará!

— Cathangará! Cathangará! — powtórzył tłum.

Zdaje się, że w pierwszej chwili Eduardo sam nie docenił znaczenia swego triumfu. Nie zrozumiał zdaje się, że bez okazania swej siły fizycznej nie mógłby zaimponować, a więc i zyskać władzy nad tem plemieniem, ceniącym prawie wy-

łącznie tylko tę zaletę mężczyzny. Najlepszy jednak dowód, że imię, które mu nadali, nie odnosiło się ani do jego umiejętności władania „kijem ognistym“, ani do żadnych innych „czarów“, któremi operował potem, lecz wyłącznie do jego zręczności i sposobu walki, który wydał im się tak piękny, ciekawy, oryginalny i zręczny. Imię to zresztą ustaliło się ostatecznie, jako jego imię własne, dopiero po drugiej jego walce w toldo.

Dopełnił miary swej hańby Pataká, uciekając i trzymając się w ucieczce za... no, za najbardziej sparzoną część ciała. Bugrzy dosłownie tarzali się po ziemi i śmieli się tak długo i tyloma nawrotami, że wydawało się, iż nigdy nie skończą.

Śmiano się także z Ndiri, która chyłkiem uciekała, ciągnąc ze sobą swego młodszego braciszka, Pernú, który opierał się i oglądał z zachwytem za Eduardem. Wreszcie wyrwał się jej i podbiegł do Eduarda, a stanąwszy przed nim, patrzył na niego, jakby oczekując, że stanie się jeszcze coś dziwnego. Został też, mimo nawoływań siostry do końca zabawy i towarzyszył stale Eduardowi.

I ta zdrada w rodzinie śmieszyła Bugrów, którzy — jeżeli naogół są raczej ponurego usposobienia — to raz rozbawieni, nie znają miary w wesołości.

Sytuacja Eduarda stała się teraz całkiem pewna: Pataká siedział cicho, Kurugú był mu życzliwy, a plemię patrzyło na niego, jak na kogoś swego i to takiego, który ma prawo rozkazywać. Eduardo chodził po obozie ze swoim odzyskanym

psem i karabinem ciesząc się wolnością, a dodawali mu splendoru, włączając się stale za nim jak adjutanci, Preié i Pernú. Bo ten smarkacz przyczepił się do Eduarda od owej awantury i nie odstępował go ani na chwilę, choć Ndiri i Pataká wściekali się na niego.

Pewnego dnia Pernú powiedział Eduardowi:

— Dziś przyjdzie Pataká do ojca mojego i Ndiri i pójdą zabić małpę.

I zdarzyło się właśnie tak, że Eduardo przechodził koło jednego szałasu (był to raczej dach), gdy usłyszał rozmowę i stanął nagle wobec Pataki i ojca Ndiri.

Pataká mówił:

— Chodźmy i zabijmy małpę po trzech dniach.

Stary namyslał się: Pataká był oczywiście skompromitowany, ale, bądź co bądź, był to jeden z najsilniejszych mężczyzn w plemieniu i niebezpiecznie było mu odmówić. Eduardo przechodząc spojrzał na nich i uśmiechnął się. Nie był to uśmiech złośliwy — Eduardo był dziś człowiekiem zadowolonym. Ale Pataká inaczej zrozumiał ten uśmiech i odpowiedział wściekłym wzrokiem. A stary jakby nabrał odwagi:

— Dlaczego nikogo niema, gdy mi to mówisz? Powinien ktoś być, gdy się ludzie wybierają na polowanie po małpę.

Wtedy Pataká uśmiechnął się dziwnie i powiedział:

— Widzisz przecież, że jest... ten.

A po chwili porwał się:

— Idziemy, czy nie idziemy!

Tak więc dość skromne były zaręczyny Pataki, jego, który był tak dumny. Eduardo uśmiechał się ciągle, gdy odeszli stamtąd, i może wielu rzeczy nie zauważyłby, gdyby Preié nie powiedział mu cicho:

— Niedobry jest wściekły byk, ale lepszy, niż żmija.

— Co to znaczy, Preié?

— Kto nie może być bykiem i napadać wprost, ten się staje żmiją. I wtedy trzeba się go jeszcze bardziej strzec...

— Et! — machnął ręką Eduardo.

Trzeba stwierdzić, że wielcy wodzowie powinni zawsze mieć koło siebie służących, albo wierne żony, aby mogli się utrzymać na wyżynie. Wodzowie ci bowiem gardzą sprawami małemi: wydaje się im, że godnemi walki i pokonania są jedynie sprawy wielkie i trudne. Tymczasem potknąć się można i na skórcie pomarańczy. A właśnie na te skórki pomarańczy zwracają uwagę ci, którzy nie patrzą w niebo. Tak już jest. Preié stał się dziwnie milczący i zamysłony. Nic nie mówił, gdy nocowali obok siebie we trójkę w byle jak skleconym szałasie. We trójkę, ponieważ Pernú ciągle się ich trzymał i nie odstępował ich nawet w nocy. Eduardo spał teraz spokojnym snem człowieka, który zasłużył na to, Pernú spał dzięki swej młodości jak kamień, a Preié przewracał się i wzdychał.

Wreszcie pewnej nocy nie wytrzymał:

— Senhor! — poruszył śpiącego Eduarda — Senhor!

Ale kiedy Eduardo się ocknął, pocziwy Preié zawstydził się: nie miał żadnych innych danych, prócz przeczuć. Takich samych przeczuć, jakie mają psy, gdy spodziewają się śmierci — wyją przez całą noc. Ale czy białe to zrozumie i nie wyśmiej, choćby to nawet był tak niepospolity biały, jak jego pan?

Ale Eduardo nie darmo sam był prawie tyleż dzieckiem lasu, co miasta i tyleż synem białej, co czerwonej rasy: zrozumiał.

— Ja nie wiem, senhor! — prawie z płaczem tłumaczył się Preié — nic nie udało mi się podsłuchać, ani zobaczyć... A jednak ja wiem! Pataká ma w sercu zemstę: boli go to, że został pobity i to, że jak jedli małpę z Ndiri, to był przytem tylko jej ojciec i jej matka, a nikogo więcej. I chodzą ciągle z Szatongiem, który już jest zdrowy i mówi, że trzymał ciebie, senhor, na stryczku. A dziś... dziś jest nów księżyc, jest bardzo, bardzo ciemno i wieje taki wicher, jakby miała być w obozie śmierć, albo kilka śmierci...

— Dobrze, Preié — powiedział łagodnie Eduardo. — Ale czegoż ty chcesz?

— Senhor, przenieśmy się z szałasu pod pinjor, bo... Pss!

Eduardo nie słyszał jeszcze nic, ale wiedział, że ktoś nadchodzi.

Zaledwie zdążyli odpętnąć na kilka metrów, gdy i Eduardo usłyszał skradanie się. Odsuwali się powoli od szałasu w stronę historycznego pinjora. Zrobili w ten sposób półkole i pomiędzy nimi

a szałasem znalazło się teraz słabo tlejące ognisko. To utrudniło im obserwację tego, co się działo przy szałasie. Tyle jednak dojrzeli, że ktoś podnosił się z ziemi tuż koło ich dotychczasowej siedziby.

— Na Boga, Pernú! — zdławionym szeptem zawołał Eduardo i chciał się poderwać z ziemi, kiedy Preié nagle przytrzymał go i w tej chwili rozległ się głuchy stuk, a zaraz potem głośny krzyk:

— O, o, o! Zbudźcie się i chodźcie! — wołał ktoś. — Zobaczycie, czy to tak trudno zwyciężyć wielkiego Dardonga, niewolnika, który się pyszni!

Bugrowie śpią lekko: natychmiast zaczęto się tu i ówdzie zrywać ze snu i gromadzić na polanie. Ktoś dorzucił dREW i ognisko buchnęło jasnym płomieniem. W jego świetle dojrzeli Eduardo i Preié — Szatonga, który podnosił maczugę zakrwawioną i wołał:

— Krew białego psa jest tak samo czerwona, jak nasza! Już nie będzie się więcej rządził. I kij ognisty mu nie pomoże!

W tej chwili Preié znikł i za chwilę znalazł się przy szałasie. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu, a on przemówił spokojnym, ale dziwnym głosem:

— Czy tylko na pewno jego zabiłeś, o Pataká? Ponieważ pan mój i ja nie nocowaliśmy dzisiejszej nocy w szałasie...

Zaległo milczenie. I naraz matka Ndiri, tknięta instynktem, rzuciła się do szałasu, a po chwili zaczęła ryczeć:

— O, o, o! Zabili mi mego synka! Moją radość! O!

Szatong patrzył oglupiały na swoją skrwawioną maczugę, na starą, na tłum otaczający i wreszcie wrzasnął:

— To czary! To ten czarownik! Gdzie on jest?

Oglądając się dokoła, postąpił parę kroków w kierunku pinjora, gdzie był ukryty Eduardo. To go zgubiło: Eduardo po raz drugi użył swego sposobu. Spadł tym razem naprawdę, jak czarna puma: cicho, bez zapowiedzi, milcząco a zażarcie.

Potoczyli się na ziemię, maczuga wypadła Szatongowi z ręki, a Eduardo tłukł zawzięcie jego głowę o ziemię. Podczas ich zmagania się — podszedł do nich powolnym, uroczystym krokiem Kurugú i podjął maczugę Szantonga:

— Puść go! — powiedział do Eduarda, a gdy ten posłuchał, uderzył naraz z całej siły w głowę Szatonga.

Stary kacyk nie stracił jeszcze widać całkiem swych sił: Szatong nawet nie jęknął. A Kurugú powiedział:

— Zabójca ma zginać od swojej broni. Tak mówi prawo.

— Hóa! — mruknął tłum, patrząc na wyjąca matkę.

Tylko Pataká podszedł beczelnie z tłumu i stanął twarzą w twarz przed Kurugú:

— Zabiłeś mego przyjaciela! — powiedział — Sprzymierzyłeś się z białym psem...

Kurugú nic nie odpowiedział, ale Preié szepnął:

— Żmija jeszcze będzie kasać...

Przepowiednia jego sprawdziła się i nawet bez przenośni. Tymczasem jednak robiono przygotowania do dwóch pogrzebów. W naszym klimacie wszyscy muszą się z tem śpieszyć bez względu na religję. Preié, który był chrześcijaninem, patrzył z pogardą na zwyczaje pogrzebowe Bugrów. Dla nich to jednak była ceremonia bardzo ważna, ponieważ miała na celu pewne widoki — że tak powiem — praktyczne: chodziło o to, żeby jakoś załatwić sprawę dusz tych zmarłych, aby nie zakłócali spokoju żywym.

Eduardo idąc na ceremonię pogrzebową za Pernú, mimochodem zobaczył kilkunastu mężczyzn, siedzących pod dachem, gdzie zwykle sypiał Szatong. Siedzieli oni na ziemi i walili z całych sił maczugami w ziemię, rycząc przytem głośnie. W ten sposób straszono ducha Szatonga, gdyby miał zamiar wrócić i dokuczać żywym. Nie troszczyli się bardzo, co ten duch ma ze sobą zrobić i gdzie się podziać. Starali się tylko dać mu do zrozumienia, że tu, wśród żywych nie może w każdym razie liczyć na miłe przyjęcie. Stukali tak i wyli dość długo, bez żadnego więcej urozmaicenia tego obchodu. Pod wieczór uznali, że duch umarłego jest już nie na żarty wystraszony, tak że się więcej nie zjawi i że sprawę jego można uznać za załatwioną.

Zupełnie inny i — trzeba dodać o wiele straszniejszy — charakter miał pogrzeb Pernú. Ponie-

waż był to mały chłopiec, który jeszcze nie otrzymał botoki — nie można go było puścić w nieznaną krainę śmierci. Trzeba było przywołać zpowrotem jego ducha i zmusić go, aby się wcielił jeszcze raz. W tym celu na jego grobie położono kwiaty i jadło, a na wierzchu grobu położyła się jego matka i wzywała jego ducha, krzycząc głośno. Rozumowanie dzikich polegało na tem, że duch dziecka albo zechce wejść jeszcze w swoje ciało, albo skusi się na kwiaty, czy jedzenie, a „po drodze”, niejako, zatrzyma się w ciele matki, która w ten sposób pocznie go na nowo. Może to nawet nie było takie głupie, jeśli chodzi o znajomość duszy kobiecej: czy to nie był najlepszy sposób uspokojenia jej — przekonać ją, że dziecko, które nosi w łonie, będzie tem samem, które umarło.

W każdym razie wołanie tej matki, leżącej nawznak na małej mogiłce — robiło straszne wrażenie. Krzyczała tak z przerwami cały dzień, leżała potem, nic nie jedząc, przez noc i znowu rano zaczęła wzywać syna. Niedaleko od niej siedziała zachmurzona jak noc Ndiri, ale nie śmiała głośno rozpaczać, ze względu na Patakę. Myśleć jednak można, że pożycie domowe tej pary pozostawiało odtąd dużo do życzenia.

Po trzech dniach matka Pernú poczuła już swego Pernú zpowrotem w łonie i uspokojona wstała z grobu. Oczywiście nazwie go znowu tak samo, gdy się urodzi: Pernú.

Powoli ucichło w obozie i życie potoczyło się normalną koleją. Kurugú siadywał teraz często z Cathangarą (jak go już teraz wszyscy nazywali) i rozpytywał się o to i owo. Eduardo był niezłomny w objaśnieniach, a szczególnie wyraźnie podkreślał zawsze istnienie innych jeszcze plemion indyjskich w Brazylii i konieczność zawarcia z nimi sojuszu. Tylko wtedy biali będą się z czerwonymi liczyć. Kurugú kręcił głową:

— Zawsze, zawsze były walki między nami a Coroadami. Jakże to może być?...

Wówczas Eduardo rysował przed jego oczami siłę wielkiego państwa czerwonych, połączonych bez względu na plemiona. Aż pewnego razu Kurugú błysnął oczami i zapytał:

— I pod jednym kacykiem?

Eduardo zawahał się. Wreszcie podniósł głowę:

— Tak! — odpowiedział.

Kurugú wówczas wstał i oparł mu rękę na ramieniu:

— Synu mój, twoje serce jest wielkie, twoja głowa jest silna. Niech tak będzie, jak mówisz. Ja tego nie dożyję, chociaż widziałem wiele, wiele deszczów. Nie dożyję, bo jestem stary i...

Ponieważ zawahał się, Eduardo spytał go zdziwiony:

— I dlaczegoż jeszcze?

— Bo czyha na mnie śmierć nagle.

Eduardo chciał zaprzeczyć, ale, przypominawszy sobie Preięgo, nic nie odpowiedział. Przeniósł się tylko bliżej szalasu starego, co ten przyjął

z zadowoleniem, choć w milczeniu. Teraz już byli zbliżeni ze sobą, jak ojciec z synem.

Stało się jednak pewnej nocy to, czego się obawiał stary. A stało się tak szybko, że Eduardo ocknął się dopiero, kiedy już żmija była zabita, a stary puchł w oczach i zaczynał majaczyć.

Zobaczywszy Eduarda, zawołał głośno tak, aby wszyscy słyszeli:

— Cathangara, ja umieram i ciebie przyjmuję na syna. I chcę — słyszycie ludzie? — chcę, aby on był po mnie kacykiem. Jeżeli tego nie zrobicie, będę przechodzić i „przeszkadzać”. Czy to wszyscy zrozumieli i zapamiętali?

Chór zebranych mężczyzn potwierdził zgodnie ten testament. W ten sposób Eduardo osiągnął wreszcie to, po co tu przyszedł. Albo może będzie dokładniej, gdy powiemy, że osiągnął pierwszy stopień w swych ogromnych a tajemniczych planach.

Nie cieszyło go to jednak w tej chwili: wydało mu się, że za dużą cenę płaci, tracąc tego wiekowego, dzikiego filozofa. Stał przez chwilę osłupiały, niezdolny do żadnej decyzji, dopóki Preié nie krzyknął nagle:

— Senhor, w skrzyniach jest surowica!

— Tak! Prawda! Odkopywać!

Rzucili się, jak psy do odkopywania swych zapasów, zarekwirowanych ongi przez starego. Krzyknął też Eduardo na Bugrów, aby pomogli i już brali się do roboty, kiedy wystąpił Pataká i zawołał:

— To jest własność plemienia! Stary umiera, a jego rzeczy będą nasze.

Bugrzy zawahali się, ale Eduardo teraz stał na zbyt mocnej podstawie.

Krzyknął na Preiégo:

— Odpędź go!

Preié, zadowolony z misji, podniósł do oka karabinek i powiedział:

— Podnieś ręce do góry, bo ci przestrzelę kolan.

Pataká podniósł ręce po chwili wahania.

— A teraz odwróć się... A teraz odejdź...

Bugrzy już kopali zawzięcie, a Preié z miłością i skwapliwością gospodyni odkładał na bok wszystkie wydobyte rzeczy. Widać było, że niełatwo będzie teraz wyrwać je z jego ręki. Uzbroidł się naprzód sam, potem zapiął pracującemu wraz z Bugrami Eduardowi pas z rewolwerem i „fakodem”. Segregował rzeczy, toboły, paki — w miarę, jak je wydobywano z dołu. Oczywiście część rzeczy była zniszczona całkiem, ale nawet i te mogły być zużytkowane wobec tego ogromnego braku jakiegokolwiek materiału i jakichkolwiek narzędzi. Natrafiono wreszcie i na skrzynię z lekarstwami. Wielkie było ryzyko robić zastrzyk zardzewiałą szprycą i wlewać w człowieka starą szczepionkę, która mogła już nie tylko nie wyleczyć, ale nawet zaszkodzić. Nie było jednak innej rady: wszelkie zamawianie, przewiązywanie rany sznurkiem z włosów kobiecych (który każdy Bugier nosi pod kolanem) i jedzenie jakichś traw im

znanych — wszystko to nie pomogło. Eduardo zrobił zastrzyk, a nawet powtórzył go po upływie dwóch godzin. I co powiecie? — Żadnego zapalenia, czy zakażenia rany, skutek — doskonały! Stary zaczął przychodzić do siebie...

Dalej sprawa już potoczyła się łatwiej. Wiadomo, że najgorzej ruszyć coś z miejsca, potem już leci samo i trzeba tylko lekko pomagać ręką oraz nadawać kierunek. Tak jest wszędzie: w handlu, w polityce, w miłości...

Słowem, odzyskawszy swoje zapasy i zbudowawszy domek z łupanego pinjora (dla ochrony kacyka, siebie i rzeczy), Eduardo stał się faktycznym samowładcą plemienia, jakkolwiek zawsze trochę mającym się na baczności. Zresztą, czy to nie jest los wszystkich samowładców?

Zajawszy się rządami, zrobił tyle, ile nie zrobiliby sami dzicy nawet w ciągu stulecia swego rozwoju. Rzemiosła, taktyka wojenna, rolnictwo, gotowanie, prawo — wszystko to wchodziło w zakres jego trosk. Coprawda ci, którzy widzieli Bugrów nawet po kilku latach jego rządów, śmieli się z ich dzikości, ale Eduardo, który miał miarę porównawczą — czuł się tem zawsze bardzo dotknięty i wreszcie zabronił białym samowolnego wstępu do tolda.

— To nie są dzikie zwierzęta do zwiedzania! — krzyczał.

Od tej chwili, kiedy został kacykiem — kontakt jego z rodzinnem miastem nawiązał się znowu. Ale jakże inaczej!...

VIII.

O tym nowym okresie życia Eduarda mam już więcej wiadomości i niejednokrotnie stykałem się z nim bezpośrednio, a chociaż dał się niektórym osobom dobrze we znaki, mnie nigdy od niego nie spotkała żadna krzywda — to muszę przyznać.

Od czasu zniknięcia Eduarda z miasteczka, pierwszą wiadomością o nim była nowina, którą przynieśli Andersowie i ci „bugreiros“, którzy z nim wybrali się w pogoń. Nikomu jednak do głowy nie przychodziło, że ta błaga o „białym kacyku“ odnosi się do Eduarda. (Nie przypuszczaliśmy zresztą, że to prawda.) Chociaż — przepraszam: był jeden człowiek, który odrazu, z całą pewnością, oświadczył, że królem tym jest Eduardo. Domyślcie się, że mówię tu o doktorze „Bużju“. Spotkał się jednak ze śmiechem i zamłkł.

Kiedy jednak zauważono, że od pewnego czasu Bugrzy nie napadają — zaczęliśmy przypuszczać, że istotnie coś tam się dzieje u nich. I stąd wzięły początek długie spory: jedni twierdzili, że skoro tak — to należy także siedzieć cicho, a inni, że jest to właśnie dowód, że energiczna walka z nimi przestraszyła ich, i że trzeba ich „wykoń-

czyć". Franz Garden był oczywiście za tą drugą metodą i ciągle judził po mieście, choć ludzie go słuchać nie chcieli. Nic dziwnego, że jemu nie chciało się siedzieć w mieście w takiej głupiej sytuacji, w jaką go postawił Mariano: cnotliwego stróża przyszłej konkubiny swego pana... Ale innych skóra zbyt nie świerzbiała. Skoro jednak skomunikował się z Marianem — ten nakazał kompromisowo — „wywiad”.

Wyjechali więc znowu „bugreiros” w pole, choć niezbyt chętnie. Na trzeci jednak już dzień wrócili wystraszeni i Franz zadepeszczał po Mariana. Oczywiście nie wytrzymał ani on, ani jego towarzysze, aby nie opowiedzieć, co się stało, mimo że oświadczała, że to jest ważna tajemnica urzędowa.

Otóż zaledwie ujechali o dzień drogi od osiedli ludzkich i wjechali w pikadę, którą zwykle udawali się w lasy — ujrzeni nagle tyczkę wetkniętą w ziemię, do niej przymocowaną deszczułkę, a na deszczułce ostrzeżenie, aby nie śmieli posuwać się dalej. Napis zaczynał się od słów:

— Stać! Ani kroku dalej. Plemię Botokudów chce pokoju, ale jeśli wy go zerwiecie...

I coś tam jeszcze dalej. Podpisane było Cathangará, król Botokudów. Zresztą mniejsza o to, co było napisane: samo to, że Bugrzy ostrzegali „bugreirów” w portugalskim języku — wystarczyło.

Chcieli się cofnąć, ale Franz przekonał ich, że to musi być figiel jakiego „cabocla”, który aż tu

się zapędził. Pojechali dalej. O kilka „leguas” od tego miejsca znaleźli ślady obozu, tak jeszcze świeżego, jakby ludzie przed chwilą stąd uciekli. Były nawet resztki jedzenia i to w sporej ilości. Przyczem — co ich bardzo zdziwiło — znaleźli smażone mięso, czego nigdy dawniej nie widzieli. Oczywiście psy rzuciły się odrazu na mięso i... — to właśnie najgorsze — popadały potrute! Zostali bez psów i postanowili teraz już stanowczo zawrócić. Nawet Franza obleciał strach. A kiedy w powrotnej drodze zanocowali spokojnie, wiedząc, że w nocy mogą niczego od Bugrów nie oczekiwać — ktoś podczas ich snu zatknął tyczkę z nowym napisem w samym środku obozowiska. Zobaczywszy to, gnali galopem prawie do samego domu.

W kilka dni potem przyjechał Mariano i zaczął prowadzić narady z obywatelami. Większość wypowiadała się za powstrzymaniem się od wszelkich ruchów, ale jemu się to nie podobało.

Jednej nocy, w okresie tych narad, na drzwiach mieszkań poważniejszych obywateli znalazły się kartki szarego, pakunkowego papieru, przybite gwoźdzami, jakich używa się zwykle do pak. Na tych kartkach było nagryzmołone jakimś ciemnym płynem parę słów, zapowiadających przyjazd Cathangary, króla Botokudów, dla zawarcia stałego pokoju. Było też żądanie odesłania żołnierzy za miasto, w stronę południa, a więc przeciwną od lasów.

Zawrzało, jak w ulu: już samo to, że ów tajemniczy król wiedział, kto ma decydujący głos

w mieście, mogło popsuć apetyt. A skąd wiedział o żołnierzach? Czy przyjdzie z całą watahą? Może to podstęp?

Następnego bodaj dnia po tych listach, siedzieli wszyscy w mojej vendzie i zawzięcie się spierali, kiedy przez otwarte okno wpadł nagle list w grubej kopercie. Ktoś go podjął i przeczytał:

— Do obywateli miasta.

W ogólnej ciszy otworzył kopertę i spojrzał na podpis:

— Podpisano — powiedział powoli — „Cathangará, król Botokudów.”

Mariano zbladł i krzyknął:

— Franz, wyskocz i zobacz, kto tam jest!

Ale nikogo nie było. Tylko zbliżał się do vendy doktor Gensch.

— Co się stało? — zapytał. — Wygląda to, jakby kto kij wsadził w mrowisko.

— Nie widział pan nikogo? — rzucił się ku niemu Mariano.

— Jakto, czy nie widziałem? Dzisiaj? O, już parę osób: padre Rudolfo...

— Do diabła! nie o to chodzi!...

Kiedy mu wytłumaczono, w czym rzecz, odpowiedział spokojnie:

— Nie, żadnego Bugra nie widziałem. A co jest w liście?

Prawda, w tym popłochu nie przeczytano jeszcze listu!

Otóż ów Cathangará proponował nowe warunki, jakby wiedział o wszystkich argumentach, które wysuwano przeciw jego przyjazdowi. (A może wiedział naprawdę?) Proponował mianowicie spotkanie na wielkiej polanie, w odległości trzech „leguas” od miasta, zwanej „Placem zabaw”. Spotkanie miało się odbyć na środku polany, a na jej skrajach mieli się zatrzymać wszyscy inni. On wyjdzie z jednym tylko człowiekiem i żąda, aby wyszło do niego nie więcej, niż trzech ludzi. Wreszcie odwołuje się do honoru obywateli, którzy uszanują w nim zapewne parlamentarjusza.

Słuchaliśmy ze zdumieniem tego listu. Zwłaszcza znajomość nazwy „Placu zabaw” wszystkich mocno zastanowiła. Zastanawiano się jeszcze, czy niema w tem zdrady.

Gensch powiedział:

— Ja myślę, że raczej on mógłby się jej spodziewać! — i tu zerknął na Franza, który coś szeptał z Marianem.

Wówczas Franz podniósł głowę z głupim śmiechem:

— Ja tam powiadam, że z takim dzikusiem niema co się bawić w honor. Jak tylko się zjawi — „puknąć” w niego i będzie koniec awantury. Bez niego dzikie małpy nie dadzą sobie rady.

Nastąpiła niemiła cisza i mimowoli oczy wszystkich zwróciły się z dziwnym wyrazem w stronę Mariana. On wyczuł widać treść tych spojrzeń, bo podniósł się z patetycznym gestem i powiedział:

— Nie, my nie złamiemy honoru!

— I oni go nie złamią! — powiedział wtedy Gensch.

— Co? — zwrócił się Mariano. — A skąd pan wie?

— Tak sobie myślę — powiedział Gensch, zapalając fajkę.

Postanowiono zatem przyjąć warunki i zrobiono wszystko tak, jak życzył sobie ów, nieznany nam jeszcze Cathangará: wywieszono na wieży kościelnej chorągiew i zaczęto bić w dzwony o wschodzie słońca. Potem prawie cała ludność miasta wybrała się na plac zabaw. Doszedłszy do jego skraju, zatrzymaliśmy się, a Mariano z ojcem i padre Rudolfo postąpili kilka kroków naprzód. Zatrzymali się jednak: Bugrów nie było widać nigdzie...

Niepewnym krokiem szli jednak na środek placu. Kiedy już byli niedaleko środka, nagle z ziemi wstało dwóch ludzi, którzy leżeli do tej pory, przykryci gałęzmi. Przez tłum przeleciał zdziwiony gwar, a nasza delegacja znowu się zawałała. Jednak tamci dwaj położyli na ziemię broń i zrobili kilka kroków naprzód. Nasi zrobili to samo. Posłowie Bugrów nie byli nadzy, jak się tego spodziewaliśmy: byli ubrani zwyczajnie, tak jak każdy z nas.

W tej chwili w naszej delegacji powstało jakieś zamieszanie i coś krzyknęli Mariano i ojciec. Jeden z tamtych coś im odpowiedział ostro i potem rozmowa potoczyła się ciszej. Tylko po oży-

wionych gestach można było czegoś się domyślać. Po pewnym czasie rozległ się naraz głośny okrzyk jednego z tamtych:

— Ludzie z miasta, czy mnie słyszycie?

Zrobiło się tak cicho, że każde jego słowo mogliśmy usłyszeć.

— Tak, tak, słyszymy! — odezwały się głosy.

— Chcę zrobić pokój między wami, a moim plemieniem. Ale ci wasi ludzie nie wierzą mi, że ja rządę tem plemieniem. Muszę więc dać wam dowód. Nie bójcie się tylko!

Potem odwrócił się w stronę lasu i wrzasnął dziwnym, fałszywym i przenikliwym głosem. Coś jakby:

— Ajeochu!

W następnym momencie ręce nasze mimowoli skoczyły do futerałów: z lasu wysypały się całe stada dzikich, których obecności do tej pory nawet nie podejrzewaliśmy. Musiał chyba Cathangará zmobilizować nie tylko mężczyzn, ale wszystkich zgoła członków plemienia, włącznie z kobietami, starcami i podrostkami: było ich nieprawdopodobnie dużo. A wciąż jeszcze sypali się z drzew, wyłazili z za krzaków, wstawali z ziemi, wyskakiwali z za drzew i nadchodzili z głębi lasu. Wreszcie wszyscy zatrzymali się na skraju lasu w wyczekującej postawie. Wyglądali, jak wyrojone mrowisko.

Wrażenie było silne — niema gadania. Po raz pierwszy staliśmy tak przed sobą, nos w nos. Chwilę trwało milczenie, poczem ów ich poseł

i wódz zarazem krzyknął po raz drugi i wszystko znikło, zanim się opatrzyliśmy. Efekt był.

Posłowie obu stron gadali jeszcze jakiś czas, potem rozeszli się w dwie strony. Ledwo tamci zniknęli w lesie, a nasi podeszli do nas — posypały się pytania, jak szyszki pinjora podczas burzy. Jednak nasi delegaci byli dziwnie bladzi i nic nie mówili. Wreszcie Mariano odezwał się:

— Na naradzie wszystkiego się, panowie, dowiecie.

Dowiedzieliśmy się istotnie. Mariano wśród ogólnej ciszy wykrztusił z trudem, że ów słynny Cathangará to nikt inny, jak wygnany przez nas Eduardo. Musiał w tem miejscu przerwać, taki gwar się rozległ dokoła. Śmiechy, okrzyki przestachu, pytania, zakłady nawet — wszystko to narobiło wielkiej wrzawy.

Kiedy się nieco uciszyło, Mariano ciągnął dalej:

— Nie dziwię się, panowie, że ta wieść wywołała takie wrażenie. Człowiek, którego słusznie ukaraliśmy za odmowę obrony rodzinnego gniazda przed wrogami — teraz przystał właśnie do nich i przewodzi im, zdoławszy z łatwością osiągnąć władzę nad tymi głupimi i nieokrzesanymi ludźmi. Wobec nas jest on zdrajcą! Pytanie więc teraz: primo, czy wogóle wypada nam pertraktować ze zdrajcą; a secundo, czy nie zdradzi nas powtórnie?

Narada, która nastąpiła potem — była tak ożywiona i długa, że nie miałem zdrowia dosie-

dzieć do końca. Dowiedziałem się tylko później, że Mariano usilnie kierował sprawą w ten sposób, aby nie zawierać ugody z Botokudami. Ale kiedy ogólne zdanie było odmienne, Mariano skreślił z miejsca i oświadczył, że „dzięki jego staraniom dyplomatycznym — ugoda nastąpi” i że ludność miasta może spać odtąd spokojnie.

Śmiano się z tego pocichu, mówiąc, że Mariano podał streszczenie swego nowego raportu do władz. Potem przygotowano uroczysty akt w dwóch egzemplarzach (żądał tego Eduardo) i następnego dnia miano wymienić podpisy i dokument pokoju zawrzeć.

Samym wieczorem, kiedy już zamykałem vendę, zaszedł do mnie „Buźju”, cały rozpromieniony, i zaczął gadać:

— A co? A co? czy nie mówiłem odrazu? Wszystko, co on robił, miało wyraźny cel i sens. Nie zrozumiano go tylko...

Musiałem przyznać rację staremu. Jeszcze przez dobre pół godziny wymieniał mi wszystkie zalety Eduarda, a na zakończenie rzekł:

— Ale to wszystko jeszcze nic! To dopiero pierwszy krok.

— Bagatela! A jakież będą dalsze?

— Nie mogę wiele mówić na ten temat, ale... Czy pan wie, że Coricra jest córką starego kacyka?

— Nie, nie wiedziałem o tem.

— A on to wie, choć tego argumentu do tej pory jeszcze nie wykorzystał. Czy pan rozumie,

jakie to wzmocnienie pozycji wobec dzikich?... Wychowuję ją, jak królowę, którą zresztą będzie. Wie pan przecie, że kształci się w najlepszej szkole sióstr zakonnych. Ma tam możliwie najlepsze towarzystwo. A przytem wie, co ją czeka: — stale jej to powtarzam...

— Ale cóż, u pioruna, ją takiego czeka? — pusłem humor staremu. — Powrót do lasu?

— Ach, senhor bierze te rzeczy zbyt płytko! Eduarda stać na to, aby ją zrobić cesarzową wszystkich — rozumie pan — *wszystkich* plemion indyjskich. A to już byłaby taka siła polityczna...

— Ależ, doktorze, czy pan to serjo...? Przecież oni ciągle między sobą się żrą, jak psy! A poza tem rząd nasz...

— Nic w tem niepodobnego niema — obraził się prawie doktor. — W Boliwji naprzykład Indjanie coraz silniej się organizują i stają się potęgą, z którą rząd musi się liczyć.

— No, no — może! — skończyłem, nie chcąc złościć starego.

Więc tak wysoko mierzył senhor Eduardo? I tyle budował na tej wesołej i niebrzydkiej dziewczynce brązowego koloru?

W kilka dni potem „Bużju” przyleciał do mnie z gazetą i machając nią, jak sztandarem, wołał:

— Czytał pan?

— Nie, senhor! — powiedziałem. — Rzadko mi się zdarza, żebym wziął gazetę do ręki, czego się zresztą nie wstydzę, bo mogę jeszcze bardzo

długo żyć bez wiadomości, z kim tańczyła na balu „Fiołków” panna Rizoleta de Macedo i z jakiego materiału była zrobiona suknia panny Luizy de Lima. Jeżeli zaś biorę gazetę, to odrazu odwracam ją na ostatnią stronę i patrzę, jakie są ceny na herwę w Paranie, a jakie w Argentynie. Są to wiadomości o wiele ważniejsze, szkoda tylko, że zwykle podawane fałszywie.

— Ależ polityka, panie, polityka! — wołał zrozpaczony „Bużju”, i widziałem, że drży z niecierpliwości, żeby mi coś przeczytać. Ponieważ zaś lubilem przekomarzać się ze starym, udałem, że tego nie widzę:

— Bah! — mruknąłem. — Mówi zwykle prawdę tylko opozycja. A opozycja mówi, że wszyscy urzędnicy, będący przy władzy, są złodziejami. O tem wie przecie każdy i tak. Natomiast pisma rządowe wymieniają wszystkie dobrodziejstwa obecnego rządu. A w to przecie nikt nie wierzy i tak. Pocóż więc czytać gazety?

„Bużju” machnął ręką i spasował. Pokazał mi sam artykuł:

— Napoleoński krok!... Powiadam panu, że Cathangará (tak teraz nazywał Eduarda i „Bużju”, i to z widoczną przyjemnością) ma ministerjalną głowę!

— No, więc cóż on zrobił?

— Pamięta pan, jak się pan pytał, co powie na jego plany rząd nasz?

— No, tak.

— Otóż on zapewnił sobie z tej strony spokój: cały przebieg jego „traktatu pokojowego” z nami dostał się do gazet i obecnie Eduardo stara się o stanowisko urzędowego ułaskawiacza Indjan — „mançadora”!

— Rzeczywiście chytrze — musiałem przyznać. — Nie w smak to będzie Marianowi!

— Ja myślę! — śmiał się całą swoją szeroką gębą „Bużu”.

Nie pamiętam, ile czasu upłynęło od tego artykułu, gdy w naszym mieście znowu zjawił się Mariano. Przyjechał zły, jak noc, do Hildy nawet nie zaszedł, a ojca traktował tak, że nam się nawet żal robiło patrzeć. Na drugi dzień po przybyciu, kiedy było u mnie w vendzie sporo ludzi, jak zwykle przed wieczorem, wszedł i zapytał:

— Czy nie wie kto, jak się można skomunikować z senhorem da Lima?

Z początku nie zrozumieliśmy, o kogo chodzi, dopiero potem przypominano sobie, że tak się nazywał sam Eduardo, wyrzekając się nazwiska ojca.

— Nie, skądże mielibyśmy wiedzieć? — odpowiedziało kilku.

— Dziwnie! — uśmiechnął się złośliwie Mariano. — A jednak ktoś musi z nim utrzymywać stosunki, skoro trafia on do gazet i urzędów.

Nikt się na to nie odezwał, wzruszono tylko ramionami nieznacznie. Mariano jednak zaraz spuścił z tonu:

— No, teraz, skoro on jest przyjacielem naszego społeczeństwa — niema już nic złego w utrzy-

mywaniu z nim stosunków. Gdyby ktoś podjął się dać mu znać, że chcę go widzieć w sprawie... hm, w sprawie urzędowej — dałbym nawet pewną nagrodę.

Wtedy odezwał się „Bużu”, który do tej pory spokojnie pociągał „szimaron”:

— Dobrze, senhor, ja mu dam znać. Nawet bez nagrody.

Mariano zwrócił się gwałtownie w jego stronę i chciał coś powiedzieć, ale zawahał się i rzekł tylko:

— Dobrze...

A doktor, nie słuchając naszych zdziwionych pytań, zabrał się z vendy.

I co powiecie? — Nie minął tydzień, kiedy w mieście rozeszła się wieść: — Eduardo jest w prefekturze!

Oczywiście, kto żyw — leciał w tamtą stronę. Czekał nas jednak zawód: przed prefekturą siedział sobie tylko uzbrojony i ubrany na sposób cywilizowany ciemnolity człowiek, a Eduarda nie było.

Ktoś zapytał tego człowieka:

— Czy Eduardo jest tam?

— Mój pan, wódz Cathangará, naradza się w tym domu z białymi! — powiedział człowiek.

Dokoła niego zawrzało. Wreszcie ktoś śmielszy spytał:

— Przepraszam, czy senhor jest... tego... Bortokud?

Ten wstał dumnie.

— Nie, panie. Ja jestem z plemienia Coroadów. Ale jestem już oddawna chrześcijaninem i człowiekiem kulturalnym.

— Desculpe, senhor! — Wybacz, panie! — powiedział pytający, ale w dalszym ciągu nic nie wiedział: skąd bowiem wziął się Coroad wśród Botokudów? Doczekaliśmy się jednak wyjścia Eduarda. Wyszedł na ganek, a zobaczywszy zebrany tłum, uśmiechnął się krzywo. Potem zwrócił się do Mariana, który wyszedł za nim:

— Dobrze, ja na wystawę ich przyprowadzę. Ale jeżeli choć jeden wystrzał padnie...

— Ja z większą pewnością mogę gwarantować spokój, niż pan! — powiedział dumnie Mariano.

— Ostrzegam tylko! — powiedział nie odwracając się i nie żegnając Eduarda. Ruszyli obaj z Coroadem w stronę domku doktora, zarzuciwszy karabinki na plecy. Tłum pociągnął za nimi, ja zaś wróciłem do vendy, licząc, że więcej dowiem się od samego „Bużju”. Tak się też stało: a ponieważ vendziarz jest czymś w rodzaju redaktora niepisanej gazety — musiałem opowiadać to wszystko po dziesięć razy w ciągu dnia.

Rzecz w tem, że szykowała się wielka wystawa rolnicza w Hammonji, kolonji prawie wyłącznie niemieckiej. A właściwie nietylko wystawa: miał to być zjazd rolników, kupców, różnych chorów i tak dalej. Słowem jakieś święto okolicy. Otóż Mariano zażądał, jako dowodu, że Eduardo ma wpływy decydujące w plemienu Bugrów —

przyprowadzenia ich do Hammonji. Od tego zależniał przyznanie przez rząd urzędu „mançadora”. I Eduardo się zgodził. Prywatnie zaś polecił doktorowi sprowadzenie na ten dzień Coricry. Wszystko to zapowiadało się ciekawie, to też całe prawie nasze miasteczko znalazło się na tej wystawie. W południe oznaczonego dnia zebrał się wielki tłum, wśród którego gęsto rozstawieni byli żołnierze. Przedtem zaś zapowiedziano surowo, żeby nikt nie odważył się dobyć broni. Patrzano w stronę lasu i czekano niecierpliwie.

Wreszcie ukazał się zdala pochód i zbliżał się dość szybko. Na przodzie szedł Eduardo, uzbrojony po zęby, a za nim — niesfornym tłumem, chociaż w zbitej gromadzie szli Bugrzy. Szli, jak wilki: trochę bokiem, szybko i zarazem nieufnie, patrząc przytem podejrzliwie na boki. Mieli na sobie łuki, strzały a w rękach maczugi.

Potem dopiero dowiedziałem się, ile trudu kosztowało Eduarda wyprowadzenie ich z lasu. Byli przekonani, że idą na pewną śmierć, że jest w tem jakiś podstęp. Decydującym argumentem było oświadczenie staremu kacykowi, że jego córka Coricra żyje i że ją tam zobaczy. Stary wyteżył wszystkie swoje siły, aby przekonać rodaków i zachęcić ich do wyruszenia. Spotkanie z Coricrą miało być właśnie punktem głównym całej tej wyprawy.

To też, kiedy rozszedł się gwar, że Coricra nadjeżdża — tłum się rozstał i cały był już w oczach. Nadjechało rzeczywiście bardzo przy-

zwoite auto, a w niem siedział mały, zabawny „Bużu” (niektórzy jego właśnie brali za jej ojca kacyka), a obok niego bardzo przystojniutka, młoda dzierlatka, ubrana, jak z żurnalu. Jej ciemna cera nie raziała nas tak bardzo: mój Boże, w tych sprawach nie możemy być w Brazylii zbyt surowi; niebardzo nawet wypada o tem mówić... Doprawdy, można było w każdym zupełnie przyzwoitem towarzystwie znaleźć taką samą panienkę.

Panienka była nieco blada i bardzo poważna, a kiedy dojrzała to stado, zbite w kupę, dzięki i nagie — wstała z miejsca i otworzyła usta, jak do krzyku. Stała tak chwilę nieruchomo i nagle zapłakała na głos, bezradnie i zabawnie, jak dziecko.

Czemu właściwie płakała — trudno powiedzieć: kobiety przecież płaczem wyrażają każde silniejsze uczucie, którego nie umieją wypowiedzieć. Widziałem już kobiety płaczące ze złości, z radości, z upokorzenia, z dumy macierzyńskiej, z zawodu, a nawet — ze smutku.

Skutek jednak, jaki jej płacz wywarł na dzikich, był zupełnie nieoczekiwany i — powiedzmy — niepożądany przez nikogo: ryknęli coś wściekle i porwawszy swoje maczugi — rzucili się naprzód z pochylonemi łbami. W tłumie białych (niezupełnie zresztą białych) wszczęła się straszna panika: deptano się wzajemnie, popychano i uciekano na wszystkie cztery strony.

Dzicy widocznie zrozumieli, że skoro kobieta płacze, to jest jej źle. Myśleli może, że ją tak

gnębi niewola. Tymczasem biedna dziewczeczka opłakiwała może śmierć swoich marzeń o cesarzowej indyjskiej, widząc zbliżka swoich przyszłych poddanych? A może i postać zarośniętego, opalonego, ponurego nieco Eduarda wydała się jej mniej piękną, niż ta, którą widziała w snach? A może zdjęła ją litość na widok tych braci, od których ona odeszła tak daleko, przyjażniąc się z córką poborcy podatków i właściciela garażu?

Sytuację uratował Eduardo: wskoczywszy na stopień samochodu, krzyknął coś donośnym głosem i zatrzymał Bugrów. Potem mówił coś do nich, do Coricry i doktora. Nie rozumieliśmy oczywiście tego, ale można się było domyślić, o co chodzi: Eduardo obiecywał Bugrom, że jeśli dziewczyna zechce pójść z nimi, jeśli jej jest źle — to nikt jej w tem nie przeszkodzi. Doktor potwierdzał to gorąco. Wówczas Eduardo spytał małej i... ta elegancko ubrana panienka wyrzekła się swoich brudnych rodaków i swego pomarszczonego ojca z patykiem w dolnej wardze. Co czuł wtedy Eduardo, trudno było wiedzieć, bo zachował zupełny spokój. Można było tylko domyślić się, że starego kacyka ta wiadomość zupełnie zbiła z nóg: postarzał odrazu, jakby zachorował nagle i miał umierać. „Bużu” coprawda także nie oczekiwał takiego wyplątania się z sytuacji, które rozbijało ich dalsze, ważniejsze plany. Był tak przybity, że postanowiłem go pocieszyć.

Bugrzy uspokoili się i zostali. Zamieszkali w osobnym obozie, gdzie zrobili sobie szałas

z przygotowanych materiałów, a nawet zaczęli przyjmować podarki, uczyli się palić papierosy, a nawet (pewno w sekrecie przed Cathangarą) — pić wódkę. Eduardo zamieszkał z nimi, a Gensch i Coricra często zachodzili do obozu. Zaczepiłem go kiedyś.

— Ach, senhor! — skarżył się. — Chciałem jak najlepiej i okazało się, że zrobiłem kapitalne głupstwo: ta przeklęta cywilizacja wykoleiła nam dziewczynę.

— Cóż teraz będzie? — pytałem.

— Liczę jeszcze na to, że ją Eduardo przekona. Przecież mówiła mi zawsze, że go kocha... I to teraz, właśnie teraz, kiedy Eduardo tyle przeszkód pokonał! Postanowiono już poselstwo Preiého do jego plemienia, do Coroadów, plan się realizuje. A tu jedna smarkata, rozpieszczona przez jednego starego osła...

Protestowałem przez grzeczność, ale upierał się ze złością, że jest starym osłem, i nie chcąc być niegrzecznym — musiałem się z tem zgodzić. Swoją drogą twardy był człowiek ten Eduardo: trzeba mu to przyznać. W tym momencie, kiedy myślał, że już może się tylko wznosić do góry, po tylu przeszkodach — nastąpiło straszne załamanie odrazu w kilku punktach i mimo to nie stracił ducha. A spadło to na niego prawie jednocześnie i to zaraz po tej pierwszej historii z Coricrą:

Naprzód umarł niespodzianie „Buźju“, zaraz po powrocie do domu, być może gnębiony wyrzutami sumienia, wobec fiaska owych „indyjskich“

planów. Następnie Hoerhanowie przekonali dziewczynę, że najlepiej będzie dla niej, jak wyjedzie do Europy, gdzie będzie miała szalone powodzenie. (Poparł zresztą tę sprawę konsul niemiecki, jako żywy dowód niesienia kultury w ciemne mroki puszczy przez jego ziomków.)

A wreszcie — wśród Bugrów pojawiła się — i to już w powrotnej drodze — epidemia grypy, którą się zarazili na owej wystawie w zetknięciu z białymi. Zanim doszli, wymarła ich połowa, a wśród nich — największa opora Eduarda, wśród Bugrów — kacyk Kurugú Kambeczuje. A na dobitkę — z epidemii tej ukuł broń dawny wróg Eduarda, Pataká, i zbuntowawszy kilkanaście rodzin, oderwał się od plemienia.

Smutny był zresztą jego koniec: Eduardo, dla uchronienia reszty plemienia od zemsty białych, musiał zawiadomić wszystkie władze o buncie i upoważnić niejako do obrony w razie napadu buntownika (bo wiedział, że do tego dojdzie). Ponieważ zaś kolonje tymczasem opasały rezerwat Bugrów ze wszystkich stron — gdziekolwiek ruszył się Pataká, spotykał odpór i podawali go jedni drugim ci od Itayopolis i ci od Hammonji do tej pory, dopóki nie otoczyli go gdzieś, w sytuacji prawie bez wyjścia. Część — i to znaczną — tych buntowniczych Bugrów wybito, część się uratowała i wróciła do plemienia. Co zaś do Pataki, to znaleziono go niedaleko publicznej drogi żywego jeszcze, tylko pobitego na śmierć kolbami, poranionego kulami i nożami, a przytem... Tak,

nie widzę powodu, żebym miał to skrywać: miał obcięte wszystkie palce i nanizane, jak naszyjnik — na szyi. Ten szczegół nie jest może często przytaczany, a jest ciekawy, jako przykład niesienia kultury w ciemne mroki puszczy brazylijskich przez niektórych ludzi. Ponieważ Franz Garden już nie żyje — mogę otwarcie powiedzieć, że to była właśnie jego sprawka. Jego, naczelnika „bugreiros”, myśliwych na Indian, powołanych do życia. No, wszyscy wiemy, przez kogo. Wszystko to Eduardo przetrzymał i pozostał „królem Botokudów”, ale jego zawód miał się odbić na naszym mieście. Szczególnie na niektórych...

IX.

Nastąpiły potem czasy, w których Eduardo często zjawiał się w naszym mieście. Była pogłoska, że zawsze w takich wypadkach przyprowadzał ze sobą bandę swoich dzikusów i umieszczal ich gdzieś, w pobliżu miasta. Ale nie tylko dlatego bano się go: wiadano, że poprostu jego śmierć może znowu rzucić bandy dzikich z lasu — na kolonję. Ba! — mógł to zrobić nawet jego kaprys.

To też musiano znosić wszystko, co mu się podobało zrobić, a on wiedział o tem. Rozzuchwalał się coraz bardziej i robił kawały, godne jego „valentońskich” czasów. Zaczęło się to od Hildy.

Właśnie przejechał Mariano i miał zamiar przystąpić do wykonania swego dawnego zamiaru: wprowadzenia Hildy do swego domu mniej lub więcej oficjalnie. Szeptano nawet, że ma zupełnie poważny zamiar wziąć z nią ślub cywilny, bo sytuacja jego jest jakoby nieco zachwiana w rządzie i małżeństwo z córką jakiegoś dostojnika spaliło na panewce. Podobno nawet na tem tle wrzały wielkie kłótnie w domu Hoerhannów i stary prefekt po raz ostatni zapewne objawiał za-

wzięty opór przeciw temu. Trwało to już kilka dni. Mariano chodził do Hildy i przesiadywał tam całe dnie, a Franz wówczas z głupią miną błakał się po sadzie, udając, że nie słyszy szeptów za plecami.

Naraz pewnego dnia, zaraz po otwarciu vendy, wpadł do mnie blady Franz i zawołał:

— Szklanę „cachasu“, prędko!

Kto tak wcześniej żąda „cachasu“ i to szklanę — nie jest zazwyczaj usposobiony do rozmowy. Nie pytając więc o nic, nalałem szklaneczkę. Franz wypił ją jednym haustem i zażądał chrapliwym głosem drugiej. To zaczynało wyglądać poważnie. Wreszcie jego milczenie pękło, złapał mnie za rękę i zaszeptał tajemniczo:

— Musieli mi dać na sen! Ale Mariano nie uwierzy nigdy...

— Kto? co? Powiem ci, Franz, że nie jest dobrze pić „cachas“ naczco.

Zaśmiał się gorzko:

— Senhor myśli, że jestem pijany? Wolałbym to...

— Więc?

Odsapnął głośno i powiedział przesadnie spokojnie:

— Porwano Hildę.

— Człowieku, ktoby ją porwał? Kiedy? Jak? Może gdzieś wyszła?

— Już ja wiem, co mówię. Zbadałem ślady. I przysięgnę, że to ten djabeł...

— Jaki znów djabeł?

— No, ten „Cathangará“! — przeciągnął z ironją.

Stał chwilę ze zwieszoną głową, potem nagle wstał z miejsca:

— Czy mogę cię prosić, senhor, żebyś zawiadomił o wszystkim Mariana?

— A cóż pan masz zamiar robić?

— Jadę jej szukać.

— To warjacja! Czy wyrwiesz ją z obozowiska dzikich, jeżeli to naprawdę Eduardo ją porwał?

— Ech, może jeszcze ich dogonię. A tym razem nie będę się już krępować...

Niebardzo mi się uśmiechała rola posła, ale przyrzekłem. Zamknawszy vendę, poszedłem do Hoerhannów. Oddawna już u nich nie byłem: stary jakoś zdziwaczał w ostatnich czasach, przestał widywać się z ludźmi i zdaje się powodziło mu się coraz gorzej: syn nietylko, że nic mu nie pomagał, ale przeciwnie wymagał coraz więcej „na reprezentację“.

Dom i obejście miały wygląd niezmiernie zapuszczony, służby nie było widać i długo musiałem klaskać, zanim ktoś się ruszył w domu, choć słońce było już wysoko. Wreszcie dostałem się do wnętrza. Wiadomość, którą przyniosłem — zrobiła piorunujące wrażenie. Mariano podniósł się blady z wściekłości i — nieoczekiwanie dla mnie — wrzasnął na ojca:

— Myślisz, że nie rozumiem, co się stało, że nie domyślam się czyja to sprawa? O, ale ze

mną to się wam nie uda! Nie jestem już dzieckiem! Sprytnie uknułicie to z tym „capangą”!

Doprawdy, że mi to nie przyszło do głowy! Było to o wiele prawdopodobniejsze, niż porwanie dziewczyny przez Eduarda ze środka miasta. Kiedy jednak odezwał się stary, znowu opadły mnie wątpliwości, z taką szczerością przysięgał:

— Niech mnie Bóg skarze, jeśli coś wiem o tem! Nie wierzysz teraz w niczem staremu ojcu — ja wiem, ale ci przysięgam. Byłem przeciwny temu, to prawda — także tylko ze względu na twoją karierę, ale żeby dziewczynę porywać?... Ja, prefekt? Oszalałeś!

— No, swoim prefektostwem oczu mi nie zamydliš! Wiem ja dobrze, co się pod tą pokrywką robi...

Nie chciałem przeszkadzać ojcu i synowi w wymianie poglądów na tematy rodzinne i polityczne, więc dodałem tylko, że Franz pojechał gonić Eduarda.

Mariano zwrócił się do ojca:

— Jeżeli w ciągu trzech dni nie będzie dziewczyny — jedziemy obaj do Botokudów — pamiętaj sobie!

— Ależ synku, w paszczę tego wroga!...

— Aha, już się wykręcasz? Niczem nam to zresztą nie grozi, bo on jest teraz urzędowym „mançadorem”, a więc urzędnikiem: nie może porywać się na nas.

Franz po trzech dniach nie wrócił i... nigdy już nie wrócił. Co się z nim stało — nie wiadomo.

Mógł poprostu zabłądzić w lesie, co się zdarza przecie dość często i to nawet starym wyjadaczom.

Mariano jednak nie wybrał się tak prędko do Indjan: dowiadywał się, czy Eduardo nie ma zamiaru czasem przybyć do miasteczka, następnie werbował sobie straż przyboczną, robił zapasy... Słowem, upłynął prawie miesiąc, zanim wyprawa istotnie ruszyła. Jechało ich około dwudziestu, uzbrojonych od stóp do głów.

Wrócili za jakie dwa tygodnie bez Hildy i z nieco głupiemi minami. Obaj Hoerhannowie milczeli, jakby wody w usta nabrali. Z opowiadań jednak ich towarzyszy i z tego, co później opowiadał sam Eduardo — można sobie odtworzyć wszystko, co się tam działo.

Przedewszystkiem więc ostrzeżono ich (wołając z lasu, wieczorem), aby pozostawili całą straż w miejscu ostatniego popasu i ruszyli dalej tylko sami. Nie mieli ochoty na to, ale musieli tak zrobić. Ba! więcej jeszcze: zapewniono im bezpieczeństwo, ale w razie, gdyby straż ruszyła w stronę obozu — życie ich miało być zagrożone. Następnego dnia, po południu — zjawił się nagle przed nimi ów Coroad i poprowadził ich za sobą.

Wąską pikadą szli jeszcze ze dwie godziny, aż wreszcie doszli do obozowiska. Bugrzy zgromadzali się dokoła nich coraz liczniej, ale nie zrobili im nic złego. Śmieli się tylko, zaglądali w oczy i coś tam gulgotali po swojemu. Doprowadzono ich wreszcie przed spory domek, podobny do for-

teczki i kazano się zatrzymać. Czekali dosyć długo i co się tam robiło w ich duszach — łatwo się domyślić. Czekali na posłuchanie u „króla Boto-kudów”, swego nielegalnego krewnego, którego starali się zniszczyć.

Wreszcie Coroad wyszedł i dał im znać, że mogą wejść. Weszli do obszernej izby, urządzonej mocno oryginalnie. Były tam olbrzymie, z kłóców drzewa, meble, moc skór na ziemi, ścianach i ławach, oraz sporo broni, europejskiej i indyjskiej. Na wielkim fotelu, podobnym do tronu, całym wysłanym skórami, siedział „Cathangara”. Z obu stron fotela siedział Bugier, uzbrojony i nie-ruchomy.

Nie odezwał się, kiedy weszli, i nie poruszył się. Co jak co, ale to trzeba mu przyznać, że rozumiał znaczenie gestu w życiu i umiał go stosować. Zakłopotani milczeli, wreszcie stary odezwał się niepewnie:

— Bon dia!

Eduardo nie odpowiedział. Wówczas Mariano niecierpliwie rzucił się:

— Doszło do naszej wiadomości, że pan porwał pannę i więzisz ją tutaj. W imieniu władzy, którą reprezentujemy, żądamy posłuszeństwa... Tu zaciął się, a Eduardo z najniewinniejszą miną i z małym uśmiechem oświadczył:

— Panowie, o ile rozumiem, żądają wydania Hildy? Owszem, proszę bardzo... Czy istotnie — tu znowu uśmiechnął się — panom tak zależy na zabraniu jej?

Jego uśmiech był tak wyraźny, że po raz pierwszy uświadomili sobie, że zabranie teraz Hildy może tylko ośmieszyć Mariana „w razie czego”. Spojrzeli na siebie niepewnie, ale stary, ratując honor sytuacji, powiedział:

— Tak, żądamy wypuszczenia jej, gdyż więzienie osoby wolnej...

— Czy panowie zabiorą ją nawet wbrew jej woli?

To znowu ich zaskoczyło i nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Tymczasem Eduardo dał znak i podniosła się zasłona sąsiedniego pokoju. Weszła Hilda. Jakże inaczej wyglądała, niż tam, w mieście! Ubranie jej było nieco zredukowane i wydawało się jeszcze lepiej, niż zazwyczaj wspaniałe kształty, a w całej jej postaci, wyrazie twarzy i ruchach było coś nowego. Były to rozbudzone i zaspokojone zmysły, które nadawały jej wygląd rozkoszny, szczęśliwy i grzeszny. Była przez to jeszcze bardziej pociągająca, niż zwykle.

Musiała być uprzedzona o przybyszach, bo nie okazała żadnego zdziwienia i spokojnie, choć nie bez rumieńca podeszła do Eduarda, przytulając się do niego. Była to typowa kobieta, którą dostaje ten mężczyzna, który... ją weźmie.

— Hildo, — odezwał się Eduardo — ci panowie przyszli cię zabrać. Otóż ja nie mam nic przeciwko temu. Jeśli więc chcesz...

Spojrzała nagle na niego wzrokiem pełnym wyrzutu i niepewności:

— Ależ... ja nie chcę! — powiedziała prędko. Hoerhannowie stropili się. Wreszcie stary powiedział:

— W takim razie... Hm, powinien pan rozumieć swój obowiązek mężczyzny z honorem: powinien pan ożenić się z... panią.

— Ależ naturalnie — roześmiał się szeroko Eduardo. — Tylko... panowie wiecie, jak to u nas w interiorze: ślub odbędzie się razem... z chrzcina-mi. Doprawdy, ogromnie rzadko zajeżdżają tu do nas księża... Tymczasem zaś postaramy się zrobić wszystko, co do nas należy...

Hilda zawstydzila się i schowała twarz za ramię Eduarda, a potem porwała się i uciekła do swego pokoju. Panowała chwilę głupia cisza.

— Ależ panowie muszą być głodni! — odezwał się nagle bardzo uprzejmie Eduardo. — Jesteście moimi gośćmi, więc proszę, czym chata bogata...

Goście dostali na noc posłania i trzymając pod ręką swe rewolwery — zasnęli. Nie był to jednak jeszcze koniec przedstawienia: w środku nocy zbudziło ich straszliwe wycie i w świetle jakiegoś kaganka zobaczyli Eduarda i Preiego, którzy ładowali nagwałt broń.

— Co to? Co takiego — zawołali obaj.

— Bunt! — rzucił krótko Eduardo. — Zbuntowali się przeciwko mnie, twierdząc, że chcę uciec z wami...

— No i co będzie? — bezradnie zapytał Mariano, siedząc jeszcze na posłaniu.

— Nie wiem! — krótko odrzucił Eduardo. — Napadli mnie, a raczej nas i będziemy musieli coś wymyślić...

— Chce pan strzelać? — ze zgrozą zapytał Mariano.

— Dlaczego pan o to pyta?

— Przecież to nonsens! Po pierwszym strzale wymordują nas, jak nic! Niech pan próbuje ich przekonać, uspokoić...

— Ba!

— Przecież, do pioruna! — wrzasnął nagle histerycznie Mariano. — Przecież pan powinieneś mieć wpływ na nich. Za to panu płacą!

— Słusznie: za to mi płacą, a raczej za to mi zalegają — spokojnie stwierdził Eduardo. — Ale się zbuntowali i koniec. To jest fakt, z którym trzeba coś począć.

— Panie Eduardo — nieco drżącym głosem przemówił stary. — Niech pan znajdzie jakiś sposób...

— Wiem — rzekł Eduardo, jakby do siebie — że gdybym ich wydał plemieniu, uwierzyliby, że nie mam zamiaru z nimi uciekać, ale...

— Jakto, panbyś to zrobił? — wrzasnął Mariano.

Eduardo miał minę nieco zakłopotaną i nic nie odpowiadał. Wyglądało to, jakby się namyślał. Obaj Hoerhannowie patrzyli na niego ze strachem, słuchając zarazem wzmagającego się nazewnątrz ryku. W okna bił odblask jakiegoś ognia, podłożonego blisko domu. W tym momencie naraz cały

dom zatrzęsł się od uderzeń kilkunastu maczug. Zahuczało to, jak grom podziemny. Wówczas, drżący coraz silniej Mariano podbiegł do Eduarda i zaczął bez związku bełkotać:

— Ale przecie pan rozumie, że nie możemy tak ginać... To pańska sztuczka, to zasadzka! Ale to panu nie ujdzie na sucho! O, znowu wała!... Przecież pan sobie z nimi da radę, prawda? Pan jest taki dzielny! Niech pan nas broni — będziemy wdzięczni, nagrodzimy pana!

Eduardo stał i uśmiechał się dziwnie. Mariano trząsł się coraz silniej, a stary, jakby sparaliżowany, nie ruszał się z pościeli i patrzył na obydwoich swoich synów, którzy stali tam, w świetle ognia. Mariano chwycił Eduarda za ramię i zaczął wołać, starając się przekrzyczeć ryki dzikich:

— Panie, przecież jesteśmy braćmi!... Eduardo, proszę cię, przez pamięć na... Chciał powiedzieć zapewne: „wspólnego ojca” czy coś takiego, ale zaciął się. Zaczął chodzić jak oszalały po izbie wkoło i łamać ręce, a wreszcie ukrył twarz w rękach. Kiedy je odjął od twarzy — zobaczył, że w drzwiach stoi Hilda, było mu to jednak wszystko jedno.

Podczas całej tej sceny Eduardo prawie nie wymówił ani słowa i nie ruszył się z miejsca, patrzył tylko uporczywie na starego, który unikał jego oczu. Potem spojrzał na Hildę i uśmiechnął się. Rzekł wreszcie:

— Spróbuję, może mnie jeszcze posłuchają! — i zaczął odmykać okno.

— Ależ... — zaczął Mariano.

— Co?

— Oni wedrą się przez to okno... — niepewnie protestował Mariano.

— Jednak którądyś wyjść muszę.

— Dobrze, ale my zaraz za tobą zamkniemy okno! — gorączkowo rzucił Mariano.

Eduardo popatrzył na niego przeciągle i powiedział:

— Pięknie.

Niewiadomo było, czy to oznacza zgodę, czy ocenę.

Hilda zbladła nieco, gdy Eduardo uchylił okno, ale usiłowała się do niego uśmiechnąć. Eduardo wyskoczył i Mariano, trzęsącymi się rękami zatrzęsł za nim okienicę.

W następnej chwili, nazewnątrz rozległ się silny gwizd piszczałki Eduarda i nastąpiła cisza. Było tak cicho, że można było usłyszeć spokojne słowa Eduarda. Przemówił bardzo krótko, poczem usłyszano ruch tłumu i za chwilę nastąpiła cisza. Ogień buchnął silniej i zagaśł. Dało się słyszeć pukanie do drzwi. Hilda podeszła i otworzyła je, bo Hoerhannowie nie ruszali się z miejsca. Wszedł Eduardo i stanął pośrodku izby. Milczał.

Mariano przełknął ślinę i zapytał:

— Posłuchali?

— O, tak! — powiedział spokojnie Eduardo.

Znowu zapanowała niewyraźna cisza.

— I już nie... nie napadną?

— O, nie.

Hilda znikła w drugim pokoju, a Eduardo położył się na swoim posłaniu. Za chwilę słychać było jego równy oddech. Hoerhannowie nie spali do rana i o nic nie pytali.

Na drugi dzień wyjechali szybko, jakby ich kto gonił. Na tem się skończyła ich eskapada.

Następna sprawka Eduarda tyczyła się doktora Schulzego. Było to wkrótce potem, jak Eduardo nawiązał stosunki z padre polacco z Itayopolis. Chodziło o to, że Preié, strasznie dumny z tego, że jest chrześcijaninem, wziął się do nawracania Botokudów i chciał oficjalnie zatwierdzić swoją działalność na tem polu. Niełatwem było zadaniem leżać w paszczę Bugrom. Trzeba jednak znać padre Joao z Itayopolis: mało jest takich księży! To jest człowiek, który obronił całą wieś swoich rodaków, których zaaresztowano podczas zamieszek religijnych właściwie po to, aby skonfiskować ich grunta i budowlę. Padre Joao tak sprytnie się zawinął, że panowie oficerowie byli zadowoleni, kiedy pozbyli się swoich aresztowanych, z powodu których groził im samosąd wszystkich sąsiednich wsi. Padre Joao jest i księdzem i nauczycielem, i politykiem, i doktorem, i kolonizatorem i wreszcie... kacykiem. Niebardzo tam kto lubi się do niego wtrącać, bo może i Winchesterów powąchać. Otóż padre Joao — pojechał. Ku swemu jednak zdziwieniu stwierdził, że Eduardo zachowuje się, jak warjat, albo jak wróg. Próbował rozłokować każdego z wy-

prawy księdza osobno, chodził ponury, jak noc i miało się wrażenie, że coś złego obmyśla. Koloński więc wartowali pokolei całą noc i tak do trwali do świtu.

Wówczas zjawił się nagle całkiem inny Eduardo. Przeprosił ich za swój wczorajszy humor i wytłumaczył:

— Żona mi rodziła. Panowie rozumieją: w lecie, w dziczy, bez żadnej pomocy... Ale na szczęście doktor przybył na czas i wszystko w porządku: mam syna. Będę prosił księdza o ślub i chrzest odrazu!

Posypały się powinszowania, ale po chwili ksiądz zapytał:

— Pan powiedział — zdaje mi się — że przybył doktor? To mnie mocno dziwi...

— I jego, księżu kochany, i jego! — rzucił śmiejąc się Eduardo.

Za chwilę zrozumieli powód jego humoru: przed domkiem Eduarda siedziała jakaś zmięta, wystraszona postać. Był to doktor Schulze, który tak zawsze narzekał na „ten przeklęty klimat“, tak bał się zarażenia czemkolwiek i wszelkich niewygód. Pan ten zrobił tymczasem sporą podróż, związany solidnie i niesiony przez biegnących całym pędem przez las Bugrów, a potem wieziony w wąskiej i mokrej łodzi. Dostarczono go podrapanego, zmoczonego i wystraszonego bez granic. Pod rewolwerem jednak oprzytomniał i zajął się chora.

Ujrzawszy białych w obozie i otrzymawszy wcale niezłe honorarium za „wizytę” — poweselał i — co powiecie? — od tej pory nabrał sympatii do „tych dzikich stosunków”. Nigdy naprawdę niewiadomo, czem komu dogodzić.

Wkrótce potem jednak przyszły tak ważne wieści, że zaćmiły sobą wszelkie inne i bliższe zdarzenia: chodziło o wybory prezydenta. Wbrew przewidywaniom powszechnym, głoszonym usilnie przez prasę rządową — wybrany został przywódca opozycji. Zagotowało się, jak w garnku. Długo wieczory przesiadywaliśmy w vendzie, pomagając naszymi rozważaniami do wyjaśnienia sytuacji politycznej. Jedno było pewne i tego wszyscy oczekiwali: zmiany na wszystkich rządowych stanowiskach od góry do dołu. System łupów — tak to nazywają, zdaje mi się — ma przecie u nas prawo obywatelstwa, uznane przez wszystkich.

Niektórzy mieli wątpliwości. Clark na przykład dowodził, że jeśli jest wybitny fachowiec, to nawet przy zmianie rządu nie grozi mu upadek i utrata stanowiska. Inni przeczyli. Wreszcie ktoś powiedział to, co wszyscy mieliśmy na języku:

— W każdym razie Mariano do tych „wybitnych fachowców” zaliczać się nie może...

I posypało się:

— Trzymał się tylko na pieniądzach starego i stosunkach!

— Mydlił oczy raportami, ale niczem wyrazem popisać się nie może!

— Co teraz będzie robił?

— Ma przecie majątek!

— A jak będzie miał braki w rachunkach?

A ktoś bąknął:

— Gdyby tak tylko zbadać sprawę „posto”...

To było prorocze. Doprawdy, na jakim głupstwie można się czasem przewrócić! Wiadomo, że kontrola rachunkowa u nas może się odbywać tylko raz na kilka lat — przy zmianie rządu. Wówczas okazuje się, że właściwie wszyscy są złodziejami. Nikogo to zresztą — w pojęciu ogólnym — nie hańbi, ale odbija się fatalnie na majątku, ponieważ następują konfiskaty.

Tak było i tym razem. Kto doniósł o tem fikcyjnym „posto” — nie wiem dokładnie. Obiło mi się o uszy, że Eduardo opisał tę sprawę w gazecie, ale nie jestem pewien. Inni mówili, że to garbaty Heisinger, ojciec tego zabitego młodzieńca i to jest pewniejsze. Zresztą takich rzeczy było wówczas moc: wiem np. o pewnej doświadczalnej stacji rolniczej, która pobierała ogromne sumy na zakup ziemi, budynków, inwentarza, sadzonek, nasion, utrzymanie specjalistów i t. d. A po upływie czterech lat okazało się, że wcale nie istniała.

Konfiskata i sprzedaż z licytacji majątku Hoerhannów o tyle uderzyła ich silnie po kieszeni, że majątek był już mocno nadwątłony wydatkami na Mariana. To też stali się z dziś na jutro kompletnymi nędzarzami. Stary, gdyby był w pełni sił — byłby się może z tego wygrzebał, bo miał dosyć uporu, ale Mariano, z chwilą, kiedy mu

odebrano jego auto, pieniądze i stanowisko — oklapł zupełnie. Zwłaszcza, kiedy został sam „na gospodarstwie”. Bo wkrótce potem stary umarł, a matkę zabrała rodzina. Mariano miał jechać gdzieś do Gomezów, za matką, ale tymczasem „likwidował” gospodarstwo. Mówiąc zwyczajnie: poprostu przepijał. Trudno, nikt nie jest powołany do pouczenia dorosłego i zarozumiałego człowieka, jak ma używać swego majątku...

Mimo to, kiedy zaszedł do mnie któregoś dnia Mariano w podniszczonym i powalanym błotem ubraniu — nie mogłem się z tem pogodzić, że to jest naprawdę on.

— Senhor — powiedziałem mu uczciwie — na pana miejscu jabym już przestał pić i pomyślał o robieniu majątku. Trzeba się podnieść z upadku.

— Ho, ho! — powiedział z głupawym, pijackim uśmiechem. — Myśli pan, że nie dam sobie rady? Pojadę tylko do miasta: tam mam jeszcze znajomych, stosunki... A poza tem — jestem pewien, że wygram na loterii — zawsze miałem szczęście w hazardzie.

Istotnie, wkrótce potem „zlikwidował” ostatecznie chałupę i kawałek ogródka, który mu z łaski pozostawiono, i pojechał do Santos. Słyszałem, że został agentem losów loteryjnych, jak tyłu innych wykolejeńców. Słowem — co tu gadać? — historia Mariana jest skończona.

Co do Eduarda — to zaszczyca nasze miasto dość często swojemi wizytami dotychczas. A kiedy przyjeżdża — wszyscy proszą Boga, żeby „ka-

cyk” nie był w jednym ze swoich „napadów”. Nawiedzają go one dość często i wówczas zachowuje się tak, jakby głównym jego pragnieniem było dokuczyć wszystkim. Specjalnie nienawidzi — nie jest to zresztą tajemnicą — Niemców. To też broń Boże, aby go ktoś zapytał, czy nie jest przypadkiem Niemcem lub, aby zbyt głośno rozmawiał po niemiecku. Zdolny jest wówczas do wszystkiego. Niedawno naprzykład urządził historję, którą jeszcze wszyscy mamy w pamięci.

Eduardo przyjechał do miasteczka, kiedy odbywała się jakaś uroczystość. Najwięcej gości było w nowootworzonej piwiarni, no i u mnie. Eduardo przejechał koło mojej vendy i rzucił dość przyjaźnie:

— Bom dia. Como vae?

— Bom, obrigado! — odpowiedzieliśmy.

Potem Eduardo przejeżdżał koło piwiarni, gdzie śpiewano po niemiecku. Mogliśmy widzieć, że zatrzymał konia.

Przyznam, że zrobiło mi się nieco przykro, bo wielu starych gości przeniosło się ode mnie do piwiarni, a nie myślałem, że i Eduardo mnie zdradzi. W tej chwili jednak zauważyłem ze zdziwieniem, że zmusza swojego konia do wejścia w drzwi piwiarni. To mnie tak zaciekało, że zostawiłem vendę i poszedłem tam. Słysząc teraz było, że Niemcy śpiewają swoją pieśń narodową: „Deutschland, Deutschland über alles!” Cóż chcieć? — stan Santa Catharina jest prawie niemieckim stanem; przed wojną nawet urzędowe ogło-

szenia były wydawane w języku niemieckim, a i teraz zdarza się, że ogłoszenia władz drukują się po portugalsku i po niemiecku. Znany jest też wypadek, że gdy z pewnego okrętu niemieckiego uciekło kilku marynarzy, kapitan nie zwrócił się do władz miejscowych, tylko poprostu wysłał na ład swoich żołnierzy, żeby aresztowali zbiegów.

Wogóle czuli się tutaj Niemcy bardzo pewnie. I teraz więc, zebrawszy się w piwiarni, śpiewali swoje „Deutschland über alles!”

Eduardo wreszcie pchnął mocno drzwi i dał koniowi ostrogi. Szkapa, przyzwyczajona widać do warjactw pana, weszła do środka, ze strachem stawiając nogi na deskach. Preié, który jechał za Eduardem, zeskoczył ze swego muła i wbiegł za swoim panem. W piwiarni zapanowała nagła cisza.

— A, „Deutschland über alles”? — z piekielną ironją zapytał Eduardo. — Odkądże to obywatele brazylijscy stawiają obce państwo ponad wszystko? W dodatku państwo, z którym Brazylja walczyła podczas wojny? „Über alles”? Ano, zobaczmy...

Tu wyjął powoli rewolwer i naraz wrzasnął tak, że i mnie — choć byłem niezainteresowany — zmarzła skóra na grzbiecie:

— Na czworaki!

Pogłupieli. Ale byli bez broni, bo Niemcy rzadko ją noszą zwłaszcza w miastach, a poza tem cieszył się on nietykalnością, i ze względu na Boto-kudów i ze względu na niego samego.

— No! Powiedziałem: na czworaki!

W nieprzyjemnej ciszy stare, opasłe chłopcy zaczęły niechętnie schylać się i dotykać rękami podłogi.

— Porządnie! porządnie! na cztery łapy! Tak... A teraz — Preié, zdejmuj siodło ze swego muła i osiodłaj jednego z senhorów.

— Którego? — zupełnie spokojnie i rzeczowo informował się Preié.

— Ach, to mi właściwie wszystko jedno... Wszyscy oni przyczynili się do mojego wygnania w swoim czasie, jako tchórza. Wszak prawda, panowie? — jako tchórza? A potem nie chcieli sprzedawać żywności mojej matce. Wszak prawda, panie Hammer, panie Schulz, panie Müller i jak tam wam jeszcze. Osiodłaj którego chcesz, Preié. A my poczekamy.

Któryś próbował zaprotestować:

— Cóż to, doprawdy, za zwyczaje, czy niema już prawa w tym kraju, żeby...

Naraz umilkł, bo tuż koło niego uderzyła w podłogę kula i rozległ się huk:

— Kto jeszcze pisnie słowo, przejedzie się do mego papy: do niemieckiego nieba! — ryknął Eduardo.

Po chwili jeden z obywateli był osiodłany. Eduardo zapytał:

— Gotowe? Pięknie, zrobimy zatem manież. Dokoła panowie, dokoła. Kłusem maaarsz!

Żaden z Niemców się nie śmiał, ale my ledwie powstrzymywaliśmy się od śmiechu. Zapewne byli

to nasi współobywatele, ale... nie można powiedzieć, żeby cieszyli się zbytnią sympatją. A Eduardo dogadywał:

— Panowie kulturtraegerzy, może zawołacie swoich „bugreiros”? Przecie to wasz genialny pomysł, żeby opłacać specjalnych bandytów do tępienia dawnych mieszkańców tej ziemi. O, nikt wam nie zechce odebrać honoru inicjatywy! Pomysł jest czysto niemiecki! Cywilizacyjny! No, dosyć — stop! Rozsiodłać tego osła, niema prezencji: źle wygląda pod siodłem.

— Gospodarzu! — zwrócił się Eduardo do bladoego właściciela, który bez ruchu stał za ladą. — Czy te butelki na półkach są pełne?

— Taa-ak...

— Doskonale, ciekaw jestem, czy uda mi się w nie trafić. Spokojnie, panowie, chodzi tylko o próbę celności...

Baach! — i trzask tłuczonego szkła, a potem fontanna płynu i drobniutkich odłamków.

— A co? — trafiona! A teraz tamta, w rogu! To — zdaje się — koniak? Bach! — A co? I ta dobrze wzięta? A teraz ta z winem!...

Kiedy Eduardo już się nabawił i wyjeżdżał z piwiarni, właściciel spytał płaczącym głosem:

— Senhor, ale któż mi wynagrodzi stratę?

— Kto? — a ot, ci panowie, którzy śpiewali „Deutschland über alles”. Zaraz proszę zrobić składkę. No, już! A na przyszłość, panie gospodarzu, niech pan odrazu pobiera pewną opłatę za

śpiewanie takich piosenek: to ogromnie uprości manipulację. Dowidzenia, panowie!

W godzinę potem cała osada wiedziała o zajściu i — może to trochę nieładnie — większość była zachwycona. Obywatel, który był osiodłany — musiał wynieść się z miasteczka. I wogóle ci, którzy mieli coś na sumieniu wobec Eduarda, jakoś poznikali z miasta. Do najniewinniejszych jego środków było branie „na kredyt” u swoich wrogów dotąd, aż to im zaczęło ciążyć zbytnio na budzecie.

Tak jest dotychczas. Eduardo zajeżdża do nas od czasu do czasu, robi awantury, pije w straszny sposób, strzela, urządza sceny podobne do poprzedniej, a potem wraca do lasu, gdzie uczy swoich dzikusów nosić spodnie, spać w zamkniętej szopie i sadzić kukurydzę. Niektórzy twierdzą, że wykoleił się, że dokonałby wielu rzeczy, ale teraz, gdy wszystko go zawiodło — wyładowuje swoją siłę tylko w taki sposób. Ja jednak wierzę, że Eduardo jeszcze coś pokaże światu. Historia jego nie jest skończona.



13806